

**OSCAR WILDE**

# **PORTRET DORIANA GRAYA**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: PICTURE OF DORIAN GREY  
PRZEŁOŻYŁA MARIA FELDMANOWA**

## PRZEDMOWA

Artysta jest twórcą piękna.

Objawić sztukę, ukrywać artystę — oto cel sztuki.

Krytykiem jest ten, kto swe własne wrażenia piękna umie w odmiennej wyrazić formie, nowy im nadać kształt. Zarówno najwyższa, jak najniższa forma krytyki jest pewnego rodzaju autobiografią.

Kto w pięknie odnajduje sens brzydki, jest zepsutym, wcale nie będąc czarującym. To błąd.

Kto w pięknie odnajduje sens piękny, posiada kulturę. Ma przyszłość przed sobą.

Wybrani są ci, dla których piękno posiada wyłącznie znaczenie piękna.

Nie ma książek moralnych lub niemoralnych. Są książki napisane dobrze lub źle. Nic więcej.

Niechęć dziewiętnastego stulecia do realizmu jest wściekłością Kalibana, widzącego w zwierciadle własną swoją twarz.

Niechęć dziewiętnastego wieku do romantyzmu jest wściekłością Kalibana, nie widzącego w zwierciadle swojej twarzy.

Moralne życie człowieka stanowi część tworzywa artysty, ale moralność sztuki polega na doskonałym użyciu niedoskonałego środka. Żaden artysta nie pragnie niczego dowieść. Nawet rzeczy prawdziwe dadzą się dowieść.

Żaden artysta nie posiada sympatii etycznych. Sympatia etyczna jest u artysty niewybaczalnym zmanierowaniem stylu.

Żaden artysta nie jest neurasteniczny.

Artysta może wyrażać wszystko.

Myśl i język są dla artysty narzędziami sztuki, cnota i występki są dla artysty tworzywem sztuki. Ze stanowiska formy typową sztuką jest muzyka. Ze stanowiska uczucia typowa jest sztuka aktorska.

Wszelka sztuka jest zarazem powierzchnią i symbolem.

Kto sięga pod powierzchnię, czyni to na własną odpowiedzialność.

Kto odczytuje symbol, czyni to na własną odpowiedzialność.

W rzeczywistości sztuka odzwierciedla widza, nie życie.

Rozmaitość zdań o dziele sztuki dowodzi, że dzieło i jest nowe, złożone i zdolne do życia.

Niezgodność krytyków między sobą dowodzi zgodności artysty z sobą.

Możemy komuś wybaczyć, że stwarza coś użytecznego, dopóki dzieła swego nie podziwia. Jedynym usprawiedliwieniem dla człowieka, który stwarza coś bezużytecznego, jest wielki podziw dla tego dzieła.

Każda sztuka jest bezużyteczna.

*Oscar Wilde*

## I

Odurzająca woń róż napelniła pracownię, a ilekroć wietrzyk letni musnął drzewa w ogrodzie, przez otwarte drzwi wnikał ciężki zapach bzu lub mniej intensywna woń kwitnącego głogu.

Z kąta kanapy nakrytej perskim dywanem, na której leżał wypalając jak zwykle niezliczone ilości papierosów, lord Henryk Wotton mógł jeszcze chwycić blask rozkwitłego krzewu złotego deszczu o miodowej woni i barwie: drżące jego gałązki z trudem zdawały się dźwigać ciężar swej płomiennej piękności. Tu i ówdzie fantastyczne cienie przelatujących ptaków migotały na tle jedwabnych zasłon, spływających wzdłuż ogromnych okien, a cienie te wywoływały na chwilę wrażenie obrazów japońskich. Wtedy lord Wotton myślał o owych malarzach z Tokio, których twarze są blade i znużone; starają się oni wywoływać za pomocą sztuki, z konieczności nieruchomej, wrażenie życia i ruchu. Stłumione brzęczenie pszczół, z trudem szukających sobie drogi wśród wysokiej nie skoszonej trawy lub z monotonną wytrwałością wirujących dokoła złotych pyłków kwiecica kapryfolium, potęgowało jeszcze panującą wokół ciszę. Głuchy gwar Londynu przypominał głębokie tony dalekich organów.

Pośrodku pokoju, na pionowo ustawionych sztalugach, stał naturalnych rozmiarów portret młodego człowieka niezwyklej piękności, a w pewnej odległości od obrazu siedział sam artysta, Bazyli Hallward, który nagłym zniknięciem przed paru laty wywołał wielką wrzawę, dostarczając materiału do najrozmaitszych przypuszczeń.

Uśmiech zadowolenia przemknął i osiadł na twarzy malarza, wpatrującego się w tę wdzięczną, a zarazem wspaniałą postać, którą odtworzył jego artyzm. Nagle jednak zerwał się, przymknął oczy i palce położył na powiekach, jakby w mózgu swym chciał uwięzić dziwny sen, z którego obawiał się przebudzić.

— Najlepsze twoje dzieło, Bazyli, najlepsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek stworzyłeś — nieco znużonym głosem ozwał się lord Henryk. — Musisz je na przyszły rok postawić na wystawę do Grosvenorskiej Galerii. Akademia jest zbyt wielka i zbyt banalna. Ilekroć tam byłem, zastawałem zawsze tylu ludzi, że nie mogłem widzieć obrazów, co było okropne, lub też tyle obrazów, że nie mogłem widzieć ludzi, co było jeszcze znacznie gorsze.

Pozostaje zatem tylko Grosvenorska Galeria.

— Zdaje mi się, że obrazu tego nie dam na żadną wystawę — odparł malarz, odrzucając głowę w tył tym dziwnym ruchem, który zawsze w Oksfordzie pobudzał jego kolegów do śmiechu. — Nie, nie dam go nigdzie.

Lord Henryk podniósł brwi i poprzez mgliste, błękitne kółeczka dymu, w fantastycznych zwojach unoszącego się z jego mocnego, opiumowanego papierosa, ze zdumieniem spojrzął na malarza.

— Nie dasz na wystawę? Ale czemu, chłopcze drogi? Czy masz jakiś powód? Co za dziwaki z was, malarzy. Wszystko robicie, by zdobyć sławę, a gdy ją zdobędziecie, wydajecie się, żebyście się jej najchętniej chcieli pozbyć. To z waszej strony głupio, bo jedyną rzeczą gorszą od tego, że o nas mówią, jest to, że o nas nie mówią. Taki obraz mógłby cię wynieść nad wszystkich młodych artystów Anglii i wzbudzić zazdrość starych, gdyby w ogóle starzy ludzie zdolni byli do jakiegokolwiek uczucia.

— Wiem, że się będziesz śmiał ze mnie — odparł malarz — ale naprawdę nie mogę tego obrazu wystawić. Za wiele weń włożyłem z siebie samego.

Lord Henryk wyciągnął się na kanapie i począł się śmiać.

— Wiedziałem, że będziesz się śmiał, ale jednak tak jest.

— Włożyłeś za wiele z siebie samego! Dalibóg, nie wiedziałem, że jesteś tak próżny. Bo istotnie nie mogę znaleźć podobieństwa między twoją surową, ostrą twarzą i kruczym włosom a tym Adonisem, który wygląda, jakby był cały z kości słoniowej i listków róży. Nie, mój drogi Bazyli, toż to Narcyz, a ty — no, bez wątpienia masz twarz intelektualisty i tak dalej, ale piękność, prawdziwa piękność kończy się tam, gdzie się zaczyna intelektualizm. Jest on już sam w sobie rodzajem przesady i psuje harmonię każdej twarzy. I niech tylko człowiek się zamyśli, zaraz cały się staje nosem albo czołem, lub czymśkolwiek innym szpetnym. Spójrz tylko na ludzi pracujących z powodzeniem w jakimś uczonym zawodzie. Jacyż brzydcy! Oczywiście z wyjątkiem dygnitarzy kościelnych. Ale też w kościele wcale się nie myśli. Biskup osiemdziesięcioletni mówi zupełnie to samo, czego go nauczono, gdy miał lat osiemnaście, i dlatego też zawsze wygląda zachwycająco. Twój tajemniczy młodzieniec, którego nazwiska nigdy mi nie wymieniłeś, a którego portretem jestem istotnie oczarowany, na pewno nigdy nie myśli. Jestem o tym przekonany. Jest bezmyślną piękną istotą, która zawsze powinna tu być w zimie, kiedy nie mamy kwiatów, a także w lecie, kiedy nam potrzeba czegoś dla ochłodzenia naszego intelektu. Nie pochlebiaj sobie, Bazyli, wcale a wcale nie jesteś do niego podobny.

— Nie rozumiesz mnie, Henryku — odparł artysta. — Naturalnie, że nie jestem do niego podobny. Wiem o tym tak samo dobrze jak ty. I przykro by mi było, gdybym był do niego podobny. Wzruszasz ramionami? Mówię jednak prawdę. Pewnego rodzaju fatalizm unosi się nad każdą niezwykłością fizyczną czy duchową — fatalizm, który w historii idzie trop w trop za chwiejnymi krokami królów. Lepiej nie różnić się od swych bliźnich. Brzydkim i głupim najprzyjemniej na tym świecie. Mogą sobie spokojnie siedzieć i przyglądać się zabawie. Jeśli nic nie wiedzą o zwycięstwie, to bywa im też zaoszczędzona świadomość klęski. Żyją, jak powinniśmy żyć wszyscy: cicho, obojętnie, bez niepokoju. Nie powodują zguby innych, ale też i inni nie powodują ich zguby. Twoje stanowisko, Henryku, twój dobrobyt, mój umysł, jakkolwiek on jest, mój talent, cokolwiek on wart, piękność Doriana Graya — wszyscy my odpokutujemy za to, co nam bogowie dali, odpokutujemy strasznie.

— Dorian Gray? Więc tak się nazywa? — podjął lord Henryk, zbliżając się do Bazylego Hallwarda.

— Tak, tak się nazywa. Nie miałem zamiaru ci tego powiedzieć.

— Dlaczego nie?

— Ach, nie mogę ci tego wytłumaczyć. Jeśli kogoś bardzo kocham, przed nikim nie wymieniam jego nazwiska. Bo wydaje mi się, że wyrzekam się części jego istoty. Nauczyłem się kochać tajemniczość. Ona jedna chyba może uczynić życie niezwykłym i cudownym. Najpowszedniejsza rzecz zyskuje urok, gdy się ją zachowuje w tajemnicy. Gdy wyjeżdżam z Londynu, nie mówię mojej rodzinie, dokąd jadę. Gdybym to zrobił, pozbawiłbym się całej przyjemności. Może to nierozsądne, ale mnie się wydaje, że taka tajemniczość wnosi w nasze życie dużą dozę romantyzmu. Obawiam się, że mnie będziesz uważał za strasznie niemądrego.

— Wcale nie — odparł lord Henryk — wcale nie, mój drogi Bazyli. Zapomniałeś zapewne, że jestem żonaty i że urok małżeństwa na tym właśnie polega, że wzajemne niemówienie prawdy jest tutaj nieodzowne. Ja nigdy nie wiem, gdzie jest moja żona, a moja żona nie wie nigdy, co robię. O ile się spotykamy, a zdarza się to czasem, gdy jesteśmy gdzieś razem zaproszeni lub idziemy do księcia, wtedy z najpoważniejszą miną opowiadamy sobie najgłupsze rzeczy. Moja żona to umie, lepiej nawet ode mnie. Ona nigdy nie jest w kłopotcie, gdy chodzi o daty, ja zawsze. Ale jeśli mnie nawet na czymś przychwyci, to wcale mi nie urządza sceny z tego powodu. Czasem chciałbym, aby to zrobiła, ale ona poprzestaje na wyśmianiu mnie.

— Nie cierpię, gdy się w ten sposób wyrażasz o swym małżeństwie — rzekł Bazyli Hallward, podchodząc do drzwi wiodących do ogrodu. — Jestem pewny, że jesteś bardzo dobrym mężem i

wstydzisz się tylko swoich cnót. Dziwny z ciebie człowiek. Nigdy nie powiesz nic moralnego, a nigdy nie zrobisz nic złego. Twój cynizm nie jest niczym innym jak pozą.

— Naturalne zachowanie nie jest niczym innym jak pozą, i to pozą najbardziej drażniącą ze wszystkich, jakie znam — ze śmiechem zawołał lord Henryk.

Obaj młodzi mężczyźni wyszli do ogrodu i usiedli na długiej ławie bambusowej, ustawionej w cieniu dużego krzewu wawrzynu. Promienie słońca ślizgały się po błyszczących liściach. W trawie drżały małe stokrotki.

Po chwili lord Henryk wyjął zegarek.

— Muszę już iść, Bazyli — rzekł — ale zanim pójdę, obstaję, byś mi odpowiedział na pytanie, które ci zadałem.

— Na jakie pytanie? — spytał malarz, nie podnosząc oczu.

— Wiesz doskonale.

— Doprawdy, że nie.

— Więc ci powtórzę. Chciałbym, abyś mi wyjaśnił, dlaczego nie chcesz wystawić portretu Doriana Graya. Chciałbym znać prawdziwy powód.

— Podąłem ci go.

— O nie. Powiedziałeś, że za wiele włożyłeś w ten obraz z siebie samego. To przecież dziecinada.

— Harry — rzekł Bazyli Hallward, patrząc lordowi Henrykowi prosto w twarz — każdy portret malowany z przejęciem jest portretem artysty, nie zaś modela. Model jest tylko pobudką, okazją. Nie jego, ale raczej siebie samego malarz ujawnia na płótnie. Powód, dla którego nie chcę tego obrazu wystawiać, jest ten, że obawiam się, czy nie ujawniłem w nim tajemnicy własnej duszy.

Lord Henryk się zaśmiał.

— Jakiej tajemnicy?

— Powiem ci — rzekł Hallward, ale po twarzy jego przemknął wyraz zmieszania.

— Drzę z niecierpliwości, Bazyli — rzekł lord, patrząc na niego.

— Właściwie niewiele tu do opowiadania — odparł malarz — i obawiam się, że niewiele z tego zrozumiesz. Może nawet w to nie uwierzysz.

Po twarzy lorda Henryka przemknął uśmiech. Przechylił się, zerwał różową stokrotkę i jął się jej przyglądać.

— Jestem pewny, że zrozumiem — rzekł, wpatrując się uważnie w drobną, złotawą tarczę otoczoną małymi piórkami. — A co się tyczy wiary, to mogę uwierzyć we wszystko, o ile jest całkowicie nieprawdopodobne.

Wiatr strząsnął z drzewa nieco kwiecica, a ciężkie pęki rozkwitłego bzu pełnego gwiazdek leniwie kołysały się w parnym powietrzu. Konik polny ćwierkał pod murem, a długa, cieniuchna jętka o brązowych skrzydełkach z gazy mignęła niby błękitna niteczka. Lord Henryk miał wrażenie, że słyszy bicie serca Bazylego Hallwarda, i ze zdumieniem czekał, co nastąpi.

— Rzecz jest po prostu taka — zaczął malarz po chwili. — Przed dwoma miesiącami poszedłem na przyjęcie do lady Brandon. Wiesz, że my, nieszczęśni artyści, musimy się od czasu do czasu pokazywać w towarzystwie, aby przypomnieć publiczności, że nie jesteśmy dzikimi ludźmi. Powiedziałeś raz, że w wieczorowym stroju i w białym krawacie nawet makler giełdowy może zdobyć reputację człowieka cywilizowanego. Otóż byłem zaledwie dziesięć minut w pokoju, rozmawiając z niestłuchanie przesadnie postrojonymi wdowami i nudnymi akademikami, gdy nagle poczułem, że ktoś na mnie patrzy. Odwróciłem się na wpół i po raz pierwszy ujrzałem Doriana Graya. Gdy spojrzenia nasze spotkały się, poczułem, że błędę. Zdjęło mnie dziwne uczucie lęku. Wiedziałem, że stoję naprzeciw człowiekowi, którego sama osobowość jest tak

fascynująca, że jeśli się jej poddam, wchłonie całą moją istotę, całą moją duszę, całą moją sztukę. Nie chciałem, aby życie moje uległo wpływom zewnętrznym. Sam przecie wiesz, Harry, jak jestem z natury niezależny. Byłem zawsze własnym swym panem, byłem nim, zanim spotkałem Doriana Graya. Wtedy... nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale coś zdawało mi się mówić że stoję przed strasznym przełomem w moim życiu. Miałem dziwne przeczucie, że los ma dla mnie w pogotowiu wyjątkowe radości i wyjątkowe cierpienia. Przerażony, odwróciłem się, by wyjść z pokoju. Nie sumienie mnie wypędzało, ale pewnego rodzaju tchórzliwość. Przyznam się ze wstydem, że chciałem po prostu umknąć.

— Sumienie i tchórzliwość to w gruncie rzeczy jedno i to samo, Bazylu. Sumienie jest firmą spótki. Oto wszystko.

— Nie wierzę w to, Harry, i nie sądzę, abyś ty w to wierzył. Ale jakikolwiek był powód, może nim była duma, bo byłem bardzo dumny, dość że przedzierałem się ku drzwiom. I wtedy zetknąłem się, naturalnie, z lady Brandon. „Chyba pan nie zamierza już uciekać, panie Hallward?!” — krzyknęła. Znasz przecież jej dziwnie krzykliwy głos.

— O tak, wszystko w niej jest pawie z wyjątkiem piękności — rzekł lord Henryk, długimi nerwowymi palcami rozstrzępiając stokrotkę.

— Nie mogłem się jej pozbyć. Poprowadziła mnie do księżąt krwi, do ludzi uorderowanych i ugwieżdżonych, do starszych dam w olbrzymich tiarach i o papuzich nosach. Nazywała mnie najdroższym przyjacielem. Raz w życiu się z nią widziałem, niemniej uwzięła się, by mnie zrobić lwem salonowym. Zdaje mi się, że właśnie któryś z moich obrazów cieszył się wielkim uznaniem, przynajmniej gazety się nim zajmowały, no a podług tego przecie mierzy się w dziewiętnastym wieku nieśmiertelność. Nagle znalazłem się naprzeciw człowieka, którego osobowość tak dziwnie mną wstrząsnęła. Staliśmy tuż obok siebie, dotykaliśmy się niemal. Oczy nasze znów się spotkały. Z mojej strony była to może nierozwaga, ale poprosiłem lady Brandon, by mnie przedstawiła. A może w gruncie rzeczy nie była to jednak nierozwaga. Było to po prostu czymś nieuniknionym. I bez przedstawienia bylibyśmy nawiązali rozmowę. Jestem tego pewny. Dorian mi to później powiedział. On czuł również, że przeznaczeniem naszym było, abyśmy się poznali.

— A jak lady Brandon opisała tego cudownego młodzieńca? — spytał lord Henryk. — Wiem, że daje krótki, zwięzły opis wszystkich swoich gości. Przypominam sobie, jak mnie prowadziła do jakiegoś wojowniczego starego pana o czerwonej twarzy, od stóp do głów okrytego orderami i wstęgami i scenicznym szeptem, który wszyscy w pokoju mogli doskonale słyszeć, trąbiła mi do ucha wysoce zdumiewające o nim szczegóły. Uciekłem po prostu. Lubię wyrabiać sobie o ludziach zdanie bez niczyjej pomocy. Ale lady Brandon postępuje ze swymi gośćmi jak licytator ze swym towarem. Albo daje tak wyczerpujące objaśnienia, że zabija zainteresowanie nimi, albo opowiada o nich wszystko prócz tego, co by się chciało wiedzieć.

— Biedna lady Brandon! Zbyt ostro ją sądzisz, Harry! — rzekł Bazylu Hallward z roztargnieniem.

— Mój drogi, posłuchaj, chciała stworzyć s a l o n, a udało jej się otworzyć tylko restaurację. Jakże ją mam podziwiać? Ale co powiedziała o Dodanie Graya?

— Ach, coś w tym rodzaju: „Czarujący chłopiec, jego dobra, biedna matka była moją nierozłączną przyjaciółką, całkiem zapomniałam, czym on się zajmuje, zdaje się, że niczym, a prawda... gra na fortepianie czy też na skrzypcach, kochany pan Gray.” Obydwaj musieliśmy się roześmiać i od razu staliśmy się przyjaciółmi.

— Śmiech to wcale niezły początek przyjaźni, a jest też najlepszym jej zakończeniem — wtrącił młody lord, zrywając drugą stokrotkę.

Hallward potrząsnął głową.

— Harry, ty nie rozumiesz, czym jest przyjaźń lub wrogość. Lubisz wszystkich, to znaczy, że wszyscy są ci obojętni.

— Jakaż to niesprawiedliwość z twojej strony! — zawołał lord Henryk, odsuwając w tył kapelusz i wznosząc oczy ku chmurkom, które niby splątane kłębki białego, lśniącego jedwabiu mknęły po wklęsłym turkusie letniego nieba. — Tak, strasznie jesteś niesprawiedliwy. Robię ogromne różnice między ludźmi. Wybieram sobie przyjaciół dla ich piękności, znajomych dla ich dobrego charakteru, a wrogów dla ich bystrej inteligencji. Człowiek nie może być dość oględnym przy wyborze swych wrogów. Ja nie mam ani jednego, który by był głupcem. Wszyscy są ludźmi o wybitnym intelekcie, więc wszyscy mnie doceniają. Czy to świadczy o wielkiej próżności? Zdaje mi się, że jestem trochę próżny.

— Ma się rozumieć, Harry. Ale wnioskując z tego podziału, to ja jestem zapewne tylko twym znajomym.

— Ależ mój drogi stary! Ty jesteś dla mnie znacznie więcej niż znajomym.

— A znacznie mniej niż przyjacielem. Coś w rodzaju brata zapewne.

— Brata! Niewiele sobie robię z braci. Mój starszy brat nie chce umrzeć, a młodszy, zdaje się, nigdy nie robią nic innego.

— Harry! — wykrzyknął Hallward, ściągając brwi.

— Drogi chłopcze, nie mówię tego tak całkiem serio. Ale nie mogę się powstrzymać od nienawidzenia mych krewnych. Pewnie to stąd pochodzi, że nikt z nas nie może znieść ludzi mających te same wady co my. Doskonale rozumiem wściekłość angielskiej demokracji na tak zwane występki wyższych klas. Masy czują, że pijaństwo, głupota, niemoralność są ich przywilejem i że każdy z nas, robiąc z siebie osła, dopuszcza się kłusownictwa w ich rejonie. Kiedy ten biedny Southwark z powodu sprawy rozwodowej stawał przed sądem, oburzenie ich było wprost wspaniałe. A jednak nie wierzę, aby bodaj dziesięć procent proletariatu prowadziło życie nienaganne.

— Nie zgadzam się ani z jednym słowem z tego wszystkiego, co powiedziałaś, a co więcej, jestem pewny, że i ty się nie zgadzasz.

Lord Henryk gładził ciemną, spiczastą bródkę i hebanową laseczką uderzał w koniuszek swego lakierka.

— Jakież z ciebie typowy Anglik, Bazyli. Po raz drugi robisz już tę samą uwagę. Skoro prawdziwemu Anglikowi podda się jakaś myśl, co zawsze jest rzeczą ryzykowną, nigdy nie przyjdzie mu do głowy zbadać, czy myśl ta jest dobra czy zła. Jego obchodzi wyłącznie to, czy wypowiadający wierzy w nią lub nie wierzy. Tymczasem wartość myśli zupełnie jest niezależna od szczerości człowieka, który ją wypowiada. Istnieje nawet prawdopodobieństwo, że im człowiek jest mniej szczerzy, tym bardziej myśl jego jest czystym przejawem intelektu, tym mniej bowiem będzie ona zabarwiona jego potrzebami, pragnieniami lub przesądami. Ale nie chcę przecież rozprawiać z tobą o polityce, socjologii lub metafizyce. Mnie bardziej się podobają ludzie niż zasady, a ludzie bez zasad bardziej niż wszystko na świecie. Opowiedz mi coś więcej o Dorianie Grayu. Często go widzisz?

— Codziennie. Nie czułbym się szczęśliwy, gdybym go nie widywał codziennie. Jest mi niezbędnie potrzebny.

— To dziwne. Sądziłem, że nigdy nie będziesz dbał o nic innego prócz swej sztuki.

— On jest teraz całą moją sztuką — poważnie odparł młody malarz. — Czasem myślę, że w dziejach świata istnieją tylko dwie ważne epoki. Jedną stanowi pojawienie się nowego materiału w sztuce, drugą — pojawienie się nowej indywidualności. Czym dla malarzy weneckich było wynalezienie farby olejnej, tym dla rzeźby greckiej była twarz Antinousa. A dla mnie stanie się tym pewnego dnia twarz Doriana Graya. Nie idzie tylko o to, że ja go maluję, rysuję, szkicuję,

naturalnie, że wszystko to robię, ale poza tym jest on dla mnie czymś znacznie więcej niż modelem lub kimś, kto mi pozuje. Nie mówię, że jestem niezadowolony z tego, co z niego zrobiłem, lub że sztuka nie potrafi wyrazić jego piękności. Nie istnieje nic takiego, czego by sztuka nie mogła wyrazić, i wiem, że to, co stworzyłem po zetknięciu się z Dorianem Grayem, jest dobre — najlepsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek namalowałem. A jednak w jakiś dziwny sposób, nie wiem, czy mnie rozumiesz, osobowość jego natchnęła mnie zupełnie nowym rodzajem sztuki, nowym stylem. Widzę rzeczy inaczej. Myślę o nich inaczej. Mogę teraz odtwarzać życie w sposób przedtem mi nie znany. „Sen o kształtach w dniach zadumy” — kto to powiedział? Zapomniałem, ale to właśnie wyraża, czym dla mnie stał się Dorian Gray. Sama obecność tego chłopca, bo wydaje mi się ciągle jeszcze chłopcem, mimo że przekroczył już lat dwadzieścia, sama jego obecność... ach, chciałbym wiedzieć, czy ty możesz odczuć wszystko, co to znaczy? Samą swą obecnością wskazuje mi bezwiednie kierunek nowej szkoły, w której ma się mieścić cała namiętność ducha romantyzmu i cała doskonałość sztuki greckiej. Harmonia ciała i duszy, jakże to wiele! My w swym obłędzie oddzieliliśmy jedno od drugiego, wynajdując realizm, który jest ordynarny, i idealizm który jest pusty. Harry, gdybyś ty wiedział, czym jest dla mnie Dorian Gray! Przypominasz sobie ten pejzaż, za który Agnew ofiarował mi tak niesłychaną cenę, ale z którym ja się nie chciałem rozstać? Obraz ten należy do najlepszych, jakie namalowałem. A czemu? Ponieważ Dorian Gray siedział obok mnie, kiedy malowałem: Jakiś subtelny wpływ emanował od niego, i po raz pierwszy w życiu w zwykłym leśnym krajobrazie dostrzegłem czar, za którym zawsze tęskniłem, a którego nigdy nie zdołałem uchwycić.

— Bazyli, to coś nadzwyczajnego. Muszę zobaczyć Doriana Graya.

Graya. Hallward wstał i zaczął chodzić po ogrodzie. Po chwili wrócił.

— Harry — rzekł — Dorian Gray jest dla mnie po prostu bodźcem artystycznym. Ty może nic w nim nie zobaczysz. Ja w nim widzę wszystko. W tym, co tworzę, najwięcej jest z niego tam, gdzie wcale nie ma jego wizerunku. On jest bodźcem do nowego stylu, jak już powiedziałem. Odnajduję go w wygięciach pewnych linii, w piękności i subtelności pewnych barw. Oto wszystko.

— Wobec tego czemu nie chcesz wystawić jego portretu? — spytał lord Henryk.

— Bo bezwiednie w portrecie tym dałem wyraz memu artystycznemu ubóstwieniu. Oczywiście, że Dorianowi nigdy o tym nie wspominałem. On o tym nie wie. Nigdy się nie dowie. Ale świat mógłby odgadnąć. Nie chcę obnażać mojej duszy przed bezmyślnymi, ciekawymi oczyma tłumu. Nie chcę kłaść swego serca pod jego mikroskop. Za wiele w tym obrazie ze mnie samego, Harry, za wiele ze mnie samego.

— Poeci nie są tak skrupulatni jak ty. Wiedzą, jak bardzo namiętność sprzyja zdobywaniu popularności. Złamane serce doczeka się dzisiaj wielu wydań.

— Nienawidzę ich za to! — zawołał Hallward. — Artysta powinien stwarzać piękno, ale nie wkładać w nie nic ze swego życia. Żyjemy w epoce, kiedy ludzie tak się obchodzą ze sztuką, jak gdyby miała być pewnego rodzaju autobiografią. Zatraciliśmy abstrakcyjny zmysł piękna. Pewnego dnia ja go pokażę światu, i dlatego to świat nigdy nie zobaczy mego portretu Doriana Graya.

— Zdaje mi się, Bazyli, że postępujesz niesłusznie, ale nie chcę się z tobą sprzeczać. Tylko bankruci umysłowi prowadzą sprzeczki. Ale powiedz mi, czy Dorian Gray bardzo cię kocha?

Malarz namyślał się przez chwilę.

— Lubi mnie — odparł po chwilowym milczeniu — wiem, że mnie lubi. Naturalnie, że mu strasznie pochlebiam. Dziwną przyjemność mi sprawia mówić mu pewne rzeczy, choć wiem, że będę żałować, iż je powiedziałem. Zwykle okazuje mi dużo sympatii. Siedzimy w pracowni i rozprawiamy o tysiącach rzeczy. Czasem jest okropnie bezmyślny i zdaje się wprost znajdować



przyjemność w udreczaniu mnie. I wtedy, Harry, czuję, że całą swą duszę oddałem człowiekowi, który się z nią obchodzi jak z kwiatem do butonierki, ot, pewnym upiększeniem schlebającym jego próżności, jak z ozdobą na jeden dzień letni.

— Bazyli, w lecie dni się dłużą — mruknął lord Henryk. — Może ty się nim rychlej znudzisz niż on tobą. Smutno się robi na tę myśl, ale bez wątpienia geniusz trwa dłużej niż piękność. To wyjaśnia fakt, dlaczego wszyscy zadajemy sobie tyle trudu, aby się stać jak najbardziej wykształconymi. W dzikiej walce o byt potrzeba nam czegoś, co trwa, i dlatego zapełniamy sobie umysł rupieciami i faktami, w głupiej nadziei utrzymania się na poziomie. Człowiek wszechstronnie wykształcony to ideał nowoczesny. A umysł takiego wszechstronnie wykształconego człowieka jest czymś strasznym. Wygląda niby jakiś sklep ze starzyzną pełen okropności i kurzu, gdzie wszystko ocenia się powyżej wartości. Mimo to sądzę, że ty się nim znudzisz pierwszy. Pewnego dnia spojrzysz na swego przyjaciela i dostrzeżesz, że jest trochę przerysowany, albo jego koloryt przestanie ci się podobać lub coś podobnego. W duchu będziesz mu czynił gorzkie wymówki, z głębokim przeświadczeniem, że ci wyrządził krzywdę. A gdy znów przyjdzie do ciebie, będziesz dlań zimny i obojętny. Smutne to, ponieważ zmieniło ciebie. To, co mi opowiedziałeś, to cały romans. Można by go nazwać romansem artystycznym, a najgorszą rzeczą każdego romansu jest to, że tak bardzo obdziera ludzi z romantyzmu.

— Harry, nie mów tak. Póki życia, będę pod wpływem osobowości Doriana Graya. Ty nie możesz odczuć tego, co ja czuję. Zbyt często się zmieniasz.

— Ach, drogi mój Bazyli, właśnie dlatego mogę to odczuć. Wierni znają tylko trywialną stronę miłości, niewierni znają jej tragedię.

I lord Henryk potarł zapałkę o śliczne srebrne pudełeczko, zapalając papierosa z miną tak pełną zadowolenia i godności, jakby świat cały określił tym jednym powiedzeniem.

Wśród ciemnej zieleni bluszczu ćwierkały wróble, a błękitne cienie obłoków przemykały po trawie jak jaskółki. Jak pięknie było w ogrodzie! I jak zajmujące były uczucia innych ludzi — wydawały mu się znacznie więcej zajmującymi od ich myśli. Własna dusza i namiętność przyjaciół — one to nadawały życiu urok. Z cichą radością wyobrażał sobie nudne śniadanie, które go ominęło, ponieważ tak długo bawił u Bazylego Hallwarda.

Gdyby był poszedł do ciotki, niewątpliwie byłby tam spotkał lorda Goodbody'ego i cała rozmowa byłaby się obracała koło kwestii wyżywienia biednych i konieczności budowania wzorowych domów mieszkalnych. Każdy wygłaszałby kazania o ważności cnót, których praktykowanie było w ich własnym życiu zbyt cenne. Bogaci byliby mówili o wartości oszczędzania, a próżniacy o godności pracy. Jak to świetnie, że zdołał się uwolnić od tego wszystkiego. Myśl o ciotce nasunęła mu pewne skojarzenie. Zwrócił się do Hallwarda i rzekł:

— Mój drogi, teraz sobie przypominam.

— Co sobie przypominasz, Harry?

— Przypominam sobie, gdzie słyszałem już poprzednio nazwisko Doriana Graya.

— Gdzie to było? — spytał Hallward, lekko marszcząc czoło.

— No, Bazyli, nie patrz na mnie tak gniewnie. To było u mojej ciotki, lady Agaty. Mówiła mi, że odkryła cudownego młodego człowieka, który jej będzie pomagał w pracy w East End, i że młodzieniec ten nazywa się Dorian Gray. Muszę co prawda dodać, że nigdy nie wspominała mi o jego piękności. Kobiety nie umieją oceniać piękności, przynajmniej dobre kobiety tego nie umieją. Mówiła mi o nim, że jest bardzo poważny i ma piękny charakter. Wyobraziłem już sobie chuderlawe stworzenie w okularach, o prostych włosach, straszliwie piegowate, z olbrzymimi nogami. Szkoda, że nie wiedziałem, że to twój przyjaciel.

— Cieszę się, Harry, że o tym nie wiedziałeś.

— Dlaczego?

— Bo nie chciałbym, abyś się z nim zetknął.

— Nie chciałbyś, abym się z nim zetknął?

— Nie.

— Pan Dorian Gray jest w pracowni — zameldował służący, który właśnie wszedł do ogrodu.

— Teraz musisz mnie przedstawić — ze śmiechem zawołał lord Henryk.

Malarz zwrócił się do służącego, który stał w słońcu, mrużąc oczy.

— Parkerze, poproś pana Graya, by zaczekał chwilę. Zaraz tam przyjdę.

Służący skłonił się i wyszedł.

Wtedy Hallward spojrział na lorda Henryka.

— Dorian Gray jest moim najdroższym przyjacielem — rzekł. — Ma prostą, szlachetną naturę. Ciotka twoja miała słuszność we wszystkim, co o nim powiedziała. Nie psuj go. Nie staraj się zdobyć nad nim wpływu. Twój wpływ byłby dla niego zgubny. Świat jest tak wielki i tylu jest ludzi niezwykłych. Nie zabieraj mi tego jedyne go człowieka, nadającego sztuce mej cały jej urok. Życie moje jako artysty zależy od niego. Pamiętaj, Harry, że ci ufam.

Mówił bardzo powoli i zdawało się, że słowa te zostały na nim wymuszone wbrew jego woli.

— Cóż ty za głupstwa wygadujesz — z uśmiechem rzekł lord Henryk i ujawszy pod ramię Hallwarda, prawie siłą zaciągnął go do mieszkania.

## II

Gdy weszli, zobaczyli Doriana Graya. Siedział przy fortepianie, odwrócony do nich plecami, i przewracał kartki Schumannowskiego zbioru Sceny leśne.

— Bazyli, musisz mi je pożyczyć — zawołał. — Chcę się ich nauczyć. Są prześliczne.

— To będzie zależało od tego, jak dziś będziesz pozował, Dorianie.

— Ach, dość już mam pozowania ł wcale nie chcę mieć własnego portretu naturalnej wielkości — odparł Dorian Gray przekornie jak nadąsany dzieciak, obracając się na kręconym taborecie stojącym przed fortepianem.

Na widok lorda Henryka zarumienił się lekko i zrywając się z miejsca, rzekł:

— Wybacz, Bazyli, ale nie wiedziałem, że nie jesteś sam.

— To lord Henryk Wotton, Dorianie, mój stary przyjaciel z Oksfordu. Właśnie mu opowiadałem jak doskonale pozujesz, a oto wszystko zepsułeś.

— Nie zepsuł mi pan przyjemności poznania pana — rzekł lord Henryk zbliżając się do Doriana i podając mu rękę. — Ciotka moja często mi o panu opowiadała. Jest pan jednym z jej ulubieńców i, jak się obawiam, jedną z jej ofiar.

— Chwilowo figuruję u lady Agaty na czarnej liście — odparł Dorian Gray z komicznym wyrazem skruchy. — Przyrzekłem zeszłego wtorku towarzyszyć jej do jakiegoś klubu w Whitechapel i na śmierć zapomniałem o tej całej historii. Mieliśmy grać razem duet, nawet trzy duety podobno. Co ona mi teraz powie! Nie mam już odwagi jej odwiedzić.

— Ach, pogodzę pana z moją ciotką. Jest panem zachwycona i nie sędzę, aby pańska nieobecność zbyt tam zaszkodziła. Słuchacze myśleli zapewne, że to duet. Gdy ciotka Agata siada do fortepianu, wali w niego za dwoje.

— Niezbyt to pochlebne dla niej, a i mnie nie powiedział pan komplementu — z uśmiechem odparł Dorian.

Lord Henryk przyglądał mu się. Tak, był w istocie cudownie piękny, z delikatnie zarysowanymi purpurowymi ustami, ze szczerymi, błękitnymi oczyma i falistymi złotymi włosami. W twarzy jego było coś takiego, co natychmiast budziło zaufanie. Malowała się w niej cała szczerłość młodości i cała żarliwa czystość. Czuć było, że świat go jeszcze nie zbrukał. Nic dziwnego, że Hallward go uwielbiał.

— Pan jest zanadto uroczy, panie Gray, aby być filantropem, o wiele za uroczy.

Lord Henryk rzucił się na sofę i otworzył papierošnicę.

Malarz zajęty był tymczasem mieszaniem farb i porządkowaniem pędzli. Wyglądał, jakby go coś dręczyło, a usłyszawszy ostatnią uwagę lorda Henryka, spojrział na niego i po chwilowym wahaniu rzekł:

— Harry, chciałbym dziś skończyć ten obraz. Czy bardzo byś się pogniewał, gdybym cię poprosił, żebyś sobie poszedł?

Lord Henryk uśmiechnął się i spojrział na Doriana Graya.

— Panie Gray, czy mam odejść? — spytał.

— Ależ nie! Proszę o to, lordzie Henryku. Bazyli jest dzisiaj znów w złym humorze, a w takich chwilach go nie cierpię. Zresztą musi mi pan powiedzieć, dlaczego nie nadaję się na filantropa.

— Nie sędzę, panie Gray, abym to panu miał powiedzieć. To nudny temat, który należałoby traktować poważnie. Ale z całą pewnością nie odejdę, skoro pan mnie prosi, abym został. Tobie to w gruncie rzeczy obojętne, nieprawdaż, Bazyli? Nieraz mi mówiłeś, że lubisz, gdy twój model

z kimś rozmawia. Hallward zagryzł usta.

— Skoro Dorian sobie tego życzy, to musisz oczywiście zostać. Kaprysy Doriana są prawem dla wszystkich, z wyjątkiem jego samego.

Lord Henryk wziął do ręki laskę i kapelusz.

— Bardzo jesteś uprzejmy, Bazyli, ale muszę odejść. Przyrzekłem się z kimś spotkać u Orleanów. Żegnaj pana, panie Gray. Proszę mnie odwiedzić któregoś popołudnia na Curzon Street. Prawie zawsze jestem w domu około piątej. W każdym razie proszę mi wpierw napisać. Byłoby mi przykro, gdyby mnie pan nie zastał.

— Bazyli — zawołał Dorian Gray — jeśli lord Henryk Wotton odejdzie, to ja też odchodzę. Nigdy nie otworzysz ust, gdy malujesz, a to strasznie nudno stać tak na podium, i do tego jeszcze robić przyjemną minę. Poproś go, aby został. Naprawdę zależy mi na tym.

— Zostań, Harry, by zrobić przyjemność Dorianowi, no i mnie także — rzekł Hallward nie odwracając oczu od obrazu. — To prawda, że podczas roboty nigdy nic nie mówię i nie słucham też, co do mnie mówią. Musi to być strasznie nudne dla moich nieszczęsnych modeli. Proszę cię, zostań.

— Ale co będzie z tym panem, z którym miałem się teraz spotkać?

Malarz się roześmiał.

— To chyba nie będzie przeszkodą. Siadaj, Harry. A teraz, Dorianie, wejdź na podium i nie ruszaj się za wiele. Nie potrzebujesz zważać na to, co mówi lord Henryk. On wywiera zgubny wpływ na wszystkich swych przyjaciół z wyjątkiem mnie.

Dorian Gray wszedł na podium z miną młodego greckiego męczennika, zrobił lekki grymas i rzucił porozumiewawcze spojrzenie w stronę lorda Henryka, który podobał mu się nadzwyczajnie. Był tak zupełnie inny niż Bazyli. Stanowili wspaniały kontrast. I miał tak pięcny głos. Po chwilowej pauzie Dorian zwrócił się do niego:

— . Czy wpływ pański jest istotnie taki zgubny, lordzie Henryku? Taki zgubny, jak twierdzi Bazyli?

— Dobry wpływ wcale nie istnieje, panie Gray. Ze stanowiska naukowego każdy wpływ jest niemoralny.

— Czemu?

— Bo wywierać na kogoś wpływ znaczy to samo, co obdarzać go swoją duszą. Człowiek taki nie posiada już wówczas własnych myśli. Nie pożerają go własne namiętności. Cnoty jego nie należą już do niego. Nawet jego grzechy, jeśli w ogóle grzechy istnieją, są zapożyczone od kogoś innego. Staje się on echem cudzej melodii, aktorem roli nie dla niego napisanej. Celem życia jest rozwój własnej indywidualności. Dać wyraz własnej swej naturze — oto nasze zadanie na ziemi. W naszych czasach człowiek odczuwa obawę przed sobą samym. Zapomniano o najwyższym obowiązku, o obowiązku względem siebie. Oczywiście ludzie są dobroczynni. Karmią głodnych, odziewają żebraków. Ale własne ich dusze marzną i cierpią głód. Ludzkość straciła odwagę. Może nie miała jej nigdy. Obawa przed społeczeństwem, na której opiera się moralność, obawa przed Bogiem, będąca tajemnicą religii — oto dwie potęgi, które nami rządzą. A jednak...

— Dorianie, proszę cię, zwróć głowę nieco na prawo — rzekł malarz, który całkowicie zatopiony w pracy zauważył tylko, że twarz chłopca przybrała wyraz, jakiego nigdy przedtem u niego nie widział.

— A jednak — mówił dalej lord Henryk cichym melodyjnym głosem, wykonując ręką swój charakterystyczny, wdzięczny, jeszcze z czasów szkolnych właściwy mu ruch — a jednak sądzę, że gdyby chociaż jeden człowiek wyżył się w pełni i całkowicie, nadając kształt każdemu swemu uczuciu, wyrażając każdą myśl, urzeczywistniając każde marzenie, już przez to samo spłynęłaby na świat taka olbrzymia fala radości, że musielibyśmy zapomnieć o całej chorobliwości

średniowiecza i powrócić do ideału helleńskiego, a może nawet doszlibyśmy do czegoś subtelniejszego, bogatszego niż ideał helleński. Ale najodważniejszy z nas boi się samego siebie. Samookaleczenie się dzikiego człowieka tragicznie przetrwało w abnegacji wypaczającej nasze życie. Wszyscy cierpimy karę za to, czego się wyrzekamy, i odruch przez nas zdławiony rozplądza się w naszej duszy i zatrzuwa ją. Ciało grzeszy i na tym grzech „kończy, bo czyn jest rodzajem oczyszczenia. Nie pozostaje wówczas nic prócz wspomnienia rozkoszy lub , który jest zbytkiem. Jedynym sposobem pozbycia pokusy jest uleganie jej. Gdy będziemy się jej wypierali, dusza zachoruje z tęsknoty za tym, czego sobie odmawiała, z żądz za tym, co potworne jej prawa uczyniły potwornym i bezprawnym. Powiedziano że największe zdarzenia świata dokonują się w mózgu. W mózgu też i jedynie w mózgu dokonują się największe grzechy świata. Nawet pan, panie Gray, nawet pan ze swą purpurowo — różową młodością i białą — szara chłopięcością miałeś namiętności, które cię przejmowały trwogą, myśli, których się lękałeś, marzeń we dnie i w nocy, których samo wspomnienie okrywało twą twarz rumieńcem wstydu.

— Dosyć — wyjąkał Dorian Gray — dosyć. Zdumiewa mnie pan. Nie wiem, co powiedzieć. Odpowiedź na to istnieje, ale ja jej nie umiem znaleźć. Niech pan nic nie mówi. Proszę pozwolić mi się zastanowić. Albo raczej proszę pozwolić, że spróbuję się nie zastanawiać.

Blisko dziesięć minut stał bez ruchu z rozchylonymi ustami i niezwykle błyszczącymi oczyma. Miał niewyraźną świadomość, że nurtują go całkiem nowe wpływy. Ale zdawało mu się, że one wyłaniają się z własnej jego istoty. Kilka słów wypowiedzianych przez przyjaciela Bazylego, kilka słów, rzuconych niewątpliwie bez namysłu i świadomie pełnych paradoksów, dotknęło w nim tajemnej jakiejś struny, nigdy przedtem nie potraconej, której dziwne drżenie i rozkołysanie czuł jednak w tej chwili.

W ten sposób zwykła go podniecać muzyka. Nieraz mąciła mu spokój. Ale muzyka nie przemawia dobitnymi słowami. Stwarzała w nim nie świat nowy, ale drugi chaos. Słowa. Same tylko słowa. Jakież były straszne! Jakże wyraźne, żywe i okrutne! Im ująć niepodobna! A jednak jaka w nich tajemnicza magia. Bezkształtnym rzeczom zdają się nadawać kształty plastyczne, mają własną muzykę, nie mniej słodką od dźwięków fletów i lutni. Same słowa. Czy istnieje coś równie rzeczywistego jak słowa?

Tak, w młodości jego były rzeczy, których nie rozumiał. Teraz je rozumiał. Życie nabrało nagle płomiennych barw. Zdawało mu się, że dotąd szedł przez ogień. Dlaczego nie wiedział tego wszystkiego?

Lord Henryk patrzył na niego z wnikliwym uśmiechem. Wyczuł dokładnie moment psychologiczny, kiedy nie należy nic mówić. Czuł najwyższe zainteresowanie. Zdumiewało go nagłe wrażenie, jakie wywarły jego słowa. Przypomniała mu się książka czytana w szesnastym roku życia, która odsłoniła mu wiele rzeczy, dotąd nie znanych, i rad by był wiedzieć, czy Dorian Gray przeżywał w tej chwili coś podobnego. Wypuścił po prostu strzałę w powietrze. Czyżby trafiła w cel? Jaki ten chłopak był fascynujący.

Hallward malował zawzięcie owym cudownie śmiałym dotknięciem pędzla, pełnym przy tym prawdziwej subtelności i finezji, która w sztuce jest niechybnie oznaką siły. Nie zauważył milczenia.

— Bazyli, znużyło mnie już to stanie — zawołał nagle Dorian Gray. — Muszę na chwilę usiąść w ogrodzie. Powietrze tutaj wprost mnie dusi.

— Bardzo mi przykro, mój drogi chłopcze. Gdy maluję, nie mogę myśleć o niczym innym. Ale nigdy nie pozowałeś lepiej. Stałeś zupełnie spokojnie i wreszcie uchwyciłem wyraz, którego ciągle szukałem: rozchylone usta i błyszczące spojrzenie. Nie wiem, o czym Harry mówił z tobą, ale to pewne, że wywołał na twojej twarzy cudowny wyraz. Zapewne prawil ci komplementy. Nie wierz ani jednemu słowu.

— Komplementów nie prawili mi z pewnością. Dlatego może nie wierzę ani trochę w to, co mi mówił.

— Pan sam wie, że pan wierzy we wszystko, co powiedziałem — rzekł lord Henryk, patrząc nań swymi marzycielskimi, nieco znużonymi oczyma. — Idę z panem do ogrodu. Strasznie tu gorąco w pracowni. Bazyli, każ nam podać jakiś napój chłodzący, może coś z truskawkami.

— Bardzo chętnie, Harry. Zadzwoń tylko, a gdy Parker przyjdzie, zaraz mu wydam polecenie. Ja muszę raz jeszcze przemalować tło, a potem przyjdę do was. Nie zatrzymuj Doriana zbyt długo. Nigdy mi robota nie szła tak dobrze jak dziś. To będzie moje arcydzieło. Jest nim już teraz.

Lord Henryk wyszedł do ogrodu i ujrzał, jak Dorian Gray, wtuliwszy głowę w olbrzymie pęki chłodnego kwiecia bzu, gorączkowo wchłaniał ich woń, jak gdyby była winem. Podszedł ku niemu i położył mu rękę na ramieniu.

— Dobrze pan robi — mruknął. — Tylko zmysły mogą uleczyć duszę, tak samo jak tylko dusza może uleczyć zmysły.

Chłopiec drgnął i cofnął się. Był bez kapelusza. Liście bzu potargały przekorne pukle włosów, płacząc złociste ich nici. Coś jakby trwoga pojawiło się w jego spojrzeniu, jak u człowieka nagle zbudzonego ze snu. Delikatnie rzeźbione nozdrza drżały, a jakiś skurcz wykrzywił purpurowe usta — dygotały jak w febrze.

— Tak — mówił dalej lord Henryk — to jedna z największych tajemnic życia: duszę leczyć zmysłami, a zmysły duszą. Cudowne z pana stworzenie. Wie pan więcej, niż sobie pan sam zdaje sprawę, a jednak mniej, niż pragnie pan wiedzieć.

Dorian Gray zmarszczył czoło i odwrócił twarz. Wbrew woli podobał mu się smukły, przystojny mężczyzna, który stał obok niego. Interesowała go romantyczna, smagła, nieco przeżyta twarz. W cichym, powolnym sposobie mówienia było coś niesłychanie fascynującego. Nawet chłodne białe ręce, wyglądające jak kwiaty, miały dziwny urok. Gdy mówił, poruszały się niby w takt melodii, jak gdyby własną swą posiadały wymowę. Ale Dorian obawiał się go i równocześnie wstydził się swej obawy. Czemu musiał przyjść człowiek obcy, aby mu objawić własną jego istotę? Bazylego Hallwarda znał od kilku miesięcy, ale przyjaźń z nim wcale go nie zmieniła. Nagle wszedł w jego życie ktoś, kto zdawał się odsłaniać mu tajemnice życia. A jednak, czego się obawiał? Nie jest przecie uczniakiem ani dziewczyną. Niedorzecznością było bać się.

— Usiądźmy w cieniu — rzekł lord Henryk. — Parker przyniósł właśnie coś do picia, a jeśli pan jeszcze dłużej będzie stać na tym upale, zepsuje pan sobie cerę i Bazyli nie będzie pana chciał malować. Naprawdę nie powinien się pan opalać. To byłoby nietwarzowe.

— Cóż może mi na tym zależeć — ze śmiechem powiedział Dorian Gray, siadając na ławie w końcu ogrodu.

— Panu powinno bardzo na tym zależeć, panie Gray.

— A to czemu?

— Bo jest pan cudownie młody, a młodość jest jedynym dobrem godnym posiadania.

— Ja tego nie czuję, lordzie Henryku.

— Tak, teraz pan tego nie czuje. Ale kiedyś, gdy pan będzie stary i brzydki, gdy myśl zmarszczkami porysuje panu czoło, a namiętność ohydny żarem spali usta, wtedy pan to odczuje. Teraz, gdziekolwiek się pan zwróci, oczarowuje pan wszystkich. Czy tak będzie zawsze? Panie Gray, pan jest cudownie piękny. Proszę nie marszczyć czoła. To prawda. A piękność jest formą geniuszu, piękność jest czymś więcej niż geniusz, gdyż nie potrzebuje komentarza. Należy do wielkich faktów świata jak słońce, wiosna lub odbicie w ciemnych wodach owej srebrnej łuski, którą nazywamy księżycem. Wątpić w nią niepodobna. Posiada

boskie prawo panowania. Książętami czyni tych, co ją posiadają. Pan się uśmiecha. O, kiedyś, gdy ją pan postrada, nie będzie się pan uśmiechał. Powiadają wprawdzie, że piękność jest czymś powierzchownym. Być może. Ale w każdym razie nie tak powierzchownym jak myśl. Dla mnie piękność jest cudem nad cudami. Tylko płytycy ludzie nie sądzą według pozorów. Prawdziwa tajemnica życia kryje się w widzialnym, a nie w niewidzialnym. Tak, panie Gray, bogowie byli dla pana łaskawi. Ale co bogowie dają, odbierają też rychło. Niewiele pan ma lat do życia pełnego, doskonałego, prawdziwego. Z młodością przeminie też pańska piękność i nagle pan odkryje, że nie czekają pana już triumfy lub że musi się pan zadowalać tymi miernymi zwycięstwami, które wspomnienie młodości uczyni bardziej gorzkimi od klęsk. Każda odmiana księżycy zbliża pana do czegoś strasznego. Czas panu zazdrości i przypuszcza szturm do pańskich lilii i róż. Stanie się pan błydy, będzie pan miał zapadniętą twarz i szklane spojrzenie. Okropnie będzie pan cierpieć. O, trzeba korzystać z młodości, dopóki ją pan ma. Niech pan nie roztrwania złota swoich dni, nie słucha gderaczy, nie pomaga tym, którzy są beznadziejnie zmarnowani, nie składa swego życia w ofierze głupcom, ludziom pospolitym, ordynarnym. Wszystko to są cele chorobliwe, fałszywe ideały naszych czasów. Niech pan żyje.. Niech pan żyje życiem pełnym czaru, który się w panu kryje. Niech pan nie zaniedbuje niczego. Proszę ciągle szukać nowych wrażeń. Nie bać się niczego... Nowy hedonizm — oto, czego wiek nasz potrzebuje. Pan mógłby się stać jego widocznym symbolem. Ze swą osobowością może pan zrobić wszystko. Świat należy do pana — przez jeden sezon... Skoro tylko pana ujrzałem, natychmiast spostrzegłem, że pan wcale właściwie nie wie, czym jest, czym mógłby się stać. Tyle rzeczy w panu mnie oczarowało, że uczułem się zmuszony opowiedzieć panu cośkolwiek o panu samym. Przyszło mi na myśl, jak byłoby smutno, gdyby się pan zmarnował. Bo młodość pańska potrwa tak krótko, tak bardzo krótko! Pospolite polne kwiaty więdną, ale rozkwitają na nowo. Złoty deszcz na przyszyły czerwiec okryje się taką samą szatą złocistą, w jaką się przystroił dzisiaj. Za parę tygodni powojnik okryje się purpurowymi gwiazdami i rok za rokiem zielona moc jego liści osłaniać będzie purpurę tych gwiazd. Ale nasza młodość nie wraca nigdy, tętno radości, jakie w nas bije w dwudziestym roku życia, słabnie. Członki nasze stają się ociężałe, zmysły tępieją. Wyradzamy się w obrzydliwe marionetki, w których, jak upiór, jedno tylko pokutuje wspomnienie — wspomnienie namiętności, przed którymi cofaliśmy się z lęku, i wspomnienie pokus, którym nie mieliśmy odwagi ulec. Młodość! Młodość! Nie ma na świecie nic nad młodość!

Dorian Gray słuchał zdumiony z rozszerzonymi źrenicami. Gałązka bzu wypadła mu z ręki na wysypaną zwirem ścieżkę. Włochata pszczoła przyfrunęła bliżej i przez chwilę słychać było jej ciche brzęczenie. Następnie zaczęła się wspinać na gwiazdziste korony delikatnego kwiecia. Obserwował ją z owym dziwnym zainteresowaniem dla drobnych rzeczy, jakie usiłujemy w sobie wzbudzić, ilekroć nas trwożą rzeczy wielkie lub wstrząsają nami nowe uczucia, których nie potrafimy wyrazić, albo straszna jakaś myśl nagle przypuszcza szturm do mózgu, i żąda, byśmy się jej poddali. Po chwili pszczoła uleciała. Widział, jak zapuszcza się w głąb kielicha powoju. Kwiat drgnął i przez chwilę kołysał się wdzięcznie na obie strony.

Nagle w drzwiach pracowni ukazał się malarz, niecierpliwymi gestami przyzywając ich z powrotem. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

— Czekam! — zawołał. — Chodźcie, proszę. Światło teraz znakomite, a szklanki możecie przecież zabrać z sobą.

Wstali i powoli szli ścieżką. Dwa zielono-białe motyle przefrunęły koło nich, a z gruszy w kącie ogrodu ozwał się drozd.

— Panie Gray, pan się cieszy, że mnie pan poznał — rzekł lord Henryk, patrząc na towarzysza.

— Tak, cieszę się... teraz. Czy zawsze będę się cieszył?

— Zawsze to straszne słowo. Dreszcz mnie przebiega, ilekroć je słyszę. Kobiety tak bardzo lubią to słowo. Psują każdy romans, starając się, by trwał wiecznie. Słowo to zresztą jest pozbawione treści. Jaka jest różnica między kaprysem a dozgonną miłością? Ta, że kaprys trwa trochę dłużej.

Gdy weszli do pracowni, Dorian Gray położył rękę na ramieniu lorda Henryka.

— Niechże więc przyjaźń nasza będzie kaprysem — szepnął i zarumienił się z powodu swej śmiałości. Wszedł na podium i przybrał poprzednią pozę.

Lord Henryk rzucił się na duży trzcinowy fotel i obserwował Doriana. Tylko pociągnięcia pędzla po płótnie przerywały ciszę. Od czasu do czasu Hallward cofał się o parę kroków, aby z odległości oglądać obraz. W ukośnych promieniach słońca, wypływających przez otwarte drzwi, wirowały złociste pyłki. A nad wszystkim zdawała się ciążyć upajająca woń róż.

W jakiś kwadrans później Hallward przestał malować, długo patrzył na Doriana Graya, następnie na obraz i obgryzając rączkę dużego pędzla, zmarszczył czoło.

— Skończone! — zawołał wreszcie. Schylił się i podłużnymi, karmazynowymi literami wypisał swe nazwisko u dołu po lewej stronie obrazu.

Lord Henryk podszedł ku niemu i przyglądał się obrazowi. Było to istotnie zarówno wspaniałe dzieło sztuki, jak zdumiewająco podobny portret.

— Najserdeczniej ci winszuję, mój drogi chłopcze — rzekł po chwili. — Najpiękniejszy to obraz naszej epoki. Proszę tu przyjść, panie Gray, i przyjrzeć się sobie samemu.

Młody człowiek zerwał się, jakby zbudzony ze snu.

— Czy istotnie skończony? — szepnął, zstępując z podium.

— Zupełnie — rzekł malarz. — A ty dziś cudownie pozowałeś. Bardzo ci dziękuję.

— W tym całkowicie moja zasługa — wtrącił lord Henryk. — Nieprawdaż, panie Gray?

Dorian nic nie odpowiedział, obojętnie przeszedł koło obrazu i podniósł na niego wzrok. Ujrzawszy go, cofnął się nieco, a twarz jego na chwilę okrył rumieniec radości. W oczach jego pojawił się błysk zadowolenia, jak gdyby widział siebie po raz pierwszy. Stał bez ruchu, zdumiony, na wpół tylko świadomy tego, że Hallward do niego mówi, nie rozumiejąc znaczenia jego słów. Poczucie własnej piękności spłynęło nań niby objawienie. Nigdy przedtem tego nie odczuwał. Komplementy Bazylego Hallwarda uważał za czarującą przesadę przyjaciela. Słuchał ich, śmiał się i zapominał o nich. Nigdy nie wywarły nań wrażenia. Nagle przyszedł lord Henryk Wotton ze swoim dziwnym hymnem na cześć młodości i strasznym ostrzeżeniem przed jej krótkotrwałością. To go wzburzyło, a teraz na widok odbicia własnej piękności błyskawicznie pojął całą prawdę opisu. Tak, pewnego dnia twarz jego stanie się zwiędła i pomarszczona, oczy szklane i bezbarwne, jego wdzięczna postać wykrzywi się i zniekształci! Karmin zniknie z jego warg, a złoto spełźnie z włosów. Życie, które ma ukształtować jego duszę, zepsuje ciało. Stanie się brzydki, wstrętny i odstrasżający.

Na tę myśl przeszył go ból dotkliwy niby ostrze noża, wprawiając w drżenie każde najdelikatniejsze włókno jego istoty. O — czy jego przybrały ciemną barwę ametystów i przestłoniły się mgłą łez. Miał uczucie, jak gdyby jakaś lodowata dłoń kładła mu się na serce.

— Czyż ci się nie podoba?! — zawołał wreszcie Hallward nieco urażony milczeniem, którego znaczenia nie rozumiał.

— Naturalnie, że mu się podoba — rzekł lord Henryk. — Komuż by się nie podobał? Portret ten należy do największych dzieł sztuki współczesnej. Dam ci za niego wszystko, co tylko zażądasz. Muszę mieć ten obraz.

— Nie należy do mnie, Harry.

— A do kogóż?



— Naturalnie, że do Doriana.

— Ten ma naprawdę szczęście.

— Jakie to smutne — szepnął Dorian Gray, ciągle jeszcze mając oczy utkwione we własny portret. — Jakie smutne! Ja się zestarzeję i będę brzydki i odpychający. Ale portret ten na zawsze pozostanie młody. Nigdy nie będzie starszy niż w dzisiejszym czerwcowym dniu. Gdybyż mogło być przeciwnie! Gdybym ja pozostał wiecznie młody, a obraz się starzał! Wszystko bym za to oddał, wszystko! Tak, nie ma nic na świecie, czego bym za to nie oddał. Oddałbym duszę własną!

— Dla ciebie, Bazyli zmiana taka nie byłaby zbyt pożądana — ze śmiechem powiedział lord Henryk. — Kiepska dola spotkałaby twoje dzieło.

— Energicznie bym protestował przeciwko temu — rzekł Hallward.

Dorian Gray odwrócił się i spojrział nań.

— Tak, wierzę, że zrobiłbyś to, Bazyli. Ty bardziej kochasz swą sztukę niż swych przyjaciół. Ja dla ciebie nie jestem niczym więcej od posągu z zielonego brązu. A może i czymś mniej.

Malarz spojrział nań przerażony. To nie był Dorian, to nie on mówił w ten sposób. Co się stało? Wyglądał na rozgniewanego. Krew uderzyła mu do głowy, policzki płonęły.

— Tak — mówił dalej — mniej dla ciebie znaczę niż twój Hermes z kości słoniowej lub srebrny Faun. Ich będziesz kochać zawsze. A jak długo mnie? Dopóty, dopóki pierwsze zmarszczki nie zeszpecą mi twarzy. Teraz już wiem z utratą piękności, czymkolwiek ona jest, traci się wszystko. Tego mnie nauczył twój obraz. Lord Henryk Wotton ma słuszość. Młodość jest jedyną rzeczą godną posiadania. Gdy spostrzegę, że się starzeję, zabiję się.

Hallward zbladł i gwałtownie chwycił go za rękę.

— Dorianie, Dodanie! — wykrzyknął. — Nie mów tak. Nigdy nie miałem takiego przyjaciela jak ty i nigdy nie będę miał drugiego. Chyba nie jesteś zazdrosny o rzeczy martwe? Ty, który jesteś piękniejszy od nich wszystkich!

— Jestem zazdrosny o wszystko, co posiada piękność nieśmiertelną. Jestem zazdrosny o własny portret, który namalowałeś. Czemu on ma zachować to, co ja muszę utracić? Każda ulatująca chwila coś mi zabiera, aby jego obdarzyć. O, gdyby było przeciwnie! Gdyby portret ulegał zmianie, a ja zawsze pozostałbym taki sam! Po co go namalowałeś? Pewnego dnia będzie się ze mnie bezlitośnie naigrawał.

Wyrwał rękę z uścisku malarza i rzucił się na kanapę, kryjąc twarz w poduszkach, jakby się modlił.

— Twoje to dzieło, Harry — z goryczą rzekł malarz.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

— To prawdziwy Dorian Gray. Nic więcej.

— Nieprawda.

— Jeśli nie, to cóż ja z tym mam wspólnego?

— Powinieneś być odejść, kiedy cię prosiłem — rzekł z cicha.

— Pozostałem na twą prośbę — odparł lord Henryk.

— Harry, nie mogę się sprzeczać równocześnie z moimi dwoma najlepszymi przyjaciółmi, ale wy obydwaj wzbudziliście we mnie nienawiść ku najlepszemu dziełu, jakie kiedykolwiek stworzyłem. Dlatego je zniszczę. Przecież to tylko płótno i farby, nic więcej. Nie stanie się kością niezgody w naszych stosunkach.

Dorian Gray podniósł z poduszki złocistą głowę; był blady i zażawionymi oczami patrzył, jak malarz podchodzi do stolika z farbami, ustawionego pod wysokim, zasłoniętym oknem. Za czym on się tak rozgląda?! Palce jego przetrząsnęły całą masę suchych pędzli, jakby czegoś szukały.

Tak, szukały dhigiego noża o cienkim ostrzu z giętkiej stali. Wreszcie go znalazły. Chciał pociąć płótno.

Ze zdławionym łkaniem Dorian porwał się z kanapy, przyskoczył do Hallwarda, wyrwał mu nóż i odrzucił daleko, aż do drzwi pracowni.

— Nie, Bazyli, nie! — krzyknął. — To byłoby morderstwo!

— Cieszę się, że ostatecznie jednak oceniasz moje dzieło — zimno rzekł Hallward, otrząsając się ze zdumienia. — Nie sądziłem, że się na to zdobędziesz.

— Jak to? Oceniam? Kocham je, Bazyli. Obraz ten jest częścią mojego ja. Czuję to.

— A zatem, gdy wyschniesz, zostaniesz wypokostowany i oprawiony. Potem odeślę cię do twego mieszkania i będziesz mógł zrobić z sobą, co ci się spodoba.

Przeszedł przez pokój i zadzwonił, by podano herbatę.

— Napijesz się herbaty, Dorianie? A ty także, Harry? A może gardzisz tak prostą przyjemnością?

— Przepadam za prostymi przyjemnościami — odrzekł lord Henryk. — Są one ostatnią przystanią ludzi skomplikowanych. Nie cierpię scen, co najwyżej chyba w teatrze. Ale jacyż wy obaj jesteście niemądrzy. Chciałbym wiedzieć, kto właściwie określił człowieka jako rozsądne zwierzę. Była to definicja jak najbardziej przedwczesna. Człowiek jest raczej wszystkim innym niż rozsądnym zwierzęciem. To zresztą całe szczęście, chociaż wolałbym, abyście się nie kłócili o ten obraz. Najlepiej zrobisz, Bazyli, jeśli go dasz mnie. Ten niemądry chłopiec i tak nie wie, co z nim począć. Ja natomiast wiem doskonale.

— Bazyli, jeśli dasz ten obraz komu innemu, a nie mnie, nie wybaczę ci tego nigdy — zawołał Dorian Gray. — I nikomu nie wolno nazywać mnie niemądrym chłopcem.

— Wiesz, Dorianie, że obraz ten należy do ciebie. Dałem ci go, zanim jeszcze istniał.

— I pan wie również, panie Gray, że był pan trochę niemądry, i w gruncie rzeczy nie bardzo pan protestuje, jeśli ktoś stwierdza, że pan jest jeszcze bardzo młody.

— Dziś rano byłbym bardzo protestował, lordzie Henryku.

— O, dziś rano! Ale od tej chwili przeżył pan już jakiś czas.

Zapukano do drzwi i wszedł służący z pełną tacą. Postawił ją na japońskim stolyczku. Zabrzęczały filiżanki i spodki, zasyczał płomyk pod imbrykiem z osiemnastego wieku. Młodszy służący przyniósł dwa kulistego kształtu chińskie półmiski. Dorian Gray podszedł i nalewał herbatę. Obydwaj mężczyźni powoli zbliżyli się i zajrzeli pod pokrywę półmisków.

— Chodźmy dziś wieczór do teatru — odezwał się lord Henryk. — W którymś z teatrów będzie przecież coś dobrego. Przyrzekłem wprowadzić jeść dziś u White'a, ale tylko ze starym przyjacielem. Mogę mu zadeszować, że jestem chory albo że nie mogę przyjść z powodu pewnego zobowiązania. Zdaje mi się, że byłoby to bardzo piękne usprawiedliwienie, posiadałoby wszelkie cechy niespodziewanej szczerości.

— Tak nudno wkładać frak — mruczał Hallward. — A jak się go włoży, to dopiero człowiek wygląda szkaradnie.

— Tak — odparł zadumany lord Henryk — strój dziewiętnastego wieku jest obrzydliwy. Taki ponury, przygnębiający. Grzech jest jedyną barwną rzeczą, jaka jeszcze pozostała dzisiejszemu życiu.

— Harry, w obecności Doriana nie powinieneś naprawdę mówić takich rzeczy.

— W obecności którego Dorian? Tego, co nalewa herbatę, czy tego, co jest na portrecie?

— Żadnego.

— Chciałbym pójść z panem do teatru, lordzie Henryku — rzekł Dorian.

— No to pójdziemy. A ty także, Bazyli, nieprawdaż?

— Nie mogę. Naprawdę wolałbym nie iść. Tyle mam do roboty.

— Dobrze, więc pójdziemy sami, panie Gray.

— Z przyjemnością, lordzie Henryku.

Malarz zagryzł wargi i z filiżanką w ręku podszedł do portretu.

— Ja zostanę z prawdziwym Dorianem — rzekł smutno.

— Czy to jest prawdziwy Dorian? — zapytał model portretu, zbliżając się do malarza. — Czy naprawdę jestem do niego podobny?

— Tak, najzupełniej.

— Bazyli, jak to cudownie!

— Przynajmniej zewnętrznie jesteś podobny do portretu. Ale on się nigdy nie zmieni — westchnął Hallward. — To już jest coś.

— Ile hałasu ludzie robią z powodu wierności — powiedział lord Henryk. — Nawet w miłości jest ona tylko problemem fizjologicznym. Z wolą naszą nie ma nic wspólnego. Młodzi ludzie chcieliby być wierni, a nie są, starzy chcieliby być niewierni, a nie mogą. Nic więcej nie da się o tym powiedzieć.

— Dorianie, nie chodź dziś wieczór do teatru. Zostań u mnie.

— Nie mogę, Bazyli.

— Czemu?

— Bo przyrzekłem lordowi Wottonowi, że z nim pójdę.

— Nie będzie cię bardziej lubił, gdy dotrzymasz przyrzeczenia. On zawsze łamie swoje obietnice. Proszę cię, nie idź.

Dorian Gray ze śmiechem potrząsnął głową.

— Usilnie cię proszę.

Młody człowiek zawahał się i spojrzał na lorda Henryka, który siedział przy stoliku i przyglądał im się z rozbawionym uśmiechem.

— Muszę pójść, Bazyli — odpowiedział.

— Dobrze — rzekł Hallward, zbliżając się do stolika i odstawiając filiżankę. — Późno już, a ponieważ musicie się przebrać, więc nie traćcie czasu. Bądź zdrow, Harry. Bądź zdrow, Dorianie. Przyjdź niezadługo. Przyjdź jutro.

— Naturalnie.

— Nie zapomnisz?

— Cóż znowu, Bazyli! — A ty, Harry...

— Czego sobie życzysz, Bazyli?

— Nie zapomnij, o co cię prosiłem, gdy rano byliśmy w ogrodzie.

— Zapomniałem.

— Polegam na tobie.

— Chciałbym móc sam na sobie polegać — zaśmiał się lord Henryk. — Chodźmy, panie Gray. Powóz mój czeka. Mogę pana odwieźć do mieszkania. Do widzenia, Bazyli. Popołudnie dzisiejsze było bardzo przyjemne.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, malarz rzucił się na sofę, a na twarzy jego wystąpił wyraz bólu.

### III

Nazajutrz o pół do pierwszej w południe lord Henryk Wotton powolnym krokiem szedł z Curzon Street do Albany, aby odwiedzić swego wuja, lorda Fermora, jowialnego, aczkolwiek trochę szorstkiego w obejściu starego kawalera. Świat nazywał go egoistą, ponieważ nie ciągnął z niego szczególniejszych korzyści, ale w towarzystwie uchodził za hojnego, gdyż suto podejmował ludzi, którzy go bawili. Ojciec jego był ambasadorem w Madrycie, kiedy Izabela była młoda i nikt nie słyszał o Primie. Ale w chwili rozdrażnienia wycofał się ze służby dyplomatycznej z powodu tego, że mu nie zaofiarowano ambasady w Paryżu, sądził bowiem, że jego arystokratyczne pochodzenie, opieszałość, poprawna angielszczyzna jego depesz i niezwykła żądza przyjemności najzupełniej go uprawniają do tego stanowiska. Syn był sekretarzem swego ojca i wraz ze swym szefem podał się do dymisji — co wówczas poczytywano mu za głupotę. W parę miesięcy później, zostawszy spadkobiercą ojca, zabrał się do poważnych studiów nad wielką arystokratyczną sztuką absolutnego próżnowania. Miał w mieście dwa wielkie domy, wolał jednak mieszkać w wynajętym mieszkaniu, bo tak było wygodniej, a jadał zwykle w klubie. Interesował się po trochu administracją swych kopalń węgla w hrabstwach środkowej Anglii, a zarzuty czynione mu z powodu kalandria się przemysłem odpierał zwykle tym, że dżentelmen posiadający kopalnie węgla może sobie pozwolić na zbytek palenia drzewem. W polityce zawsze był torysem, o ile torysi nie byli u steru. Gdy to następowało, kłął na nich siarczyście, nazywając ich bandą radykałów. W oczach swego służącego, który go tyranizował, był bohaterem, ale dla krewnych, których on z kolei tyranizować potrafił, był postrachem. Tylko Anglia mogła go być wydać. Stale też utrzymywał, że kraj chyli się ku upadkowi. Zasady miał przestarzałe, ale niejedno dałoby się powiedzieć w obronie jego przesądów.

Gdy lord Henryk wszedł do pokoju, zastał wuja w grubej kurtce myśliwskiej. Palił cygaro i pomrukiwał czytając „Timesa”.

— I cóż, Harry — powiedział stary lord — cóż cię sprowadza tak wcześniej? Sądziłem, że wy, dandysi, nigdy nie wstajecie przed drugą i nie pokazujecie się przed piątą.

— Czysta miłość do rodziny, wuju George. Chciałbym od ciebie coś wydostać.

— Pieniądze zapewne — rzekł lord Fermor z miną niezadowoloną. — No, siadaj i powiedz, o co chodzi. Dzisiejsza młodzież wyobraża sobie, że pieniądze co wszystko.

— Tak — odparł lord Henryk poprawiając kwiat w butonierce — a gdy są starsi, to wiedzą o tym. Ja jednak nie potrzebuję pieniędzy. Tylko ludzie płacący swe rachunki potrzebują pieniędzy, wuju, ale ja swoich nie płacę nigdy. Kredyt to kapitał młodszych synów i doskonale można z niego żyć. Zresztą kupuję wszystko u dostawców Dartmoora, więc nie nalegają na mnie. Potrzebuję od wuja tylko informacji, oczywiście informacji bezużytecznej.

— Mogę ci udzielić objaśnień o wszystkim, co tylko zawiera błękitna księga angielska. Chociaż, swoją drogą, te draby bazgrzą dziś najrozmaitsze brednie. Kiedy ja jeszcze byłem w służbie dyplomatycznej, wszystko się lepiej przedstawiało. Teraz, jak słyszę, przyjmują tam tylko na mocy egzaminów. Czegóż się można spodziewać? Egzaminy to po prostu idiotyzm od początku do końca. Jeżeli ktoś jest dżentelmenem, to wie dosyć, a jeśli ktoś nim nie jest, to cała ta wiedza może mu tylko zaszkodzić.

— Dorian Gray nie figuruje w błękitnej księdze, wuju — rzekł lord Henryk znudzony.

— Dorian Gray? Kto to jest? — spytał lord Fermor ściągając białe, krzaczaste brwi.

— Tego właśnie chciałem się dowiedzieć, wuju George. A właściwie wiem, kim jest.

Wnukiem ostatniego lorda Kelso. Matką jego była lady Devereux, lady Margareta Devereux. Chciałbym coś wiedzieć o jego matce. Jaka to była kobieta? Za kogo wyszła? Swego czasu znałeś przecie wszystkich, to i ją mogłeś znać. Interesuję się chwilowo panem Grayem. Właśnie go poznałem.

— Wnuk Kelso'ego — jak echo powtórzył stary lord. — Wnuk Kelso'ego!..; Naturalnie, doskonale znałem jego matkę. Byłem chyba na jej chrzcinach. Była nadzwyczajnie piękną dziewczyną ta Margareta Devereux i niemal o szaleństwo przypawiła wszystkich młodych ludzi uciekając z biednym jak mysz kościelna młodym chłopcem, no, takim sobie zerem, podrzędnym jakimś oficerkiem infanterii czy czymś podobnym. Tak, oczywiście! Pamiętam tę całą historię, jakby się wszystko działo wczoraj. Nieszczęsny w parę miesięcy po ślubie został zabity w pojedynku w Spa. Brzydko o tym mówiono. Kelso miał wynająć jakiegoś łotra, awanturnika, taką bestię belgijską, aby publicznie zelżył zięcia. Zapłacił mu, po prostu zapłacił, a ten łajdak wsadził biedaka na rożen jak gołębia. Zatuszowano całą historię, no ale Kelso mimo to przez długi czas sam siadywał w klubie podczas obiadu. Powiadają, że sprowadził córkę z powrotem do siebie, ale ona nigdy nie zamieniła z nim słowa. O tak, przykra to była historia. Dziewczyna też umarła, tak, umarła w rok później. Więc zostawiła syna? Całkiem o tym zapomniałem. I cóż to za chłopiec? Jeśli podobny do swej matki, to musi być urodziwy.

— Bardzo jest piękny — potwierdził lord Henryk.

— Mam nadzieję, że dostanie się we właściwe ręce — mówił stary lord. — Czeką go spora kupa złota, jeśli Kelso spełnił względem niego swój obowiązek. I matka miała pieniądze. Cała posiadłość Selby spadła na nią po dziadku. Jej dziadek nienawidził Kelso'ego, nazywał go podłym psem. Bo też nim był. Przyjechał raz do Madrytu, kiedy ja tam bawiłem. No, musiałem się wstydzić. Nawet królowa pytała mnie o angielskiego lorda, który się targuje z fiakrami. Dużo o tym gadano. Przez cały miesiąc nie śmiałem się pokazać u dworu. Mam nadzieję, że lepiej się obszedł ze swym wnukiem niż z fiakrami.

— Nie wiem — odparł lord Henryk. — Zdaje mi się jednak, że chłopak będzie dobrze sytuowany. Jeszcze nie jest pełnoletni. Selby należy do niego. Opowiadał mi o tym. A... matka jego była bardzo piękna?

— Margareta Devereux była jedną z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek widziałem, Harry. Co ją pchnęło do tej całej historii, tego nigdy nie zdołam zrozumieć. Mogła wyjść za każdego, kogo by tylko zechciała. Carlington za nią szalał. Ale była romantyczką. Wszystkie kobiety w jej rodzinie były takie. Mężczyźni byli dość nieciekawi, ale za to kobiety — wspaniałe! Carlington padał przed nią na kolana. Sam mi opowiadał. Śmiała się z niego. A nie było wówczas w Londynie dziewczyny, która by za nim nie przepadała. Nawiasem mówiąc, Harry, skoro już poruszyliśmy temat głupich małżeństw, cóż to za brednie opowiada twój ojciec? Dartmoore ma się żenić z Amerykanką? Angielskie dziewczęta już go nie zadowolają?

— O, to teraz w modzie, wuju, żenić się z Amerykankami.

— Ja w obronie angielskiej kobiety stanę przeciw całemu światu! — zawołał lord Fermor uderzając pięścią w stół.

— Zakłady stawia się dziś o Amerykanki.

— Podobno nie dotrzymują placu — mruknął stary lord.

— Długie narzeczeństwo je wyczerpuje, ale na parforsach są niezrównane. Chwytają zwierzyne w lot. Nie sądzę, aby Dartmoore się wywinął.

— Cóż to za rodzina? — mruknął stary lord. — Czy jest w ogóle jakaś rodzina?

Lord Henryk potrząsnął głową.

— Amerykanki równie zgrabnie ukrywają swych rodziców jak Angielki swą przeszłość — rzekł zabierając się do odejścia.

— Zapewne handlarze wieprzowiną?

— Spodziewam się ze względu na Dartmoore'a. Słyszałem, że handel wieprzowiną jest w Ameryce najintratniejszym interesem po polityce.

— Czy ładna?

— Zachowuje się, jak gdyby była piękna. Zresztą robi to większość Amerykanek. W tym tajemnica ich czaru.

— Czemu te Amerykanki nie pozostają w swej ojczyźnie? Wciąż nam opowiadają, że Ameryka jest istnym rajem dla kobiet.

— Bo istotnie nim jest. Dlatego właśnie, jak ich pramatka Ewa, kobiety jak najprędzej pragną się z niego wydostać — rzekł lord Henryk. — Adieu, wuju, spóźnię się na lunch, jeśli zostanie dłużej. Dziękuję za wiadomości. Chcę zawsze wszystko wiedzieć o nowych przyjaciołach, a nie o starych.

— Gdzie dziś będziesz na lunchu, Harry?

— U ciotki Agaty. Zaprosiłem się do niej razem z panem Grayem. To jej ostatni protegowany.

— U ciotki Agaty. Zaprosiłem się do niej razem z panem Gra — yem. To jej ostatni protegowany.

— Aha! To powiedz, Harry, przy sposobności tej swojej ciotce Agacie, by mi dała spokój ze swymi dobroczynnymi historiami. Mam ich już dosyć. Pocziwa kobiecina sądzi zapewne, że nie mam nic innego do roboty, jak wystawiać czeki na jej grupie zachcianki.

— Dobrze, wuju, powtórzę jej to. Ale na nic się to nie przyda. Filantropi zatracają zmysł humanitarny. Tym się różnią od innych ludzi.

Stary pan mruknął coś potakująco i zadzwonił na służącego. Lord Henryk przeszedł wzdłuż niskich arkad na Burlington Street, po czym skręcił na Berkeley Square.

Więc taka była historia rodziców Doriana. Pomimo że poznał ją tylko w zarysach, niemniej owiało go tchnienie jakiejś niezwyklej, niemal współczesnej romantyczności. Piękna kobieta poświęcająca wszystko dla szalonej namiętności. Kilka tygodni dzikiego szczęścia, zakończonego potworną, zdradziecką zbrodnią. Długie miesiące niemej męczarni, potem w bólach zrodzone dziecko. Matka porwana przez śmierć, dziecko pozostawione na łup samotności i tyranii starego egoisty. Tak, tło było zajmujące. Odpowiednie dla tego chłopca, dodawało mu jeszcze uroku. Poza każdą z cudownych istniejących rzeczy kryło się coś tragicznego. Porodowe bóle musiały wstrząsać światami, by wyrósł mógł najmniejszy kwiatek. A jak czarujący był Gray poprzedniego wieczora przy obiedzie, kiedy z płonącymi oczami i na wpeł rozchylonymi ustami, pełen trwożnej radości siedział naprzeciw niego w klubie, a czerwone blaski świec różowiły budzący się cud jego twarzy. Mówić do niego to jakby grać na cudownych skrzypcach. Odpowiadał na każde dotknięcie, na każde pociągnięcie smyczka. Było coś niezwykle fascynującego w wywieraniu takiego wpływu. Nic nie mogło się równać podobnej grze. Własną duszę przelewać do wdzięcznego naczynia i na chwilę ją tam pozostawić, słyszeć echo własnych poglądów, wzbogacone melodią namiętności i młodości, temperament swój przekazywać komuś drugiemu niczym subtelny fluid lub niezwyklej aromatu; w tym kryło się źródło prawdziwej radości, najwyższej może radości, jaka jeszcze pozostała naszej ograniczonej, marnej epoce — epoce o rozkoszach gruboskórnie cielesnych, o celach gruboskórnie pospolitych. Ten chłopiec, przypadkiem spotkany w pracowni Bazylego, to cudowny typ człowieka albo raczej doskonały materiał z którego można stworzyć coś cudownego. Posiada wdzięk i białą czystość młodości, i piękność, jaką zachowały chyba tylko stare greckie marmury. Wszystko można z niego zrobić: tytana lub zabawkę. Jakież to smutne, że piękność taka musi zwiędnąć. A Bazyl? Jaki interesujący okaz dla psychologa. Nowy styl w sztuce, nowy sposób patrzenia na życie, którego dziwnym bodźcem była sama obecność drugiego człowieka, nieświadomego swej roli; ten niemy

duch, co w leśnym przebywa mroku, niepostrzeżenie przez otwarte kroczy pola i ukazuje się jak driada, nagle a bez lęku, ponieważ w duszy tego, co go szukał, zbudziła się cudowna moc widzenia, której jedynie cudowne odsłaniają się rzeczy. Kształty i kontury stają się coraz bardziej subtelne, nabierają pewnej symbolicznej wartości, jakby same były przykładami innej doskonałej formy, której odbicie wciela się w życie. Jakże to wszystko niezwykle! Przypomniał sobie o czymś analogicznym w historii. Czy to nie Platon, ów artysta myśli, pierwszy badał te rzeczy? Czy Buonarroti nie wykuł tego w barwnym marmurze sekwencji sonetu? Ale w naszym wieku było to dziwne i rzadkie. Tak, spróbuje stać się dla chłopca tym, czym chłopiec nieświadomie był dla malarza, twórcy wspaniałego obrazu. Spróbuje go opanować, już mu się to niemal udało. Podbije ten cudowny umysł. Test coś fascynującego w tym synu miłości i śmierci.

Nagle przystanął i rozejrzał się po domach. Spostrzegł, że dawno już minął dom ciotki, i uśmiechając się do siebie, ruszył z powrotem. Gdy wszedł do nieco ponurego hallu, służący powiedział mu, że właśnie podano do stołu. Oddał jednemu z lokai kapelusz i laskę i wszedł do jadalni.

— Harry jak zwykle spóźniony — przywitała go ciotka, potrząsając głową.

Wynalazł prędko jakieś usprawiedliwienie, usiadł obok niej na wolnym krześle i rozejrzał się po towarzystwie. Dorian skłonił mu się nieśmiało z końca stołu, płonął rumieńcem radości. Naprzeciw siedziała księżna Harley, dama niezwykle miłego charakteru i temperamentu, którą lubił każdy, kto tylko ją znał. Architektoniczne proporcje jej budowy były tak potężne, że historyk współczesny u każdej damy nie będącej księżną nazwałby je otyłością. Po jej prawicy siedział sir Tomasz Burdon, radykalny członek Parlamentu, który za przywódcą swej partii szedł tylko w życiu publicznym, w prywatnym natomiast — za najlepszymi kucharzami, nadto jadał obiady z torysami, dzielił poglądy z liberałami stosownie do mądrej a dobrze znanej reguły. Po lewej stronie siedział pan Erskine z Treadley, starszy pan posiadający dużo wdzięku i kultury, który jednak popadł w zły nałóg milczenia, a to z tego powodu, że — jak raz oświadczył lady Agacie — wszystko, co miał do powiedzenia, powiedział już przed ukończeniem trzydziestego roku życia. On sam miał za sąsiadkę panią Vandeleur; była to prawdziwa święta między niewiastami, ale tak szpetnie ubrana, że wyglądała jak źle oprawiony modlitewnik. Szczęściem dla niego, drugim jej sąsiadem był lord Faudel, bardzo inteligentna miernota, w średnim wieku, łysy i bezbarwny jak wypowiedź ministerialna w Izbie Gmin, ona jednak rozmawiała z nim z ową głęboką powagą, będącą wadą niewybaczalną, w którą, jak raz był zauważył, popadają wszyscy ludzie prawdziwie dobrzy, by się już nigdy całkowicie z niej nie wyleczyć.

— Mówimy o tym biednym Dartmoore, lordzie Henryku — odezwała się księżna, witając go zza stołu przyjaznym kiwnięciem głowy. — Czy pan istotnie sądzi, że on ożeni się z tą czarującą dziewczyną?

— Sądzę, księżno, że to ona zdecydowała mu się oświadczyć.

— Coś strasznego! — wykrzyknęła lady Agata. — Należałoby temu przeszkodzić.

— Z dobrego źródła otrzymałem wiadomości, że ojciec jej ma olbrzymią fabrykę tekstyliów — rzekł sir Tomasz Burdon z pogardliwym spojrzeniem.

— Mój wuj, sir Tomasz, posądzał go już o dostawy wieprzowiny.

— Tekstylii? Co to są amerykańskie tekstylii? — spytała księżna, wznosząc do góry wielkie ręce, jakby dla dobitnego zaakcentowania swego zdumienia.

— Amerykańskie powieści — odparł lord Henryk, biorąc z półmiska przepiórkę.

Księżna się trochę zmieszła.

— Nie zważaj na niego, moja droga — szepnęła lady Agata — nigdy nie wierzy w to, co mówi.

— Kiedy odkryto Amerykę — zaczął radykał i zacytował kilka faktów. Jak każdy, kto pragnie przedmiot swój wyczerpać, i on wyczerpał cierpliwość słuchaczy. Księżna westchnęła i skorzystała ze swego przywileju przerywania toku rozmowy.

— Bodajby jej nigdy nie odkryli! — zawołała. — Zaiste, nasze dziewczęta nie mają już teraz żadnych widoków, a to przecież niesprawiedliwe.

— A może w gruncie rzeczy Ameryka wcale nie została odkryta — rzekł pan Erskine. — Twierdziłbym, że została zaledwie dostrzeżona.

— Och, kiedy ja widziałam parę jej mieszkańek — odparła księżna. — I muszę przyznać, że przeważnie są bardzo ładne. Doskonale się ubierają. Wszystko kupują w Paryżu. Byłabym zadowolona, gdybym sobie mogła na to pozwolić.

— Powiadają, że dobrzy Amerykanie idą po śmierci do Paryża — zaśmiał się sir Tomasz, posiadający całą garderobę znoszonych ubiorów księcia Dowcipu.

— Istotnie. A dokąd idą po śmierci źli Amerykanie? — spytała księżna.

— Do Ameryki — wtrącił lord Henryk. Sir Tomasz zmarszczył czoło.

— Zdaje mi się, że siostrzeniec pani jest uprzedzony do tego wielkiego kraju — rzekł do lady Agaty. — Podróżowałem tam po całym kraju w specjalnych wagonach dostarczonych przez dyrektorów, którzy w tych wypadkach są nadzwyczajnie uprzejmi. Zapewniam panią, że taka podróż jest bardzo kształcąca.

— Ależ czy koniecznie musimy widzieć Chicago, aby zdobyć wykształcenie? — bolesnym głosem zapytał pan Erskine. — Ja się już nie czuję na siłach do podobnej podróży.

Sir Tomasz machnął ręką.

— Pan Erskine z Treadley ma świat w swej bibliotece. My, ludzie praktyczni, chcemy rzeczy widzieć, nie czytać o nich. Amerykanie to niezwykle zajmujący naród. Są absolutnie rozsądni. Zdaje mi się, że to ich cecha znamienne. Tak, panie Erskine, absolutnie rozsądny naród. Zapewniam pana, że w Ameryce nie ma nedorzecznosci.

— Jakie to straszne! — zawołał lord Henryk. — Mogę znieść brutalną przemoc, ale brutalny rozsądek jest nieznośny. Posługiwanie się nim jest czymś nierzetelnym. To cios poniżej intelektu.

— Niezupełnie pana rozumiem — rzekł sir Tomasz, czerwieniejąc.

— Ja rozumiem, lordzie Henryku — mruknął pan Erskine z uśmiechem.

— Paradoksy są na swój sposób bardzo piękne i dobre — zaczął znów baron.

— Czy to był paradoks? — spytał pan Erskine. — Nie sądzę. A może... Zresztą paradoksy chodzą tymi samymi drogami co prawda. Jeśli chcemy badać rzeczywistość, musimy jej wpieregnać na tańcu. O prawdach można wydawać sąd dopiero wtedy, gdy się stają akrobatami.

— Na Boga! — zawołała lady Agata. — Co też ci mężczyźni wygadują! Nigdy właściwie nie wiem, o co im chodzi. Harry, na ciebie jestem naprawdę rozgniewana. Czemu to próbujesz odwieść naszego kochanego Doriana Graya od występu w East End? Byłby dla nas wprost nieoceniony. Tyle przyjemności sprawiłaby tam jego gra.

— Chcę, aby grał dla mnie — zaśmiał się lord Henryk, patrząc na drugi koniec stołu, skąd biegło już doń żywe, potakujące spojrzenie.

— Ale ci biedacy w Whitechapel są tak nieszczęśliwi — nalegała lady Agata.

— Mam współczucie dla wszystkiego, tylko nie dla cierpienia — odparł lord, wzruszając ramionami. — Dla cierpienia nie mogę mieć współczucia. Zbyt jest brzydkie, zbyt straszne i przygnębiające. Nasza dzisiejsza sympatia dla bólu jest wprost chorobliwa. Należy obdarzać sympatią barwę, piękno, radość. Im mniej się mówi o mrokach życia, tym lepiej.

— A jednak East End jest ważnym problemem — wtrącił sir Tomasz, poważnie kiwając głową.



— Całkiem słusznie — odparł młody lord. — Jest to problem niewolnictwa, a my szukamy rozwiązania, szukając niewolników.

Polityk spojrział nań bystro.

— A jakie reformy pan proponuje? — spytał. Lord Henryk się roześmiał.

— Nie pragnę zgoła, aby się w Anglii cokolwiek zmieniło, z wyjątkiem pogody. Mnie wystarcza kontemplacja filozoficzna. Ponieważ jednak wiek dziewiętnasty zbankrutował przez nadmiar współczucia, więc proponowałbym, aby się zwrócić o pomoc do nauki. Zaletą uczuć jest, że prowadzą nas na bezdroża, zaletą nauki, że wcale nie budzi uczuć.

— Ale na nas ciąży przecież tak straszna odpowiedzialność — nieśmiało zauważyła pani Vandeleur.

— Straszna odpowiedzialność — jak echo powtórzyła lady Agata.

Lord Henryk spojrział w stronę pana Erskine'a.

— Ludzkość traktuje siebie zbyt serio. To grzech pierworodny świata. Gdyby człowiek jaskiniowy znał śmiech, cała historia innym poszłaby torem.

— Bardzo mnie pan pocieszył — zaświergotała księżna. — Zawsze się poczuwałam do winy, przychodząc do pańskiej ciotki. Bo właściwie to East End wcale mnie nie interesuje. Odtąd będę mogła bez rumienienia się patrzeć jej w oczy.

— Rumieniec bywa bardzo twarzowy — zauważył lord Henryk.

— Och, tylko póki człowiek jest młody — odparła. — Gdy taka stara kobieta jak ja się rumieni, jest to zawsze bardzo zły znak. Lordzie Henryku, chciałabym, aby mi pan podał sposób odzyskania młodości.

Lord Henryk zamyślił się na chwilę.

— Przypomina sobie księżna jakiś wielki błąd popełniony w młodości? — spytał, patrząc na nią.

— Ach, całą masę błędów! — zawołała.

— Proszę je popełnić na nowo — rzekł poważnie. — Chcąc odzyskać młodość, trzeba tylko powtórzyć dawne szaleństwa.

— Cudowna teoria — powiedziała. — Muszę ją wypróbować.

— Niebezpieczna teoria — padło z cienkich warg sir Tomasza. Lady Agata potrząsnęła głową, lecz była rozbawiona. Pan Erskine słuchał z natężoną uwagą.

— Tak — mówił dalej lord Henryk — to jedna z największych tajemnic życia. Dziś przeważna część ludzi umiera na epidemię zdrowego rozsądku. Za późno poznajemy, że jedyną rzeczą, której nie należy żałować, to nasze błędy.

Śmiech obiegł całe towarzystwo.

A on igrał z tą myślą i rozzuchwalał się coraz więcej. Podrzucał ją w górę i odwracał, pozwalał jej wyslizgiwać się i znów chwycił w locie, kazał się jej mienić tęczowymi barwami fantazji i uskrzydlał ją paradoksami. Apologia szaleństwa wznosiła się do wyżyn filozofii, a filozofia sama stała się młoda, strojna w szatę poplamioną winem i w wieniec z bluszczu, słuchała szalonej muzyki rozkoszy, jak bachantka tańczyła po wzgórzach życia, naigrawając się z leniwego Sylena, że jest trzeźwy. Fakty uciekały przed nią niby wystraszona zwierzyna leśna. Jej białe stopy deptały wielką tłocznię, przy której siedzi Omar, mędrzec, aż kipiący sok winnych gron purpurową strugą bluznął na jej nagie nogi lub czerwoną pianą kipiał ponad czarnymi, ociekającymi ścianami kadzi. Świetna to była improwizacja. Czuł, że oczy Doriana Graya wpiły się w niego, a świadomość, że pomiędzy słuchaczami jest ten, którego pragnie oczarować, użyczała jego dowcipowi bystrości, a fantazji barw. Był świetny, fantastyczny, nieokiełznany. Wywabiał słuchaczy z głębi ich samych i szli za jego fletem wśród śmiechu. Dorian Gray nie odwracał od niego oczu, jakby urzeczony czarodziejskim słowem, uśmiech przemykał po jego

wargach, a oczy pociemniały od głębokiego podziwu. Seszele jednak, przybrana w szatę epoki, weszła do pokoju rzeczywistość w postaci służącego, który zameldował księżnej, że powóz jej czeka. Załamała ręce z udaną rozpaczą, wołając:

— Jakie to nieznośne! Muszę odejść. Mam wstąpić do klubu po męża, by mu towarzyszyć na jakieś śmieszne zebranie u Willisa, na którym ma przewodniczyć. Jeśli się spóźnię, będzie wściekły, a ja w tym kapeluszu nie mogę się narażać na sceny. Zbyt jest delikatny. Ostre słowo mogłoby go zniszczyć! Nie, Agato, muszę odejść. Adieu, lordzie Henryku. Jest pan zachwycający i strasznie niemoralny. Nie wiem istotnie, co powiedzieć o pańskich poglądach. Musi pan przyjść do nas któregoś wieczora na obiad. We wtorek. Czy pan jest wolny we wtorek?

— Dla księżny gotów jestem zrobić zawód każdemu — z ukłonem rzekł lord Henryk.

— O, to bardzo pięknie i bardzo źle z pańskiej strony — odparła. — Więc proszę pamiętać, we wtorek! — I skierowała się ku drzwiom.

Lady Agata i inne damy poszły za nią. Gdy lord Henryk znów usiadł, pan Erskine obszedł stół dokoła, siadł na krześle stojącym obok niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Zaćmiewa pan wszystkie książki — powiedział — czemu pan sam nie pisze?

— Zbyt chętnie czytam książki, by je pisać, panie Erskine. Zresztą napisałbym może kiedyś powieść, piękną jak perski kobierzec i równie fantastyczną. Ale w Anglii istnieje już tylko publiczność zdolna do czytania dzienników, elementarza i leksykonów. Żaden naród na świecie nie stracił w równej mierze jak Anglicy zmysłu dla piękna literatury.

— Zdaje się, niestety, że pan ma słuszość — odparł Erskine. — Ja sam miałem ambicje literackie, ale dawno z nich zrezygnowałem. A teraz, młody przyjacielu, jeśli mi wolno tak pana nazywać, śmiem zapytać, czy wszystko, co nam pan poprzednio mówił, jest wyrazem prawdziwych pańskich poglądów?

— A co właściwie mówiłem? — z uśmiechem zagadnął lord Henryk. — Czy coś złego?

— I to bardzo złego. Uważam pana istotnie za człowieka niebezpiecznego, a jeśli naszej dobrej księżnie coś się przydarzy, to przede wszystkim pan będzie za to odpowiedzialny. Chciałbym jednak porozmawiać z panem o życiu. Moje pokolenie było takie nudne. Jeśli któregoś dnia znuży się pan Londynem, to proszę, niech pan wpadnie do Treadley i przy butelce doskonałego burgunda, którego jestem szczęśliwym posiadaczem, wyłoży mi pan swą filozofię używania.

— Będzie to dla mnie przyjemnością i zaszczytem. Treadley słynie z doskonałego gospodarza i doskonałej biblioteki.

— Pan będzie dopełnieniem tej doskonałości — odparł stary pan z uprzejmym ukłonem. — Ale teraz muszę pożegnać pańską ciotkę. Czas mi do klubu „Ateneum”. Właśnie tam dla nas pora na spanie.

— Czyż wszyscy śpią, panie Erskine?

— Czterdziestu panów w czterdziestu fotelach. Przygotowujemy się do zasiadania w angielskiej Akademii Umiejętności.

Lord Henryk zaśmiał się i wstał.

— Ja idę do parku — rzekł.

Przy drzwiach Dorian Gray dotknął jego ramienia.

— Czy mogę panu towarzyszyć? — szepnął.

— Zdaje mi się, że pan przyrzekł odwiedzić Hallwarda? — odrzekł lord Henryk.

— Wolałbym pójść z panem. Tak, czuję, że muszę pójść z panem. Proszę się zgodzić. I pan mi przyrzeknie, że przez cały czas będzie mówić. Nikt nie mówi tak cudownie.

— Dosyć już mówiłem jak na dzisiaj — z uśmiechem odparł lord Henryk. — Teraz chcę się trochę przyjrzeć życiu. Pan może pójść i przypatrywać się wraz ze mną, jeśli pan ma ochotę.

## IV

W miesiąc później Dorian Gray siedział pewnego popołudnia w wygodnym fotelu w małej bibliotece lorda Henryka w jego domu na Mayfair.

Był to w swoim rodzaju uroczy pokój o ścianach wysoko wyłożonych dębową boazerią bejcowaną na oliwkowo, kremowym fryzie, suficie ozdobionym stiukami. Na podłodze wybitej ceglastym sukniem leżały perskie makaty z długimi, jedwabnymi frędzlami. Na misternym stoliku z indyjskiego drzewa stała statuetka Clodiona, a obok niej tom *Les Cent Nouvelles*<sup>\*</sup>, oprawiony przez Clovisa Eve dla Małgorzaty Valois i ozdobiony złożonymi stokrotkami, które królowa ta wybrała sobie za symbol. Na kominku stało kilka błękitnych waz chińskich i pstrych tulipanów, a przez małe szybki wnikało morelowe światło letniego londyńskiego dnia.

Lord Henryk nie wrócił jeszcze do domu. Z zasady się spóźniał, twierdząc, że punktualność jest złodziejem czasu. Młody człowiek był więc nieco zirytowany i z roztargnieniem przeglądał wspaniałe ilustrowane wydanie *Manon Lescaut*, które znalazł na jednej z półek. Monotonne tykanie zegara w stylu Ludwika XIV nużyło go. Kilka razy zabierał się już do odejścia. Wreszcie usłyszał zbliżające się kroki i otwieranie drzwi.

— Tak późno przychodzisz, Harry — mruknął.

— Niestety, panie Gray, to nie Harry — odpowiedział ostry głos.

Odwrócił się szybko i wstał.

— Proszę mi wybaczyć, sądziłem...

— Sądził pan, że to mój mąż. A tu niestety tylko jego żona. Pozwoli pan, że się sama przedstawię. Znam pana doskonale z fotografii. Zdaje mi się, że Harry posiada ich już siedemnaście.

— Na pewno nie siedemnaście, proszę pani.

— A zatem osiemnaście. A kiedyś widziałam pana w operze. Mówiąc śmiała się nerwowo i obserwowała go roztargnionymi oczyma koloru niezapominajek. Szczególna to była kobieta. Suknie jej wyglądały zawsze, jakby były zaprojektowane w przystępie wściekłości, a włożone w rozpędzie burzy. Była prawie zawsze w kimś zakochana, a ponieważ namiętność jej nigdy nie znajdowała wzajemności, więc zachowała nietknięte złudzenia. Starła się wyglądać malowniczo, a osiągnęła to, że wyglądała niechlujnie. Na imię jej było Wiktoria i gorliwie chodziła do kościoła.

— Zdaje mi się, że to było na *Lohengrinie*.

— Tak, tak, na moim ulubionym *Lohengrinie*. Kocham muzykę Wagnera bardziej niż jakąkolwiek inną. Taka jest hałaśliwa, że można mówić przez cały czas i nie być słyszonym. To wielka korzyść, panie Gray, nieprawdaż?

Z cienkich jej warg wydobył się znowu nerwowy śmiech, a palce zaczęły się bawić długim szylkretowym rozcinaczem. Dorian uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Przykro mi, ale w tym wypadku nie mogę podzielać zdania pani. Nigdy nie rozmawiam podczas muzyki, przynajmniej nie podczas dobrej muzyki. Gdy się słucha złej muzyki, to wtedy ma się obowiązek zagłuszenia jej rozmową.

— Ach, to jeden z poglądów Harry'ego, nieprawdaż, panie Gray? Zawsze słyszę poglądy Harry'ego z ust jego przyjaciół. Tylko w ten sposób dowiaduję się o nich. Ale proszę nie sądzić, że nie lubię dobrej muzyki. Ubóstwiam ją, ale równocześnie się jej boję. Usposabia mnie zbyt romantycznie. Przepadam po prostu za pianistami. Harry twierdzi, że nieraz za dwoma

<sup>\*</sup> *Sto opowieści* — zbiór opowiadań różnych pisarzy francuskich wydanych w roku 1455.

równocześnie. Nie wiem, czemu to przypisać. Może temu, że to cudzoziemcy. Bo wszak oni wszyscy są cudzoziemcami. Jeśli nawet są urodzeni w Anglii, to po pewnym czasie stają się cudzoziemcami, czyż nie? To mądrze z ich strony, i sztuce przynosi to zaszczyt. Staje się w ten sposób całkiem kosmopolityczna. Pan nigdy nit był u mnie na żadnym przyjęciu, prawda? Musi pan przyjść. Na orchidee nie mogę sobie pozwolić, ale mam za to zawsze pokaźny wybór cudzoziemców. Nadają salonom tyle malowniczości. Ale oto i Harry! Harry, weszłam tu, by cię o coś spytać, zapomniałam już o co, i zastałam pana Graya. Bardzo przyjemnie dysputowaliśmy o muzyce. Mamy zupełnie te same poglądy. Nie, raczej wręcz przeciwne. Ale był bardzo miły. Cieszę się, że go poznałam.

— Jestem zachwycony, moja droga, wprost zachwycony — rzekł lord Henryk, wznosząc do góry ciemne, łukowate brwi i z rozbawionym uśmiechem patrząc na tych dwoje.

— Wybacz, Dorianie. Spóźniłem się. Dla kawałka starego brokatu poszedłem na Wardour Street i musiałem się godzinami targować. Ludzie znają dziś cenę wszystkiego, nie znając wartości niczego.

— Ach, muszę już iść! — zawołała lady Wotton, przerywając krępujące milczenie gwałtownym śmiechem. — Przrzekłam księżnie, że wyjadę z nią na spacer. *Adieu*, panie Gray, *adieu*, Henryku. Jesteś gdzieś zaproszony? Ja również. Może się spotkamy u lady Thornbury.

— Prawdopodobnie, moja droga — rzekł małżonek, zamykając za nią drzwi.

Wyglądała jak rajski ptak, który całą noc spędził na deszczu, i gdy wyniknęła się z pokoju, pozostawiła za sobą słabą woń migdałowego kwiecia.

Lord Henryk zapalił papierosa i rzucił się na sofę.

— Nigdy się nie żeń, Dorianie, z kobietą o słomianoblond włosach — powiedział, kilkakrotnie zaciągając się papierosem.

— Czemu, Harry?

— Bo są sentymentalne.

— Ale ja lubię ludzi sentymentalnych.

— W ogóle się nie żeń, Dorianie. Mężczyźni żenią się, bo są znużeni, kobiety — przez ciekawość. I obie strony doznają rozczarowania.

— Nie wiem, Harry, czy się ożenię. Jestem zanadto zakochany. To twój aforyzm. Ja go stosuję praktycznie, jak zresztą wszystkie wygłaszane przez ciebie maksymy.

— W kim jesteś zakochany? — po chwilowej pauzie spytał Henryk.

— W aktorce — rumieniąc się rzekł Dorian Gray.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

— Debiutujesz banalnie.

— Harry, gdybyś ją widział, nie powiedziałbyś tego.

— Kto to taki?

— Nazywa się Sybila Vane.

— Nigdy o niej nie słyszałem.

— Nikt o niej dotąd nie słyszał. Ale usłyszą wszyscy. Ona jest geniuszem.

— Mój drogi chłopcze, żadna kobieta nie jest geniuszem. Kobieta jest rodzajem dekoratywnym. Nigdy nie ma nic do powiedzenia, ale to nic wypowiada czarująco. Kobieta oznacza triumf, materii nad umysłem, jak mężczyzna triumf umysłu nad moralnością.

— Harry, jak możesz?

— Mój drogi Dodanie, kiedy tak jest w istocie. Właśnie zajmuję się analizowaniem kobiet. Muszę więc o tym wiedzieć. Kwestia nie jest wcale tak zawiła, jak sądziłem. Dochodzę do konkluzji, że w gruncie rzeczy istnieją tylko dwa rodzaje kobiet: brzydkie i malowane. Nieładne kobiety są bardzo użyteczne. Jeśli chcesz zdobyć opinię porządnego człowieka, to wystarczy

jednej z nich podać ramię i poprowadzić ją do stołu. Te drugie są czarujące. Jeden tylko popełniają błąd: malują się, by wyglądać młodo. Nasze babki malowały się, by prowadzić świetne rozmowy. *Rouge i esprit*\* szły w parze. To minęło. Kobieta jest zupełnie zadowolona, dopóki się jej udaje wyglądać o dziesięć lat młodziej od własnej córki. Co się tyczy rozmowy, to w Londynie jest tylko pięć kobiet, z którymi warto mówić, a z tych dwie nie mogą być dopuszczone do przyzwoitego towarzystwa. Ale opowiadaj mi o tej swojej genialnej artystce. Jak dawno ją znasz?

— Ach, Harry, twoje poglądy mnie przerażają.

— Nie zważaj na nie. Jak dawno ją znasz?

— Trzy tygodnie niespełna.

— Gdzie ją poznałeś?

— Opowiem ci, Harry, ale nie wolno ci być tak nieczułym. Bo ostatecznie, gdybym nie poznał ciebie, i to nie byłoby się stało. Ty rozbudziłeś we mnie dzikie pragnienie poznania życia ze wszystkich stron. Odkąd poznałem ciebie, coś jakby bezustannie drgało w mych żyłach. Wałęsając się po parku, idąc po Piccadilly, przyglądałem się każdemu człowiekowi, którego napotykałem, i paliła mnie szalona ciekawość poznania jego życia. Niektórzy wywierali na mnie wpływ fascynujący. Inni przejmowali trwogą. W powietrzu unosiła się rozkoszna trucizna. Namietnie szukałem wrażeń. Wreszcie pewnego wieczora o godzinie siódmej wyruszyłem w poszukiwaniu przygód. Czuję, że ten szary, olbrzymi Londyn ze swoimi miriadami ludzi, brudnych grzeszników i wspaniałych grzechów, jak to raz określiłeś, musi mieć dla mnie coś w pogotowiu. Wyobrażałem sobie tysiączne ewentualności. Samo niebezpieczeństwo przejmowało mnie zachwytem. Przypomniałem sobie, co mi powiedziałaś owego cudownego wieczora, kiedy po raz pierwszy razem jedliśmy obiad, że prawdziwa tajemnica życia polega na poszukiwaniu piękna. Czego oczekiwałem, nie wiem, dość że wyszedłem z „domu i ruszyłem ku wschodnim dzielnicom. Wkrótce zabłąkałem się w labiryncie brudnych ulic i ciemnych, pustych placów. O pół do dziewiątej stanąłem przed jakimś śmiesznym teatrzykiem o jaskrawym oświetleniu gazowym i krzykliwych afiszach. Obrzydliwy Żyd w najdziwaczniejszym surducie, jaki kiedykolwiek widziałem, stał u wejścia, paląc ordynarne cygaro. Miał lepiące się do twarzy pejsy, a u gorsu zmiętej koszuli świecił olbrzymi diament.

— Weźmie milord łożę? — spytał zobaczywszy mnie i ze wspaniałą unizonością zdjął kapelusz. Było w nim coś takiego, Harry, co mnie bawiło. Taki był potworny. Będziesz się ze mnie śmiał, Harry, ale istotnie wszedłem i zapłaciłem całą gwineę za prosceniową łożę. Do dzisiejszego dnia nie mogę sobie wytłumaczyć, jak to się stało, a jednak, gdyby to się nie było stało, ominąłby mnie największy romans mego życia. Widzę, że się śmiejesz. To szkaradne z twojej strony.

— Nie śmieję się, Dorianie, a przynajmniej nie z ciebie. Ale nie powinieneś mówić: największy romans mego życia. Mów: pierwszy romans mego życia. Ciebie będą kochać zawsze, a ty będziesz zawsze kochał miłość. *Grande passion*\* jest przywilejem ludzi nie mających nic do roboty. Jedna to korzyść próżniaczych klas jakiegoś kraju. Nie obawiaj się. Czekają cię rozkosze wyjątkowe. To dopiero początek.

— Uważasz mnie za tak płytkiego? — gniewnie zawołał Dorian Gray.

— Nie, uważam cię za tak głębokiego. — Jak to rozumiesz?

— Drogi mój chłopcze, ludzie, którzy tylko raz w życiu kochają, są właśnie prawdziwie płytki. To, co oni nazywają wiernością, ja nazywam osłabiającym wpływem przyzwyczajenia lub brakiem wyobraźni. Wierność jest dla życia uczuciowego tym, czym stabilizacja dla życia

\* róż i dowcip (fr.)

\* wielka namietność (fr.)

intelektu — mianowicie przyznaniem się do niepowodzenia? Wierność? Muszę ją kiedyś poddać analizie. Mieści się w niej namiętność posiadania. Mieści się w niej wiele rzeczy, które byśmy chętnie odrzucili, gdybyśmy się nie obawiali, że je podniosą inni. Ale nie będę ci przerywał. Opowiadaj dalej.

— Otóż siedziałem w olbrzymiej łoży, mając przed sobą ordynarną kurtynę. Uchyliłem nieco firanki i rozejrzałem się po sali. Było to coś niesłychanie jaskrawego, pełnego kupidynów i rogów obfitości, niczym podłego gatunku tort weselny. Galeria i parter były stosunkowo pełne, ale dwa obskurne pierwsze rzędy stały zupełnie puste, a rzadko też widniała jakaś postać na tak zwanych pierwszorzędnym miejscach pierwszego piętra. Kobiety roznosiły pomarańcze i lemoniadę, a wszyscy jedli orzechy.

— Musiało tam być zupełnie tak samo, jak za świetnej epoki dramatu angielskiego.

— Sądzę, że zupełnie tak samo, i to było strasznie przygnębiające. Zacząłem się już zastanawiać, co by tu począć, gdy właśnie wpadł mi w oczy afisz. Harry, zgadnij, jaką sztukę tam grano?

— Ach, *Małego idiotę*, czyli *Niemy, lecz niewinny*. Nasi ojcowie musieli lubić podobne sztuki. Im dłużej żyję, Dorianie, tym wyraźniej czuję, że to, co było dobre dla naszych ojców, dla nas nie jest już dość dobre. W sztuce tak samo jak w polityce: *les grand-pères ont toujours tort*\*.

— Nie, Harry. Tym razem sztuka była wystarczająco dobra i dla nas: *Romeo i Julia*. Wyznaję, że byłem nieco przerażony perspektywą zobaczenia Szekspira w tej nędznej budzie. Ale jednak byłem do pewnego stopnia zainteresowany. W każdym razie postanowiłem pozostać przez pierwszy akt. Orkiestra była straszna. Przewodził jej jakiś młody Hebrajczyk siedzący przy rozstrojonym fortepianie. To mnie omal nie wypłoszyło stamtąd, ale ostatecznie podniesiono kurtynę i rozpoczęło się przedstawienie. Romea grał jakiś krzepki starszy jegomość z poczernionymi brwiami, ochrypłym głosem tragika i figurą przypominającą beczkę piwa. Merkucjo nie był też o wiele lepszy. Grał go jakiś kiepski komik, który wprowadzał do sztuki własne gagi i był na bardzo poufalej stopie z ostatnimi rzędami parteru. Obydwaj byli tak samo śmieszni jak dekoracje, które przypominały jarmarczną budę. Ale Julia! Harry, wyobraź sobie dziewczynę zaledwie siedemnastoletnią, o twarzyczce delikatnej jak kwiat, o małej greckiej główce, uwieńczonej koroną ciemnobrązowych warkoczy, oczach niby ciemnobłękitna toń namiętności i ustach jak płatki różane. Ona jest najczarowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Powiedziałaś raz, że patos wcale na ciebie nie działa, ale piękność, sama piękność zdolna ci łyż wyciskać. Powiadam ci, Harry, że zaledwie ujrzałem tę dziewczynę, łyż przesłoniły mi oczy. A głos jej — w życiu nie słyszałem podobnego głosu. Z początku był bardzo cichy, o głębokich, miękkich tonach, które zdawały się wpadać do ucha pojedynczo. Później stał się silniejszy i brzmiał jak flet lub dalekie tony oboju. W scenie ogrodowej pełen był tej drżącej ekstazy, jaką tuż przed wschodem słońca ma w sobie śpiew słowików. Później przyszły momenty, w których głos ten brzmiał dziką namiętnością skrzypiec. Wiesz przecież, jak głos działa na mnie. Głosu twego i głosu Sybili Vane nie zapomnę nigdy. Kiedy zamykam oczy, słyszę obydwaj i każdy mówi co innego. Nie wiem, za którym pójść. Czemu nie miałbym jej kochać? Harry, ja ją kocham. Ona jest dla mnie wszystkim. Chodzę tam co wieczór, aby ją zobaczyć. Jednego wieczora jest Rozalindą, drugiego Imogeną. Widziałem ją umierającą w ponurym mroku włoskiego grobowca, gdzie piła truciznę z ust kochanka. Przebiegałem z nią Las Ardeński, gdy wędrowała jako śliczny chłopiec przybrana w trykoty, kaftan i czapeczkę. Obłąkana, przyszła do występного króla, przynosząc mu rutę jako przyodziewek i gorzkie zioła jako pokarm. Była niewinna, a czarne ręce zazdrości złamały ją niby źdźbło. Widywałem ją w różnych epokach, w różnych kostiumach. Zwykle kobiety nigdy nie działają na naszą

\* dziadkowie nigdy nie mają racji (fr.)

wyobraźnię. Ograniczone są ramami wieku, w którym żyją. Nie przeistacza ich żaden blask. Dusze ich poznaje się tak łatwo jak ich kapelusze. I zawsze je można widywać. Nie otacza ich żadna tajemnica. Rano wyjeżdżają do parku, a po południu paplają przy herbacie. Mają swój stereotypowy uśmiech i eleganckie maniery. Takie są zrozumiałe. Ale aktorka! Aktorka to zupełnie coś innego. Harry, czemu mi nie powiedziałeś, że jedyną istotą godną miłości jest aktorka?

— Ponieważ kochałem ich tak wiele, Dorianie.

— O tak, zapewne jakieś straszne dziewczęta o farbowanych włosach i malowanych twarzach.

— Nie gardź farbowanymi włosami i malowanymi twarzami. Mają one niekiedy dziwny urok — rzekł lord Henryk.

— Żałuję, że ci w ogóle opowiedziałem o Sybilu Vane.

— Musiałeś mi przecież opowiedzieć, Dorianie. Przez całe życie będziesz mi opowiadał wszystko, co robisz.

— Tak, Harry, i ja tak sądzę. Muszę ci wszystko opowiadać. Masz nade mną dziwną władzę. Gdybym kiedyś popełnił zbrodnię, przyszedłbym do ciebie się wypowiadać. Ty byś mnie zrozumiał.

— Tacy ludzie jak ty, swawolne słoneczne promienie życia, nie popełniają zbrodni, Dorianie. Mimo to dziękuję ci za komplement. A teraz powiedz mi, jaki stosunek łączy cię obecnie z Sybilą Vane?

Dorian Gray zerwał się z płomieniem na twarzy i ogniem w oczach.

— Harry! Sybila Vane jest święta.

— Tylko święte rzeczy godne są dotknięcia — rzekł lord Henryk z dziwnym odcieniem patosu w głosie. — Ale czemu się irytujesz? Sądzę, że pewnego dnia będzie twoją. Gdy kochamy, łudzimy najpierw siebie samych, a potem drugich. Świat to nazywa romanssem. Bądź co bądź znasz ją zapewne?

— Naturalnie, że ją znam. Zaraz pierwszego wieczora, kiedy byłem w teatrze, przyszedł do mojej łoży po przedstawieniu ten obrzydliwy Żyd, proponując mi, bym poszedł z nim za kulisy, a przedstawił mi Julii. Wpadłem we wściekłość i powiedziałem mu, że Julia od wieków spoczywa martwa w marmurowym grobowcu w Weronie. Wnosząc z jego przerażonego spojrzenia, musiał sądzić, że piłem za wiele szampana.

— To mnie nie dziwi.

— Potem mnie spytał, czy pisuję do jakiej gazety. Powiedziałem mu, że nigdy żadnej nie czytam. Był strasznie rozczarowany i zwierzył mi się, że cała krytyka teatralna uwzięła się na niego i że każdego recenzenta można przekupić.

— Nie dziwiłoby mnie, gdyby miał słuszność. Ale sądząc z ich wyglądu, to muszą się chyba niezbyt drożyć.

— On widocznie sądził, że jego środki na to nie pozwalają — zaśmiał się Dorian. — Tymczasem pogaszono lampy w teatrze i musiałem odejść. Nalegał jeszcze, bym zapalił cygaro, które strasznie mi zachwalał, ale odmówiłem. Następnego wieczora przyszedłem oczywiście znowu. Zobaczywszy mnie, skłonił się głęboko, nazywając mnie wspaniałomyślnym mecenasem sztuki. Arogancki to drab, ale ma istotne zamiłowanie do Szekspira. Opowiadał mi raz z dumną miną, że swoje trzykrotne bankructwo zawdzięcza „bardowi”, jak go nazywał. Zdaje się, że poczytywał to sobie za zasługę.

— To była zasługa, mój drogi Dorianie, wielka zasługa. Ludzie bankrutują po największej części skutkiem zbyt wielu wkładów w prozę życia. Być zrujnowanym przez poezję to zaszczyt. Ale kiedy po raz pierwszy mówiłeś z panną Vane?

— Trzeciego wieczoru. Grała Rozalindę. Nie mogłem sobie odmówić pójścia za kulisy. Rzuciłem jej parę kwiatów, a ona spojrzała na mnie, tak mi się przynajmniej zdawało. Stary Żyd nalegał. Był zupełnie zdecydowany zaprowadzić mnie za kulisy, więc się zgodziłem. To dziwne, że nie chciałem jej poznać, nieprawdaż?

— Wcale nie.

— Dlaczego nie? Powiedz mi, mój drogi Harry?

— Innym razem, teraz opowiadaj mi o dziewczynie.

— O Sybili? Ach, ona była tak strwożona i taka łagodna. Coś w niej jest dziecinnego. Oczy jej rozszerzyły się w czarującym zdumieniu, kiedy jej mówiłem, co myślę o jej grze, zdawała się nic nie wiedzieć o własnej potędze. Zdaje mi się, że oboje byliśmy nieco zdenerwowani. Stary Żyd stał z obrzydliwym uśmiechem u drzwi garderoby, wygłaszając zawiłe mowy o nas obojgu, gdy my przyglądaliśmy się sobie wzajemnie jak dwoje dzieci. Uparł się, by mnie tytułować milordem, i musiałem zapewnić Sybilę, że zgoła nie jestem żadnym milordem. Odpowiedziała całkiem naiwnie: „Pan wygląda raczej na księcia. Muszę pana nazwać księciem z bajki.”

— Słowo daję, Dorianie, że panna Sybila umie prawić komplementy.

— Ty jej nie rozumiesz, Harry. Uważała mnie po prostu za jakąś postać z dramatu. Wcale nie zna życia. Mieszka przy matce, zwiędłej, znużonej kobiecie, która pierwszego wieczora grała panią Kapulet w jakimś zmitym peniuarze, a wyglądała, jakby lepsze pamiętała czasy.

— Znam to... strasznie deprymujące — mruknął lord Henryk, przyglądając się swym pierścieniom.

Żyd chciał mi opowiedzieć jej historię, ale odparłem, że mnie to nie interesuje.

— Miałeś słuszość. Tragedie drugich mają w sobie zawsze coś nieskończenie trywialnego.

— Mnie obchodzi wyłącznie Sybila. Co mi do tego, skąd ona pochodzi? Od główki aż do maleńkich nóżek jest wprost boska. Co wieczór chodzę popatrzeć, jak ona gra, i co wieczór jest cudowniejsza.

— Więc z tego powodu nigdy teraz nie jadasz ze mną obiadu. Myślałem już, że masz jakiś niezwykle romans. No, masz go, ale niezupełnie taki, jakiego oczekiwałem.

— Mój drogi Harry, przecież codziennie jadamy razem śniadanie albo kolację. Kilka razy byłem z tobą w operze — odrzekł Dorian Gray, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

— Przychodzisz zawsze strasznie późno.

— Bo istotnie nie mogę sobie odmówić patrzenia na grę Sybili, chociażby przez jeden akt. Trawi mnie żądza patrzenia na nią, a kiedy myślę o tej cudnej duszy, ukrytej w drobnej figurce z kości słoniowej, przejmuję mnie lęk zbożny.

— Dorianie, chyba możesz zjeść dziś ze mną kolację? Potrząsnął głową przecząco.

— Dziś wieczór jest Imogena — odparł — a jutro Julia.

— A kiedy jest Sybilą Vane?

— Nigdy.

— Gratuluję ci.

— Jakiś ty straszny! Ona łączy w sobie wszystkie wielkie bohaterki świata. Jest czymś więcej niż jednostką. Śmiejesz się, aleja powiadam, że Sybila jest genialną aktorką. Kocham ją, a ona musi mnie pokochać. Ty znasz wszystkie tajemnice życia, powiedz mi więc, jak oczarować Sybilę Vane, żeby mnie pokochała. Chcę wzbudzić zazdrość Romea. Chcę, aby zmarli kochankowie całego świata słyszeli nasz śmiech i posmutnieli. Chcę, aby tchnienie naszej namiętności przywróciło ich prochom świadomość, popioły ich przejęło bólem. Mój Boże, Harry, jakże ja ją ubóstwiam!

Biegał po pokoju tam i z powrotem, a gorączkowy rumieniec płonął na jego twarzy. Był strasznie podniecony.



Lord Henryk obserwował go z subtelnym uczuciem satysfakcji. Jakże inny był w tej chwili od trwożliwego, nieśmiałego chłopca, którego spotkał w pracowni Hallwarda. Cała jego istota rozwinęła się jak kwiat, rozkwitła szkarłatnym płomieniem. Dusza wysunęła się ze swej tajemnej kryjówki, a naprzeciw niej wybiegło pragnienie.

— I co zamierzasz uczynić? — spytał wreszcie lord Henryk.

— Ty i Bazyli Hallward musicie ze mną pójść którego wieczora, by zobaczyć, jak ona gra. Sądu waszego się nie boję. Uznacie jej geniusz. Wtedy będziemy ją musieli wyswobodzić z rąk tego Żyda. Jest związana kontraktem jeszcze na trzy lata, co najmniej jeszcze dwa lata i osiem miesięcy. Muszę mu oczywiście dać jakieś odszkodowanie. Gdy to załatwię, wynajmę jeden z teatrów w West End i dam jej sposobność godnego wystąpienia. Musi świat cały oczarować tak samo jak mnie.

— To niemożliwe, mój drogi chłopcze.

— A jednak ona to robi. Ona nie tylko posiada artyzm, najsubtelniejszą intuicję artystyczną, ale ma także dużą indywidualność, a ty mi przecież powiedziałeś, że nie zasady, lecz indywidualności wstrząsają światem w naszych czasach.

— Kiedy zatem pójdziemy?

— Poczekaj, dziś jest wtorek. Powiedzmy jutro. Jutro gra Julię.

— Pięknie. Hotel „Bristol” o ósmej. Zawiadomię Bazylego.

— Nie o ósmej, Harry. Proszę cię, o wpół do siódmej. Musimy tam być przed podniesieniem kurtyny. Musicie ją widzieć w pierwszym akcie, kiedy się spotyka z Romeem.

— O wpół do siódmej? Co za pora! To jakby herbata z zimnym mięsiwem albo czytanie angielskich powieści. Najwcześniej już o siódmej. Żaden dżentelmen nie jada przed siódmą. Czy zobaczysz się przedtem z Bazyliem? A może ja mam do niego napisać?

— Pocziwy Bazyli. Nie widziałem go od tygodnia. Szkaradnie to właściwie z mojej strony. Przysłał mi mój portret w cudnej ramie, którą sam zaprojektował. Jestem wprawdzie trochę zazdrosny o obraz, ponieważ jest o cały miesiąc młodszy ode mnie, ale bardzo się nim cieszę. Może lepiej, żebyś ty do niego napisał. Nie chciałbym być z Bazyliem sam na sam. Mówi mi zawsze rzeczy, które mnie drażnią. Udziela mi dobrych rad.

Lord Henryk uśmiechnął się.

— Aż nadto chętnie oddajemy to, czego sami najwięcej potrzebujemy. Nazywam to głębią hojności.

— O, Bazyli jest najlepszym człowiekiem w świecie, ale zdaje mi się, że jest trochę filistrem. Zrobiłem to spostrzeżenie, Harry, od czasu gdy ciebie poznałem.

— Mój drogi chłopcze, Bazyli cały swój urok wciela w sztukę. Dlatego w bieżącym życiu jemu samemu nic nie zostało prócz przesądów, zasad i zdrowego rozsądku. Jedyni znani mi artyści, którzy czarują swą osobowością, są lichymi artystami. Dobrzy artyści istnieją tylko w tym, co tworzą, sami przez się są zgoła niezajmujący. Wielki poeta, prawdziwie wielki poeta, jest najmniej poetyczną istotą na świecie. Ale kiepscy poeci są wprost fascynujący. Im gorsze są ich rymy, tym bardziej malowniczo wyglądają oni sami. Sam fakt, że ktoś ogłosił tom lichych sonetów, czyni go nieodpartym. Żyje poezją, której nie umie napisać. Ci inni piszą poezję, której nie mają odwagi wcielić w życie.

— Czyż tak jest istotnie, Harry? — spytał Dorian Gray, biorąc ze stołu duży flakon ze złotym korkiem i skrapiając perfumami chustkę. — Chyba tak, skoro ty to mówisz. A teraz odchodzę. Imogena na mnie czeka. Nie zapomnij: jutro! Do widzenia.

Gdy Dorian wyszedł z pokoju, lord Henryk przymknął swe ciężkie powieki i zaczął rozmyślać. Niewielu ludzi interesowało go kiedykolwiek w tym stopniu co Dorian Gray, a jednak szalone uwielbienie chłopca dla kogoś innego nie sprawiało mu najmniejszej przykrości; nie był

o nie zazdrosny. Podobało mu się. Chłopiec stawał się przez to bardziej interesującym obiektem studiów. Zawsze go pociągała metoda doświadczalna. Ale przedmiot jej badań był dlań mało ważny i obojętny. Rozpoczął więc wiwisekcję na sobie samym, a skończył na wiwisekcji innych. Życie ludzkie było w jego oczach jedynym obiektem godnym badania. W porównaniu z nim wszystko inne nie miało wartości. Oczywiście, kto obserwował życie i jego dziwaczny tygiel, w którym przetapiają się radości i bóle, ten nie mógł na twarzy nosić szklanej maski ani zabronić wyziewom siarczanym mącić mu mózgu i zatruwać fantazji potwornymi obrazami i szpetnymi widziadłami. Istniały choroby tak niezwykle, że trzeba je było przeżyć, jeśli się chciało poznać ich istotę. A przecież jaka czekała nagroda? Jaki świat stawał się cudowny! Zgłębiać dziwnie nieugiętą logikę namiętności i obserwować barwne, burzliwe życie intelektu, podpatrywać, gdzie się łączą a gdzie rozdzielają, gdzie się zlewają w harmonijną całość, a gdzie wydają dysonans — co za rozkosz! Obojętne, jakim się to działo kosztem. Za silne wrażenia nie można nigdy płacić zbyt drogo.

Wiedział — a świadomość ta błyskiem triumfu zaświeciła w jego agatowych, ciemnych oczach — wiedział, że potęgą jego barwnych słów, słów melodyjnych, wypowiedzianych głosem melodyjnym, zwróciła duszę Doriana Graya ku tej białej dziewczynie w kornym uwielbieniu. Młodzieniec był w znacznej mierze jego dziełem. Uczynił go przedwcześnie dojrzałym. I to coś znaczy. Zwyczajni ludzie czekają, aż im życie odłoni swe tajemnice, ale nielicznym wybranym objawiają się tajemnice życia przed zdarciem zasłony. Czasami bywa to dziełem sztuki, zwłaszcza sztuki literatury, zajmującej się bezpośrednio namiętnościami i intelektem. Ale od czasu do czasu jakaś skomplikowana indywidualność zastępuje sztukę i spełnia jej rolę, jest sama w swoisty sposób dziełem sztuki. Bo i życie ma swoje wielkie arcydzieła, podobnie jak poezja, rzeźba i malarstwo.

Tak, chłopiec był przedwcześnie dojrzały. Zbierał swój plon w porze wiosny. Było w nim tętno i namiętność młodości, stawał się świadomy siebie. Rozkoszą było go obserwować. Ze swą piękną głową i piękną duszą był tym, co można podziwiać. Cóż to kogo obchodzi, jak się wszystko skończy lub ma skończyć? Był jak jedna z owych wdzięcznych postaci jakiegoś barwnego korowodu lub sztuki teatralnej, których radości tak nam są dalekie, cierpienia budzą zmysł piękna, a rany są niby róże czerwone.

Dusza i ciało — ciało i dusza. Jakież to tajemnicze! Dusza wykazuje właściwości cielesne, a ciało ma swe momenty uduchowienia. Zmysły mogą uszlachetnić, a duch poniżyć człowieka. Kto jest zdolny powiedzieć, gdzie się kończą popędy ciała lub gdzie się zaczyna popęd fizyczny? Jak powierzchowne są dowolne definicje zwyczajnych psychologów. A jednak jak trudno zorientować się wśród twierdzeń przeróżnych szkół. Jestli dusza cieniem, przebywającym w domu grzechu? Albo może istotnie ciało przebywa w duszy, jak sądził Giordano Bruno? Oddzielenie ducha od materii jest tajemnicą. A zjednoczenie ducha z materią pozostaje także tajemnicą.

Począł rozmyślać, czy nam się też kiedyś uda podnieść psychologię do poziomu nauki tak ścisłej, aby mogła odśłaniać najdrobniejsze źródła życia. Obecnie zawsze fałszywie rozumiemy siebie, a rzadko rozumiemy drugich. Doświadczenie nie posiada wartości etycznej. Jest ono tylko mianem, które człowiek nadał swym pomyłkom. Moralisci uważali je przeważnie za przestrożę, przyznawali mu wartość etyczną dla kształtowania charakteru, sławili jako coś, co uczy nas, za czym iść, a co omijać należy. Ale doświadczenie nie jest przejawem umotywowanych sił. Nie jest pobudką czynów, tak samo jak nią nie jest sumienie. Dowodzi jedynie tego, że przyszłość nasza będzie taką, jaką była przeszłość, i że grzech popełniony niegdyś ze wstrętem niejednokrotnie dopełniać będziemy z radością.

Jasne było dla lorda Henryka, że metoda eksperymentalna jest jedyną metodą umożliwiającą naukową analizę namiętności, a Dorian Gray jest bez wątpienia obiektem jakby stworzonym dla niego, bo obiecującym rezultat bogaty i płodny. Jego nagła szalona miłość do Sybili Vane była fenomenem psychologicznym nadzwyczaj zajmującym. Bez wątpienia odgrywa tu wielką rolę ciekawość, ciekawość i pragnienie nowych doświadczeń. Nie była to jednak namiętność prosta, raczej niezwykle skomplikowana. To, co w niej było czysto zmysłowym instynktem młodości, zostało pracą fantazji przetworzone, przeobrażone w coś, co chłopcu samemu wydawało się dalekie od wszelkiej zmysłowości, i właśnie dlatego było tym bardziej niebezpieczne. Bo właśnie te namiętności, co do których pochodzenia się mylimy, tym bezwzględniej nas tyranizują. Najślabsze są te popędy, które sobie uświadamiamy. Nieraz nam się wydawało, że czynimy eksperymenty na innych, gdy w istocie eksperymentowaliśmy na sobie samych.

Lord Henryk siedział pogrążony w tych rozmyślaniach, gdy nagle zapukano do drzwi i wszedł służący, przypominając mu, że czas ubrać się do obiadu. Wstał i wyjrzał oknem na ulicę. Zachodzące słońce szkarłatnym złotem oblało górne okna przeciwległego domu. Szyby płonęły, jakby były płytami rozżarzonego do czerwoności metalu. Niebo w górze wyglądało jak zwiędła róża. Przyszło mu na myśl młode, płomienne życie przyjaciela i w duchu zadawał sobie pytanie, jak się ono zakończy.

Gdy o wpół do pierwszej w nocy wrócił do domu, w hallu na stole leżała depesza. Otworzył i przekonał się, że była od Doriana Graya. Gray donosił, że się zaręczył z Sybilą Vane.

## V

— Mamo, mamo, jaka ja jestem szczęśliwa — szeptała dziewczyna, tuląc twarz do łona znużonej, zwiędłej kobiety, która odwrócona plecami od ostrego, rażącego światła siedziała na jedynym fotelu stojącym w ich nędznym saloniku. — Taka jestem szczęśliwa — powtarzała — a ty także musisz być szczęśliwa.

Pani Vane drgnęła i złożyła swe chude, bizmutem wybielone ręce na głowie dziewczyny.

— Szczęśliwa — odparła jak echo. — Ja wtedy tylko jestem szczęśliwa, kiedy cię widzę na scenie. Nie wolno ci myśleć o niczym innym jak tylko o twojej sztuce. Pan Isaacs był dla nas bardzo dobry i jesteśmy mu dłużne dość dużo pieniędzy.

Dziewczyna podniosła oczy i nadała się.

— Pieniądze? — zawołała. — Mamo, co nas obchodzą pieniądze? Miłość znaczy więcej niż pieniądze.

— Pan Isaacs dał nam pięćdziesiąt funtów zaliczki na spłacenie naszych długów i zakupienie porządnej wyprawy dla Jamesa. Nie wolno ci o tym zapominać, Sybilo. Pięćdziesiąt funtów to wielka suma. Pan Isaacs był bardzo dobry.

— On nie jest dżentelmenem, mamo, i nienawidzę sposobu, w jaki ze mną rozmawia — rzekła dziewczyna, wstając i podchodząc do okna.

— Nie wiem, jak byśmy sobie dały radę bez niego — odparła stara kobieta rozdrażnionym tonem.

Sybila Vane odrzuciła w tył głowę i roześmiała się.

— Nie potrzebujemy go już, mamo. Teraz książę z bajki rządzi naszym życiem. — Powiedziawszy to, zamilkła na chwilę. Poczowała płomień w żyłach, który rzucił gorący refleks na jej twarz. Szybki oddech rozchylił płatki warg. Drżały. Wstrząsał nią jakiś południowy wicher namiętności, poruszając delikatne fałdy jej sukni. — Kocham go — rzekła z prostotą.

— Głupie dziecko, głupie dziecko — zabrzmiał papuzi głos. Ruch krzywych palców, świecących fałszywymi kamieniami, dodawał jeszcze tym słowom groteskowości.

Dziewczyna znów się zaśmiała. W głosie jej brzmiała radość uwiezionego w klatce ptaszka. Oczy jej wchłaniały tę radość i wypromieniowywały ją, po czym przymknęły się na chwilę jakby dla ukrycia tajemnicy. Gdy znów spojrzały, zasnuwała je mgła rozmarzenia.

Z wypełzłego fotela cienkie wargi głosiły mądrość, zalecając ostrożność, cytując całe tyrady z księgi tchórzostwa, której autor nadużywa imienia zdrowego rozsądku. Ale ona nic nie słyszała. Czuła się wolną w więzieniu namiętności. Jej książę, książę z bajki, był przy niej. Wezwała pamięć na pomoc, by stanął przed nią jak żywy. Wysłała za nim duszę; znalazła go i przywiodła z powrotem. Pocałunek jego znów palił jej usta. Powieki ciepłe były od jego tchnienia.

Po chwili mądrość zmieniła metodę i poczęła mówić o rozwadze i zasięgnięciu informacji. Ten młody człowiek może być bogaty. Jeśli tak jest, to należy myśleć o skłonieniu go do małżeństwa. O muszlę jej ucha uderzyły fale życiowego sprytu. Świsnęły strzały przebiegłości. Widziała, jak cienkie wargi bezustannie się poruszają. Uśmiechnęła się.

Wreszcie uczuła potrzebę mówienia. Milczenie ją niepokoiło.

— Mamo, mamo, dlaczego on mnie tak kocha? Ja wiem, dlaczego ja go kocham. Kocham go, ponieważ jest takim, jaka powinna być sama miłość. Ale co on widzi we mnie? Ja go nie jestem godna. A jednak... nie potrafię tego wyrazić... chociaż czuję się o tyle gorsza od niego, to przecież nie czuję się onieśmielona. Jestem dumna, mamo, strasznie dumna. Mamo, czy ty kochałaś mojego ojca tak, jak ja kocham księcia z bajki?

Stara kobieta zbladła pod grubą warstwą pudru, a suche jej wargi wykrzywił grymas bólu. Sybila przypadła do niej, ramionami oplotła jej szyję i zaczęła całować.

— Wybacz, mamó, wiem, że cię boli wspomnienie naszego ojca. Ale boli cię dlatego, ponieważ go tak bardzo kochałaś. Nie bądź taka smutna. Ja dziś jestem taka szczęśliwa, jak ty przed dwudziestu laty. O, pozwól mi być zawsze szczęśliwą!

— Dziecko moje, za młoda jesteś, by myśleć o miłości. Zresztą, cóż ty wiesz o tym człowieku? Nie znasz nawet jego nazwiska. Wszystko to niewłaściwe i doprawdy teraz, kiedy James wyjeżdża do Australii, a ja muszę się o tyle rzeczy kłopotać, mogłabyś wykazać więcej zastanowienia. Ale jak już powiedziałam, jeśli jest bogaty...

— Ach, mamó, mamó, pozwól mi być szczęśliwą!

Pani Vane spojrzała na córkę i z owym sztucznym teatralnym gestem, który często staje się dla aktora drugą naturą, chwyciła ją w objęcia. W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł młody chłopiec z rozwichrzonymi ciemnymi włosami. Był krepny, miał duże ręce i nogi, poruszał się niezgrabnie. Nie był tak delikatny jak siostra. Trudno byłoby domyślić się pokrewieństwa między nim a Sybilą. Pani Vane utkwiała w nim oczy i uśmiechnęła się. W jej wyobraźni syn odgrywał w tej chwili rolę jednoosobowego audytorium. Była pewna, że obraz jest zajmujący.

— Sybilo, mogłabyś zachować dla mnie trochę pocałunków — dobrodusznie mruknął chłopak.

— O, Jim, przecież ty nie lubisz, gdy cię całuję — zawołała — Straszny z ciebie niedźwiedź — Podbiegła ku niemu i uściśnęła go.

James Vane serdecznie popatrzał na siostrę.

— Przyszedłem zabrać cię na przechadzkę, Sybilo. Nie wiem, czy jeszcze kiedy zobaczę ten obrzydły Londyn. Nie mam zresztą bynajmniej na to ochoty.

— Synu mój, nie mów tak strasznych rzeczy — szepnęła pani Vane z westchnieniem, biorąc jakiś świecący fatałaszek z garderoby teatralnej, aby go załatać. Była trochę rozczarowana, że się nie przyłączył do grupy. Tak ogromnie wzmogłoby to sceniczny efekt sytuacji.

— Czemu nie, mamó? Takie mam przekonanie.

— Ból mi sprawiasz, mój synu. Ufam, że powrócisz z Australii jako człowiek świetnie sytuowany. Zdaje mi się, że w koloniach wcale nie ma ludzi z towarzystwa, z tego, co ja nazywam towarzystwem, więc kiedy dorobisz się, musisz powrócić i osiąść w Londynie.

— Z towarzystwa? — mruknął chłopak niechętnie. — Nie chcę o nim nic wiedzieć. Pragnąłbym tylko zarobić trochę pieniędzy, by zabrać ciebie i Sybilę ze sceny. Nienawidzę teatru.

— Ach, Jim, jakiś ty niedobry — zaśmiała się Sybila. — Ale czy naprawdę chcesz ze mną wyjść na przechadzkę? To będzie przyjemne. Już się bałam, że zechcesz pożegnać któregoś ze swych przyjaciół Toma Hardy, który ci dał tę szkaradną fajkę, lub Neda Langtona, który drwi z ciebie, że ją palisz. To ładnie z twojej strony, że ostatnią przechadzkę chcesz odbyć ze mną. Dokąd pójdziemy? Najlepiej do parku.

— Jestem za brzydko ubrany — odparł, marszcząc czoło. — Do parku chodzą tylko eleganci.

— Ach, głupstwo. Jim — prosiła, pieszczotliwie gładząc jego rękaw.

Wahał się przez chwilę.

— Dobrze — rzekł wreszcie — ale ubierz się szybko.

Tanecznym krokiem wybiegła z pokoju. Słysząc było jej śpiew, gdy wchodziła na górę. Małe jej stopki zastukały nad ich głowami.

Jim dwa czy trzy razy przeszedł się po pokoju, po czym zwrócił się do nieruchomej postaci w fotelu.

— Mamó, czy rzeczy moje gotowe?

— Tak, James, gotowe — odparła, nie podnosząc oczu znad roboty. Od paru miesięcy czuła się zaniepokojona, ilekroć zostawała sam na sam ze swym szorstkim, surowym synem. Jej płytką, a jednak skrytą naturę niepokoił jego wzrok. W duchu pytała siebie, czy on czegoś nie podejrzewa. Milczenie — bo nic więcej nie powiedział — wydało się jej czymś nieznośnym. Poczęła się żalić. Kobiety bronią się atakując, tak jak przypuszczają atak przy pomocy nagłego nieuzasadnionego poddania się.

— Spodziewam się, że będziesz zadowolony ze swej kariery marynarza — mówiła. — Nie wolno ci zapominać, że sam uczyniłeś ten wybór. Mogłeś pójść do kancelarii adwokackiej. Adwokaci to zawód poważny i na wsi często są zapraszani na obiady do najlepszych rodzin.

— Nie cierpię biur i nienawidzę urzędników — odparł. — Ale masz słuszość. Ja sam obrałem sobie karierę. Mogę ci tylko powiedzieć czuwaj nad Sybilą. Nie pozwól jej skrzywdzić. Matko, ty musisz nad nią czuwać.

— James, co ty wygadujesz? Naturalnie, że czuwam nad Sybilą.

— Słyszałem, że jakiś pan codziennie bywa w teatrze, idzie za kulisy i rozmawia z nią. Czy to prawda? Co to ma znaczyć?

— James, mówisz o rzeczach, których nie rozumiesz. W naszym zawodzie jesteśmy przyzwyczajone do bardzo licznych dowodów uprzejmości. Ja sama swego czasu otrzymywałam niejedną bukiet. Było to wówczas, kiedy istotnie ludzie rozumieli się jeszcze na grze. A co do Sybili, to nie wiem na razie, czy skłonność jej jest poważna, czy nie. Ale to pewne, że ten młody człowiek to skończony dżentelmen. Zawsze jest względem mnie nadzwyczaj uprzejmy. Przy tym zdaje się być bardzo bogaty i przysyła mnóstwo pięknych kwiatów.

— Ale nazwiska jego nie znasz — szorstko rzekł chłopak.

— Nie — ze spokojem odparła matka. — Nie wyjawiał jeszcze swego prawdziwego nazwiska. To bardzo romantycznie z jego strony. Należy zapewne do arystokracji.

James Vane przygryzł wargi.

— Czuwaj nad Sybilą, matko! — zawołał. — Czuwaj nad nią.

— Synu mój, zasmucasz mnie. Sybila pozostaje zawsze pod moją troskliwą opieką. Oczywiście, jeśli ten pan jest bogaty, to nie widzę powodu przeszkadzania ich małżeństwu. Najpewniej należy do arystokracji. Wygląda na to. Mógłby być świetną partią dla Sybili. Cudna byłaby z nich para. Jest tak niezwykle piękny, że wszyscy się za nim oglądają.

Chłopiec mruzczał coś przez zęby, zgrubiałymi palcami bębniąc po szybach. Właśnie odwrócił się, by coś odpowiedzieć, gdy drzwi się otworzyły i tanecznym krokiem wbiegła Sybila.

— Jacyż wy oboje jesteście poważni! — zawołała. — Co to ma znaczyć?

— Nic — odparł — trzeba przecie być czasem poważnym. Do widzenia, mam, o piątej przyjdę na obiad. Oprócz koszul wszystko mam spakowane. Nie potrzebujesz się więc niepokoić.

— Do widzenia, synu — odparła, skłaniając głowę z wymuszoną godnością.

Irytował ją ton, jakim do niej przemawiał, a w spojrzeniu jego było coś, co ją trwożyło.

— Pocałuj mnie, mam — rzekła dziewczyna. Świeżymi jak kwiat ustami dotknęła zwiędłego policzka tchnącego chłodem.

— Moje dziecko, moje dziecko! — wykrzyknęła pani Vane, wznosząc oczy do góry, jakby szukała nieobecnej galerii.

— Chodź, Sybilo! — rzekł zirytowany brat. Nie cierpiał afektacji matki.

Wyszli na migotliwe, rozedrgane od wiatru słoneczne światło i ruszyli posepną Euston Road. Przechodnie ze zdziwieniem oglądali się za chmurnym, niezgrabnym chłopcem, w tandetnym, źle skrojonym ubraniu, idącym obok tak pięknej, subtelnej dziewczyny. Wyglądał jak ordynarny ogrodnik przy róży.

Jim chwilami marszczył czoło, gdy przychwycił przypadkiem natrętnie spojrzenia przechodniów. Czuł wstręt do zwracania na siebie uwagi — właściwość, którą geniusz nabywa późno, ale której człowiek przeciętny nie traci ani na chwilę. Sybila natomiast nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie wywoływała. Miłość przywoływała uśmiech na jej usta. Myślała o księciu z bajki, a chcąc myśleć tym swobodniej, nie mówiła o nim, lecz szczebiotała o okręcie, którym Jim miał odpłynąć, o złocie, które z pewnością zdobędzie, o cudnej właścicielce skarbów, którą wyswobodzi z rąk niecznych rabusiów, zbiegłych zesłańców odzianych w czerwone koszule. Bo on nie zostanie na zawsze majtkiem ani jakimś tam agentem na statku handlowym. O nie! Życie marynarza jest straszne! Siedzi się tak zamkniętym w szkaradnym okręcie, podczas gdy rozhukane bałwany usiłują się dostać do wnętrza, a czarna burza chyli maszty i rwie żagle w długie świszczące strzępy. Zaraz w Melbourne musi wysiąść, pożegnać pięknie kapitana i natychmiast ruszyć w stronę kopalń złota. Zanim tydzień minie, natrafi na ogromną bryłę złota, większą niż odkryte kiedykolwiek i przywiezie ją na wybrzeże na wozie strzeżonym przez sześciu konnych policjantów. Trzykrotnie napadną go rabusie i za każdym razem zostaną odparci, poniosłszy przy tym wielkie straty. Albo nie, niech lepiej nie idzie do kopalń złota. To jakieś obrzydliwe miejscowości, gdzie ludzie się upijają, mordują nawzajem po karczmach i używają szkaradnych słów. Niech lepiej zostanie dobrym hodowcą owiec, a pewnego letniego wieczora, wracając konno do domu, spotka piękną spadkobierczynię licznych dóbr, którą zbójca uwozi na czarnym koniu. On go dopędzi, uwolni piękną dziewczynę, która się w nim naturalnie zakocha, a potem się pobiorą, wrócą do ojczyzny i zamieszkają w olbrzymim pałacu w Londynie. O, cudowne czekają go rzeczy. Ale musi być dzielny i nigdy nie tracić cierpliwości ani rozrzucać lekkomyślnie pieniędzy. Ona wprawdzie tylko o jeden rok jest starsza od niego, ale o ileż lepiej zna życie! I musi do niej pisać każdą pocztą, a co wieczór modlić się przed zaśnięciem. Bóg taki dobry — będzie nad nim czuwał. Ona także będzie się modliła za niego, a po kilku latach on wróci szczęśliwy i bogaty.

Chłopak przysłuchiwał się tym słowom z chmurną twarzą, nic nie odpowiadając. Tak strasznie cierpiał z powodu wyjazdu.

Ale nie tylko to gnębiło go i zasepiało. Mimo braku doświadczenia doskonale jednak czuł niebezpieczeństwa, nieodłączne od trybu życia Sybili. Ten młody dandys, umizgujący się do niej, nie mógł mieć żadnych dobrych zamiarów. Był dżentelmenem i za to go nienawidził — jakiś dziwny instynkt rasowy budził w nim tę nienawiść, instynkt, którego nie umiał sobie wytłumaczyć, a który dlatego właśnie tym silniej nim zawładnął. Wiedział też, jak płytka i próżna jest matka. Toteż przewidywał wielkie niebezpieczeństwa dla Sybili i jej przyszłości. Dzieci z początku kochają swych rodziców, gdy są starsze, sądzą ich, czasem im wybaczą.

Jego matka! Miał zamiar spytać ją o coś, nad czym rozmyślał w milczeniu od miesięcy. Jakieś zdanie usłyszał przypadkiem w teatrze, drwiący szept, który dotarł do jego uszu, gdy pewnego wieczora czekał u drzwi garderoby, wyzwoliły w nim całą falę strasznych myśli. Przypomniał sobie, że było to jakby uderzenie szpicrutą po twarzy. Ściągnął brwi, przygryzł dolną wargę z grymasem bólu.

— Jim, nie słyszałeś ani słowa z tego wszystkiego, co mówiłam — zawołała Sybila — a ja ci snuję takie cudne plany na przyszłość. No, powiedzże coś!

— Cóż mam powiedzieć?

— Że będziesz dobry i nie zapomnisz o nas — odparła ze śmiechem.

Wzruszył ramionami.

— Prędzej ty zapomnisz mnie niż ja ciebie, Sybilo.

Zarumieniła się.

— Co przez to rozumiesz, Jim? — spytała.

— Masz, słyszę, nowego przyjaciela? Kto to jest? Czemu mi nic o nim nie mówiłaś? On nie ma względem ciebie dobrych zamiarów.

— Jim, przestań! — krzyknęła. — Nie wolno ci nic mówić na niego. Ja go kocham.

— Nie znasz nawet jego nazwiska — odparł chłopiec. — Kto to jest? Mam prawo wiedzieć o tym.

— Nazywa się księżę z bajki. Nie podoba ci się to nazwisko? O, głupi chłopcze! Nie powinieneś zapomnieć tego nazwiska. Gdybyś go zobaczył, powiedziałbyś, że to najcudowniejszy człowiek na całym świecie. Poznasz go kiedyś po powrocie z Australii. Polubisz go! Wszyscy go lubią, a ja... kocham go. Chciałabym, abyś dziś wieczór mógł przyjść do teatru. On będzie w łoży, a ja będę grała Julię. O, jak będę grała! Wyobraź sobie tylko, Jim: kochać i grać Julię! W jego obecności grać dla niego! Zdaje mi się, że przerażę całe publiczność, przerażę albo oczaruję. Kochać — to znaczy wznieść się ponad siebie. Biedny, szkaradny pan Isaacs będzie wołał do swoich nierobów w barze: „Geniusz!” Podawał mnie za dogmat, dziś wieczór obwieści mnie jako objawienie. Czuję to. A wszystko sprawił on, tylko on, księżę z bajki, mój cudny kochanek, bóg gracji. Jestem taka biedna w porównaniu z nim. Biedna? Co to szkodzi? Gdy bieda wchodzi drzwiami, miłość wlatuje oknem. Trzeba na nowo napisać nasze przysłowia. Napisano je w zimie, teraz jest lato, a dla mnie chyba wiosna — taniec kwiatów po błękicie niebios.

— To dżentelmen — chmurnie mruknął chłopak.

— Księżę! — zawołała melodyjnie. — Czego chcesz więcej?

— Chce cię usidlić.

— Drzę na myśl o wolności.

— Powinnaś się go strzec.

— Widzieć go znaczy ubóstwiać go, znać go znaczy mu ufać.

— Sybilo, szalejesz za nim. Zaśmiała się i ujęła ramię brata.

— Mój dobry, stary Jimie, mówisz, jak gdybyś miał sto lat. Pewnego dnia i ty pokochasz. Wtedy się dowiesz, co to znaczy. No, nie bądź taki chmurny. Powinieneś być zadowolony, wiedząc, że jestem szczęśliwsza, niż byłam kiedykolwiek, pomimo że odjeżdżasz. Życie było ciężkie dla nas obojga, strasznie ciężkie i twarde. Teraz będzie inaczej. Ty idziesz w nowy świat, a ja go znalazłam. O, tu są dwa krzesła wolne, siadajmy i przyglądajmy się eleganckiej publiczności.

Zajęli miejsce wśród tłumu siedzących. Grzędy tulipanów po drugiej stronie alei płonęły jak rozedrgane koła płomieni. Biały kurz niczym zwiewny obłok irysowego pudru zawisł w gorącym powietrzu. Różnokolorowe, mieniące się parasolki tańczyły i opuszczały się niby olbrzymie motyle.

Zmusiła brata, by mówił o sobie, o swych nadziejach, widokach. Mówił powoli, z trudem. Wymieniali słowa, jak gracze zetony podczas gry. Sybila czuła się przygnębiona. Nie mogła radości swej udzielić bratu. Słaby uśmiech, przelotnie rozświetlający jego ponurą twarz, był jedynym oddźwiękiem, jaki zdołała wywołać. Po pewnym czasie zamilkła zupełnie. Nagle ujrzała złote włosy i śmiejące się usta: w otwartym powozie przejeżdżał Dorian Gray z dwiema damami. Zarwała się.

— To on! — krzyknęła.

— Kto? — spytał Jim Vane.

— Księżę z bajki — odparła, goniąc oczami ekwipaż.

Brat zerwał się z krzesła i silnie chwycił ją za ramię.

— Pokaż go. Który to jest? Muszę go widzieć! — krzyknął. Ale w tej chwili przeleciała czwórka w lejc księcia Berwicka, a tymczasem pierwszy pojazd wyjechał z parku.



— Odjechał — smutno szepnęła Sybila. — Chciałam, abys go był zobaczył.  
— I ja tego chciałem. Bo jak Bóg na niebie, jeśli ci zrobi coś złego, zabiję go!  
Spojrzała nań przerażona.

Podniesionym głosem powtórzył swe słowa. Przecięły powietrze jak ostrze sztyletu. Ludzie poczęli na nich zwracać uwagę. Jakaś w pobliżu stojąca dama zachichotała.

— Jim, chodźmy, chodźmy — szepnęła Sybila.

Szedł bezwolny, za przeciskającą się przez tłumy dziewczyną. Był zadowolony z tego, co powiedział.

Gdy doszli do pomnika Achillesa, odwróciła się. W oczach jej było współczucie, które uśmiechem wykwitło na ustach. Potrząsnęła głową.

— Niemądry jesteś, Jim, strasznie niemądry. Taki z ciebie nieznośny chłopak, nic więcej. Nie wiesz, co mówisz. Jesteś tylko zazdrosny i szorstki. O, chciałabym, abys się zakochał. Miłość czyni ludzi dobrymi, a to, co powiedziałeś przed chwilą, było czymś bardzo złym.

— Mam szesnaście lat — odparł — i wiem, co mówię. Mama na nic ci się nie przyda. Nie umie nad tobą czuwać. Żałuję, że wyjeżdżam do Australii. Mam wielką ochotę rzucić to wszystko. I tak bym zrobił, gdybym nie był podpisał umowy.

— Ach, Jim, nie bądź tak strasznie poważny. Jesteś całkiem taki, jak bohaterzy tych głupich melodramatów, w których mama tak chętnie występowała. Nie chcę się z tobą sprzeczać. Widziałam go, a zobaczyć go, to już jest szczęście. Nie kłóćmy się. Wiem przecie, że nie zrobiłbyś nic złego człowiekowi, którego ja kocham, prawda?

— Ja go zawsze będę kochać — powiedziała.

— A on ciebie?

— Też zawsze.

— Biada mu, gdyby było inaczej — dodał.

Cofnęła się strwożona. Po chwili zaśmiała się i położyła mu rękę na ramieniu. Przecież był tylko dzieckiem...

Koło Marble Arch wsiedli do omnibusu, który ich zawiózł niemal do drzwi nędznego mieszkania na Euston. Było już po piątej i Sybila przed występem musiała odpocząć. Jim nalegał, aby to uczyniła. Wolał przy tym pożegnać ją, zanim nadejdzie matka. Zaraz odegrałaby jakąś scenę, a on tego nienawidzi.

Pożegnali się w pokoju Sybili. Serce chłopca nurtowała zazdrość i płomienna, śmiertelna nienawiść do nieznanego, który, jak mu się zdawało, stanął pomiędzy nimi. A jednak, gdy dziewczyna objęła go za szyję i zanurzyła palce w jego gęstej czuprynie, zmiękł i gorąco ją ucałował. Łzy stały mu w oczach, gdy odchodził.

Matka czekała na dole. Gdy wszedł, mruknęła coś o niepunktualności. Nie odpowiadając zabrał się do skąpego posiłku. Muchy brzęczały dokoła stołu i łąziły po brudnym obrusie. Wśród turkotu omnibusów i dorożek słyszał monotony głos, który pochłaniał każdą minutę, pozostającą mu jeszcze do odjazdu.

Po chwili odsunął talerz i ukrył twarz w dłoniach. Czuł, że ma prawo wiedzieć o tym. Powinna mu była dawno powiedzieć, jeśli tak było, jak się domyślał. Matka, skamieniała z trwogi, bacznie go obserwowała. Słowa mechanicznie wychodziły z jej ust. Mięła w ręce rozdartą koronkową chustkę. Gdy wybiła szósta, wstał i skierował się ku drzwiom. Potem odwrócił się i spojrzał na nią. Oczy ich się spotkały. W jej spojrzeniu wyczytał rozpaczliwe błaganie o łaskę. To go rozwścieczyło.

— Matko, chcę cię o coś zapytać — rzekł. Oczy jej nieprzytomnie błędziły po pokoju. Nie odpowiadała. — Powiedz mi prawdę. Mam prawo wiedzieć o tym. Czy ojciec mój cię zaślubił?

Odetchnęła głęboko. Było to westchnienie ulgi. Straszna chwila, ta chwila, której dniem i nocą

obawiała się już od miesięcy, nadeszła wreszcie. Jednak nie czuła trwogi. Właściwie czuła się nieco rozczarowana. Ordynarna bezpośredniość pytania wymagała bezpośredniej odpowiedzi. Sytuacja nie została przygotowana stopniowo. Była brutalna. Przypominała lichą próbę.

— Nie — odpowiedziała dziwiąc się twardej prostocie życia.

— W takim razie ojciec mój był łajdakiem! — krzyknął chłopiec zaciskając pięść.

Potrząsnęła głową przecząco.

— Wiedziałałam, że nie był wolny. Kochaliśmy się bardzo. Gdyby żył, byłby się o nas troszczył. Nie złorzecz mu, mój synu. Był twoim ojcem i dżentelmenem. Miał wysokie koligacje.

Z ust chłopca wyrwało się przekleństwo.

— Ja się nie troszczę o siebie! — krzyknął. — Ale nie pozwól Sybili... Ten, co ją kocha, a przynajmniej mówi, że kocha, to dżentelmen, nieprawdaż? Ma zapewne także wysokie koligacje?

Przez chwilę kobieta doznała wstrętnego uczucia ponizenia. Pochyliła głowę. Drżącymi rękami otarła sobie oczy.

— Sybila ma matkę — szepnęła — ja jej nie miałam.

Chłopiec był wzruszony. Podszedł, schylił się i pocałował matkę.

— Żałuję, jeśli ci wyrządziłem przykrość pytając o ojca — rzekł — ale nie mogłem zrobić inaczej. Teraz muszę już iść. Żegnaj. Nie zapominaj, że masz już tylko jedno dziecko, i wierz mi, że jeśli ten człowiek skrzywdzi moją siostrę, ja dowiem się, kim on jest, wysledzę go i zabiję jak psa. To ci przysięgam.

Dzika przesada tej groźby, namiętny gest, który jej

towarzyszył, szalone, melodramatyczne słowa — wszystko to dodało barwy życiu. Przywykła do takiej atmosfery. Odetchnęła swobodniej i po raz pierwszy od wielu miesięcy szczerze podziwiała swego syna. Chętnie byłaby przedłużyła tę wzruszającą scenę, ale on jej przerwał. Należało znieść kufry, wziąć ciepłe rzeczy. Portier wbiegał do pokoju i znikał równie szybko. Trzeba się było targować z woźnicą. Nastrój chwili rozproszył się w powszednich szczegółach. Z ponownym uczuciem rozczarowania powiewała z okna rozdartą koronkową chustką patrząc za odjeżdżającym. Miała wrażenie, że zmarnowana została wielka sposobność. Pocieszyła się opowiadając Sybili, jak życie jej będzie odtąd samotne, gdyż pozostało jej już teraz tylko jedno dziecko. Zapamiętała ten frazes. Podobał jej się, o groźbie nie wspominała. Była wypowiedziana żywo i dramatycznie. Czuła, że wszyscy troje będą się z tego kiedyś śmiać.

## VI

— I cóż, Bazyli, zapewne znasz już wielką nowinę? — pytał tego wieczora lord Henryk, gdy Hallward wszedł do małej salki hotelu „Bristol”, gdzie nakryto do obiadu na trzy osoby.

— Nie, Harry — odparł malarz, oddając kapelusz i płaszcz zginającemu się w ukłonie kelnerowi. — Co takiego? Chyba nic z polityki? To mnie nie obchodzi. W Izbie Gmin nie ma nikogo, kogo by warto malować, chociaż niejednemu przydałoby się, gdyby go trochę wybielono.

— Dorian Gray się zaręczył — rzekł lord Henryk podnosząc nań oczy.

Hallward zerwał się z krzesła i zmarszczył czoło.

— Dorian zaręczony? — krzyknął. — Niemożliwe!

— Tak jednak jest.

— Z kim?

— Z jakąś aktoreczką.

— Nie mogę w to uwierzyć. Dorian zbyt jest rozsądny.

— Dorian jest zbyt mądry, aby od czasu do czasu nie popełnić głupstwa, mój kochany Bazyli.

— Ale małżeństwo jest czymś, na co nie można sobie pozwalać od czasu do czasu.

— Chyba w Ameryce — niedbale odparł lord Henryk. — Ale nie powiedziałem, że się ożenił. Powiedziałem, że jest zaręczony. To wielka różnica. Ja doskonale sobie przypominam, że jestem żonaty, ale absolutnie nie pamiętam, czy kiedyś byłem zaręczony. Gotów jestem niemal uwierzyć, że narzeczonym nie byłem nigdy.

— Ależ uwzględnij pochodzenie Dorian, jego stanowisko, majątek. Przecież byłoby absurdem z jego strony brać żonę z tak niskiej sfery.

— Powiedz mu to, jeśli chcesz, aby się ożenił z tą dziewczyną. Wtedy uczyni to z pewnością. Jeśli mężczyzna robi coś bardzo głupiego, to zawsze z motywów najszlachetniejszych.

— Mam nadzieję, Harry, że to przyzwoita dziewczyna. Nie chciałbym, aby Dorian związał się z jakąś niegodną istotą, która by wypaczyła jego charakter i zdeprawowała mu umysł.

— O, ona jest więcej niż przyzwoita, jest piękna — mruknął lord Henryk wysączać z kieliszka wermut z pomarańczówką. — Dorian powiada, że jest piękna, a on rzadko się myli co do tego. Ten jego portret, przez ciebie zrobiony, szybko rozwinął w nim wrażliwość na powierzchowność innych ludzi. Wywarł na nim między innymi i ten pożyteczny wpływ. Mamy ją zobaczyć dziś wieczór, jeśli chłopak nie zapomni o naszej umowie.

— Mówisz serio?

— Całkiem serio, Bazyli. Byłbym nieszczęśliwy, gdybym sądził, że mogę kiedykolwiek mówić jeszcze bardziej serio niż w tej chwili.

— Ale czy ty to pochwalasz, Harry? — spytał malarz biegając tam i z powrotem po pokoju, zagryzając wargi. — Nie możesz przecież tego pochwalać. To po prostu nierozsądne zadurzenie.

— Ja już teraz niczego nie chwale ani nie ganię. To głupie stanowisko wobec życia. Nie po to przychodzimy na świat, by dawać folę swym przesądom moralnym. Nigdy się nie troszczę o to, co mówią ludzie pospoliccy, i nigdy się nie sprzeciwiam temu, co robią ludzie czarujący. Jeśli mnie ktoś zachwyca, wolno mu wyrażać swą indywidualność w formie dowolnej, a ja się z tego cieszę. Dorian Gray zakochuje się w pięknej dziewczynie grającej Julię i chce się z nią ożenić. Czemu nie? Gdyby się żenił z Mesaliną, byłby nie mniej interesujący. Wiesz, że ja nie należę do tych, co kruszą kopię w obronie małżeństwa. Prawdziwie ujemną stroną małżeństwa jest fakt, że pozbawia ludzi egoizmu. A ludzie nieegoistyczni są bezbarwni. Nie mają indywidualności. Ale

istnieją temperamenty, które w małżeństwie stają się jeszcze bardziej skomplikowane, zachowują swój egotyzm i dodają doń jeszcze niejedno ego. Zmuszeni są prowadzić więcej niż jedno życie. Osiągają wyższy poziom wyrobienia, a osiągnięcie wyższego poziomu jest, o ile mi się zdaje, celem naszego bytu. Przy tym każde doświadczenie jest cenne, a cokolwiek się da powiedzieć przeciw małżeństwu, bez wątpienia jest ono doświadczeniem. Mam nadzieję, że Dorian Gray ożeni się z tą dziewczyną, będzie ją przez sześć miesięcy ubóstwiał, a potem pozwoli się oczarować przez inną kobietę. Byłby w każdym razie zajmującym obiektem studiów.

— Harry, sam doskonale wiesz, że tego wszystkiego nie mówisz poważnie. Gdyby życie Doriana Graya zostało zniszczone, nikt nie cierpiałby więcej od ciebie. Jesteś znacznie lepszy, niż sam siebie przedstawiasz.

Lord Henryk się zaśmiał.

— My wszyscy dlatego lubimy myśleć tak dobrze o innych, że obawiamy się o siebie. Podstawą optymizmu jest tylko strach. Uważamy się za szlachetnych przyznając bliźnim naszym cnoty, które mogłyby nam przynieść korzyść. Chwalimy bankiera po to, by przekraczać nasze konta, szukamy dobrych stron w rabusiu w nadziei, że oszczędzi naszą kieszeń. Mówiłem jak najbardziej poważnie. Mam największą wzdargę dla optymizmu. A zniszczone życie! Żadne życie nie jest zniszczone prócz tego, którego rozwój jest powstrzymywany. Jeśli chcesz wypaczyć charakter, to zabierz się tylko do reformowania go. A to małżeństwo oczywiście byłoby nedorzecznnością. Ale istnieją inne, bardziej zajmujące węzły między mężczyzną a kobietą. Stanowczo będę je popierał. Mają ten urok, że są modne. Ale oto i Dorian we własnej osobie. Powie ci więcej, niżbym ja to mógł uczynić.

— Mój drogi Harry, mój drogi Bazyli, musicie mi obaj powinszować — zawołał młody człowiek zrzucając podbitą atlasem pelerynę. — Nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Wszystko naturalnie przyszło tak nagle; wszystko, co piękne, przychodzi nagle. A jednak wydaje mi się, jakbym przez całe życie tego tylko wyczekiwał.

Zarumienił się z radości i wzruszenia i był cudownie piękny.

— Mam nadzieję, Dorianie, że zawsze będziesz szczęśliwy — rzekł Hallward — ale niezupełnie ci wybaczam, że mi nie powiedziałeś o swych zaręczynach. Harry o nich wiedział.

— A ja ci nie wybaczam, że się spóźniłeś na obiad — wtrącił lord Henryk z uśmiechem, kładąc przy tym rękę na ramieniu chłopca. — Chodź, siadaj, a zobaczymy, co umie ten nowy kucharz. Później nam wszystko opowiesz.

— Niewiele mam do opowiadania — zaczął Dorian, gdy siedzieli przy małym, okrągłym stoliku. — Oto, co się stało: Kiedy wczoraj odszedłem od ciebie, Harry, ubrałem się, zjadłem coś w tej włoskiej restauracyjce, do której mnie wprowadziłeś, a o ósmej poszedłem do teatru. Sybila grała Rozalindę. Rozumie się, że sceneria była obrzydliwa, a Orland idiotyczny. Ale Sybila! Powinniście ją byli widzieć! Gdy weszła przebrana za chłopca, była wprost cudowna. Miała na sobie aksamitną kurtkę koloru mchu, z rękawami barwy cynamonu, obcisłe brązowe spodenki, małą zieloną czapeczkę z piórem sokolim, przymocowanym jakimś błyszczącym kamieniem i duży płaszcz z kapturem podbity ciemnoczerwoną podszewką. Nigdy nie wydała mi się piękniejsza. Była tak delikatna i czarująca jak ta tanagryjska figurka w twej pracowni, Bazyli. Włosy bujnymi puklami okalały jej twarzyczkę jak ciemne liście bladą różę. A jej gra — no, ale przecież zobaczycie ją dziś wieczór. Urodzona artystka. Siedziałem wprost oczarowany w tej brudnej łoży. Zapomniałem, że jestem w Londynie w dziewiętnastym stuleciu. Byłem z ukochaną moją w lesie, którego nikt nigdy nie widział. Po przedstawieniu poszedłem do niej i mówiłem z nią. Kiedy siedzieliśmy obok siebie, nagle oczy jej przybrały wyraz, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Usta moje zbliżyły się do jej ust. Pocałowaliśmy się. Nie mogę wam wyrazić, co czułem w owej chwili. Zdawało mi się, że całe moje życie skupiło się w ten jeden doskonały

moment różowej radości. Ona drżała całym ciałem i skłaniała się jak biały narcyz. Potem padła na kolana i całowała mnie po rękach. Czuję dobrze, że nie powinienem tego wszystkiego opowiadać, ale nie mogę postąpić inaczej. Oczywiście zaręczyny nasze pozostają w tajemnicy. Nie wspomniała o nich nawet swej matce. Nie wiem, co powiedzą moi opiekunowie. Lord Radley będzie z pewnością się wściekał. Nic mnie to nie obchodzi. Za rok niespełna będę pełnoletni, a wtedy wolno mi będzie robić, co zechcę. Bazyli, prawda, że dobrze uczyniłem szukając ukochanej w poezji i znajdując żonę w dramatach Szekspira? Usta, które Szekspir nauczył mówić, do mego ucha wyszeptaly swą tajemnicę. Czułem oplatające mnie ramiona Rozalindy i całowałem usta Julii.

— Tak, Dorianie, zdaje mi się, że dobrze uczyniłeś — powoli rzekł Hallward.

— Czy widziałeś ją dzisiaj? — spytał lord Henryk. Dorian Gray przecząco potrząsnął głową.

— Pożegnałem ją w Lesie Ardeńskim, a przywitam w ogrodzie Werony.

Lord Henryk w zamyśleniu wyszczał szampan.

— Dorianie, w której dokładnie chwili wspomniałeś o małżeństwie? I co ona odpowiedziała? A może zapomniałeś o tym wszystkim?

— Mój drogi Harry, nie traktowałem tego jak interes i nie oświadczyłem się oficjalnie. Powiedziałem jej, że ją kocham, a ona odpowiedziała, że nie jest godna zostać moją żoną. Nie jest godna! O, dla mnie cały świat jest niczym w porównaniu z nią.

— Kobiety są zastanawiające praktyczne — mruknął lord Henryk. — Znacznie praktyczniejsze od nas. My w podobnych sytuacjach często zapominamy mówić o małżeństwie, ale one zawsze nam to przypominają.

Hallward położył mu rękę na ramieniu.

— Przestań, Harry. Uraziłeś Doriana. On nie jest taki jak inni. Nigdy nie zdołałby kogoś unieszczęśliwić. Ma naturę zbyt subtelną.

Lord Henryk spojrział na Doriana poprzez stół.

— Dorian nigdy nie czuje do mnie urazy. Pytałem w najlepszej intencji — w jedynej, która usprawiedliwia pytania — z ciekawości. Podług mojej teorii, to kobiety zawsze oświadczenia się nam, a nie my kobietom. Oczywiście z wyjątkiem klasy mieszczańskiej. Ale zwyczajnie klasy mieszczańskiej nie są w modzie.

Dorian Gray zaśmiał się i odrzucił w tył głowę.

— Jesteś niepoprawny, Harry, ale to nic nie szkodzi. Nie można się na ciebie gniewać. Gdy zobaczysz Sybilę Vane, przekonasz się, że mężczyzna, który by jej wyrządził krzywdę, byłby bestią, dziką bestią bez serca. Nie pojmuję, jak można hańbić tę, którą się kocha. Ja kocham Sybilę Vane. Chcę ją umieścić na złotym piedestale i patrzeć, jak świat ubóstwia kobietę, która należy do mnie. Czym jest małżeństwo? Nieodwołalnym zobowiązaniem. I dlatego z niego sztychsz. O, nie sztychsz, Harry, ja chcę się właśnie związać nieodwołalnie. Jej zaufanie czyni mnie wiernym, jej wiara — dobrym. Gdy jestem przy niej, żałuję wszystkiego, czego mnie nauczyłeś. Staję się innym, niż mnie dotąd znałeś. Jestem przeistoczony, a samo dotknięcie ręki Sybili Vane każe mi zapomnieć o wszystkich twych fałszywych, czarujących, wspaniałych, trujących teoriach.

— A te są?... — spytał lord Henryk biorąc z półmiska trochę sałaty.

— O, te twoje teorie o życiu, miłości, używaniu życia. W ogóle wszystkie twoje teorie, Harry.

— Tylko o używaniu życia warto mieć teorie — odparł lord Henryk głosem powolnym i melodyjnym. — Ale obawiam się, że moja teoria nie jest moją własnością. Należy do natury, nie do mnie. Przyjemność jest probierzem natury, oznaką jej przyzwolenia. Gdy jesteśmy szczęśliwi, zawsze jesteśmy dobrzy, ale gdy jesteśmy dobrzy, nie zawsze bywamy szczęśliwi.

— Ach! Ale co ty rozumiesz przez dobroć? — zawołał Bazyli Hallward.

— Tak — powtórzył Dorian patrząc na lorda Henryka poprzez wielkie pęki purpurowych irysów, umieszczonych na środku stołu — co ty rozumiesz przez dobroć?

— Być dobrym znaczy być w zgodzie z sobą samym — odparł lord Henryk, białymi cienkimi palcami ujmując wysmukły kieliszek. — Być zmuszonym do zgody z drugimi jest dysonansem. Życie własne — o to właśnie chodzi. Życie naszych bliźnich... ba, jeśli się chce być obłudnikiem lub purytaninem, to można się chełpić swym zmysłem moralnym, ale w gruncie rzeczy nic nas to wszystko nie obchodzi. Przy tym indywidualizm ma istotnie wyższe cele. Dzisiejsza moralność polega na przystosowaniu się do kryteriów swojej epoki. Moim zdaniem, najwyższą niemoralnością dla człowieka kulturalnego jest przystosowanie się do kryteriów swej epoki.

— Ale nie sądzisz, Harry, że człowiek żyjący wyłącznie dla siebie strasznie drogo za to płaci? — wtrącił malarz.

— Tak, my dziś musimy wszystko przepłacać. Wyobrażam sobie, że istotna tragedia ubogich polega na tym, że na nic sobie nie mogą pozwolić prócz rezygnacji. Piękne grzechy, jak wszystkie piękne rzeczy w ogóle, są przywilejem bogatych.

— Płaci się w inny sposób, nie monetą.

— W jaki sposób, Bazyli?

— Ach, przypuszczam, że wyrzutami sumienia, cierpieniem, czy ja wiem... świadomością poniżenia.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

— Mój drogi przyjacielu, sztuka średniowieczna jest zachwycająca, ale uczucia średniowieczne są niemodne. Można je naturalnie zużytkować w literaturze. Ale w literaturze zużytkowuje się tylko te rzeczy, które w życiu wyszły już z użycia. Wierzaj mi, żaden człowiek cywilizowany nie żałuje doznanej przyjemności, a żaden człowiek niecywilizowany nie wie, co to przyjemność.

— Ja wiem, co jest przyjemnością! — zawołał Dorian Gray. — Przyjemność to ubóstwianie kogoś.

— W każdym razie lepiej ubóstwiać niż być ubóstwianym — odparł lord bawiąc się owocami. — Być ubóstwianym to rzecz nieznośna. Kobiety traktują nas jak ludzkość swych bogów. Ubóstwiają nas i ciągle nas nudzą, żeby coś dla nich zrobić.

— Ja bym powiedział, że wszystko, czego od nas żądają, wpierw nam dają same — poważnie odrzekł chłopak. — One wzbudzają w nas miłość! Mają prawo żądać jej z powrotem.

— To zupełna prawda, Dorianie! — zawołał Hallward.

— Nic nie jest zupełną prawdą — rzekł lord Henryk.

— Ale to nią jest — przerwał Dorian. — Musisz przyznać, Harry, że kobiety dają nam najcenniejsze złoto swego życia.

— Być może — rzekł lord z westchnieniem — ale zawsze domagają się zwrotu w bardzo drobnych monetach. Na tym polega cały kłopot. Kobiety, powiada jeden dowcipny Francuz, wznecają w nas pragnienie tworzenia arcydzieł i zawsze przeszkadzają nam w ich urzeczywistnieniu.

— Harry, ty jesteś straszny! Nie wiem, za co cię tak lubię.

— Zawsze mnie będziesz lubił, Dorianie — odrzekł lord. — A może się napijecie teraz kawy? Kelner! Kawa, koniak i papierosy. Nie, papierosy niepotrzebne, mam własne. Bazyli, nie wolno ci palić cygar. Weź papierosa. Papieros jest” doskonałym przykładem doskonałej rozkoszy. Sprawia przyjemność, a nie zaspokaja. Czegóż żądać więcej? Tak, Dodanie, zawsze mnie będziesz lubił. Ja jestem dla ciebie ucieleśnieniem tych wszystkich grzechów, do popełnienia których nie masz odwagi.

— Jakie ty głupstwa wygadujesz, Harry — zawołał Dorian zapalając papierosa od ziejącego

ogniem srebrnego smoka, którego kelner postawił na stole. — Chodźmy lepiej do teatru. Gdy Sybila wejdzie na scenę, poznacie nowy ideał życia. Ona wam objawi to, czegoście nigdy nie zaznali.

— Ja zaznałem wszystkiego — ze znużonym spojrzeniem rzekł lord Henryk. — Zawsze jednak jestem ciekaw nowych emocji. Boję się tylko, że dla mnie przynajmniej one już nie istnieją. A może twoja cudna dziewczyna potrafi mnie rozruszać. Lubię scenę. Jest o tyle prawdziwsza od życia. Dorianie, ty jedziesz ze mną. Bardzo mi przykro, Bazyli, ale w moim powoziku jest miejsce tylko na dwie osoby. Musisz wziąć dla siebie dorożkę.

Wstali, wzięli płaszcze i wysączażyli kawę, stojąc. Malarz milczał zadumany. Był posepny. Nie mógł znieść myśli o tym małżeństwie, a jednak wydawało mu się lepsze od niejednej możliwej ewentualności. Po paru minutach wyszli. Jechał sam, jak się umówili, i patrzył na błyszczące światło jadącego przed nim powoziku. Doznawał dziwnego uczucia straty. Czuł, że Dorian Gray nigdy już nie będzie dla niego tym, czym był poprzednio. Stało między nimi życie... Pociemniało mu przed oczami, a jaskrawe ożywione ulice rozplynęły się w cieniu. Gdy powóz stanął przed teatrem, miał wrażenie, że się postarzał o kilka lat.

## VII

Nie wiadomo, z jakiego powodu sala teatralna była tego wieczora przepelniona, a gruby Żyd, który wybiegł naprzeciw nich, promieniał od ucha do ucha tłustym, rozdygotanym uśmiechem. Poprowadził ich do łoży z pompatyczną uniżonością, wymachując bezustannie tłustymi, od pierścieni błyszczącymi rękami i piszcząc dyszkantem. Dorian czuł do niego większy jeszcze wstręt niż zazwyczaj. Miał wrażenie, że przybył zobaczyć Mirandę, a tymczasem zabiegł mu drogę Kaliban. Lordowi Henrykowi natomiast przypadł on do gustu. Tak przynajmniej utrzymywał obstając przy tym, że musi uścisnąć mu dłoń. Zapewniał go nawet, że jest dumny z poznania człowieka, który odkrył genialną aktorkę i zawiódł się gorzko na poecie. Hallward zajęty był obserwowaniem twarzy na parterze. Gorąco było nieznośne, a żyrandol płonął jak olbrzymia georgia o liściach z żółtego ognia. Chłopcy na galerii pozdejmowali surduty i kamizelki i przewiesili je przez balustradę. Rozmawiali z przeciwległą galerią, dzieląc się pomarańczami z siedzącymi obok nich dziewczętami. Kilka kobiet na parterze raz po raz wybuchało śmiechem. Głosy ich były krzykliwe i rażące. Od strony bufetu dolatywało strzelanie korków.

— Cóż za miejsce do poszukiwania bogini — odezwał się lord Henryk.

— Tak — odparł Dorian Gray. — Tu ją znalazłem i jest bardziej boska niż wszystko, co żyje. Gdy zaczniesz grać, zapomnisz o wszystkim. Ci pospoliccy, nieokrzesani ludzie, o ordynarnych twarzach i brutalnych gestach, stają się inni, gdy ona jest na scenie. Siedzą w milczeniu i wpatrują się w nią. Płaczą i śmieją się, gdy ona zechce. Są jej powolni jak skrzypce. Uduchawia ich i wówczas się czuje, że oni są z tej samej krwi i kości co my.

— Z tej samej krwi i kości co my? O, co to, to nie! — zawołał lord Henryk, obserwując przez lornetkę publiczność na galerii.

— Nie zważaj na niego, Dorianie — rzekł malarz. — Wiem, co chcesz powiedzieć, i wierzę w tę dziewczynę. Ktoś, kogo ty kochasz, musi być cudowny, a dziewczyna mogąca tak działać, jak mówisz, musi być piękna i szlachetna. Uduchawiać swą epokę to warte trudu. Jeśli ta dziewczyna zdolna jest tchnąć dusze w tych, którzy żyli bez duszy, jeśli budzi zmysł piękna w tych, których życie było brudne i szkaradne, jeśli ich wyrwa z egoizmu i czyni zdolnymi do łez nad cierpieniem, które nie jest ich cierpieniem, to godna jest całego twego ubóstwienia, godna jest ubóstwienia całego świata. Małżeństwo to jest całkiem odpowiednie. Z początku w to nie wierzyłem, ale teraz uznaję, że tak jest. Bogowie stworzyli Sybilę Vane dla ciebie. Bez niej nie byłbyś pełnym człowiekiem.

— Dziękuję ci, Bazyli — odparł Dorian Gray ściskając mu dłoń. — Wiedziałem, że ty mnie zrozumiesz. Harry jest tak cyniczny, że przeraża mnie. Ale oto orkiestra zaczyna grać. Straszne, ale to trwa tylko parę minut. Potem podniesie się kurtyna i zobaczysz dziewczynę, której chcę ofiarować całe moje życie, której oddałem wszystko, co we mnie jest dobrego.

W kwadrans później Sybila Vane weszła na scenę wśród prawdziwej burzy oklasków. Tak, była naprawdę precudna, jedna z na j cudniej szych istot — myślał lord Henryk — jakie kiedykolwiek widział. W trwożnym jej wdzięku, w zalęknionym spojrzeniu było coś z sarny. Lekki rumieniec, niby cień róży w srebrnym zwierciadle, przemknął po jej twarzyczce, gdy ujrzała przepelnioną, rozentuzjasmowaną salę. Cofnęła się o parę kroków, a wargi jej zdawały się drżeć. Bazyli Hallward zerwał się i zaczął bić brawo, Dorian Gray siedział bez ruchu, jakby we śnie, wpatrzony w dziewczynę. Lord Henryk patrzył przez lornetkę, powtarzając półgłosem:

— Czarująca! Czarująca!



Rozpoczęła się scena w przedsionku domu Kapuletów, Romeo w płaszczu pielgrzyma wszedł z Merkucjem i swymi przyjaciółmi. Orkiestra niezdarnie odegrała parę taktów i rozpoczął się taniec. W tłumie niezgrabnych i źle ubranych aktorów Sybila Vane poruszała się jak istota z piękniejszego świata. Postać jej chwiała się w tańcu, jak odbicie kwiatu chwieje się na wodzie. Linie jej szyi były niby linie białej lilii. Ręce przypominały rzeźby z chłodnej kości słoniowej.

Była jednak dziwnie roztargniona. Nie zdradzała nawet cienia radości, gdy oczy jej spoczęły na postaci Romea. Kilkanaście słów, które miała wypowiedzieć:

Mości pielgrzymie, bluźnisz swojej dłoni,  
Która nie grzeszy zdrożnym dotykaniem;  
Jestli ujęcie rąk pocałowaniem,  
Nikt go ze świętych pielgrzymom nie broni.\*

i następujący po nich krótki dialog wygłosiła całkiem sztucznie. Głos był przecudny, ale ton zupełnie fałszywy. Fałszywy w barwie. Pozbawiał wiersz wszelkiego życia. Kłam zadawał namiętności.

Dorian Gray zbladł patrząc na nią. Ogarnęło go pomieszanie i trwoga. Żaden z przyjaciół nie śmiał do niego przemówić. Wydała im się najzupełniej pozbawiona talentu. Byli straszliwie rozczarowani.

Wiedzieli jednak, że probierzem dla każdej Julii jest scena balkonowa w drugim akcie. Postanowili więc zaczekać. Jeśli ona tu zawiedzie, — nie ma się już czego spodziewać.

Wyglądała czarująco, gdy ukazała się w świetle księżyca. Temu niepodobna było zaprzeczyć. Ale wymuszoność jej gry była nieznośna. I z każdą chwilą się pogarszała. Ruchy stały się rażąco sztuczne. Czuć było przesadę w każdym słowie, które wypowiadała. Prześlizchny ustęp:

Gdyby nie ciemność, co mi twarz maskuje,  
Widziałbyś na niej rozlany rumieniec  
Po tym, co z ust mych słyszałeś tej nocy.

wyrecytowała ze sztuczną precyzją pensjonarki, kształcącej się u drugorzędnego profesora deklamacji. Gdy przechylona przez balkon doszła do pięknych strof:

Lubo się cieszę z twojej obecności,  
Te nocne śluby nie cieszą mnie jakoś;  
Za nagłe one są, za nierozważne,  
Podobne niby do blasku, co znika,  
Nim człowiek zdąży powiedzieć: „Błysnęło”.  
Dobranoc, luby! Oby nam ten wonny  
Miłości pączek przyniósł kwiat niepłonny!\*

wypowiedziała je takim tonem, jakby żadnego dla niej nie miały znaczenia. Nie był to objaw zdenerwowania. Przeciwnie, Sybila była zupełnie opanowana. To była po prostu hcha gra. Kompletnie fiasko.

Nawet zwykła, niewybredna publiczność na parterze i galerii przestała się zajmować przedstawieniem. Wszczęły się szmery, głośna rozmowa i sykanie. Żyd, stojący w głębi

\* W. Szekspir, *Romeo i Julia*, akt I, scena V Przekład Józefa Paszkowskiego

\* *Romeo i Julia*, akt II, scena 2.

pierwszego balkonu, tupał nogami i kłął z wściekłości. Jediną spokojną osobą w całym teatrze była sama dziewczyna.

Po zakończeniu drugiego aktu rozpoczęła się burza syków i gwizdów. Lord Henryk wstał i zaczął wkładać płaszcz.

— Czarująco piękna — rzekł — ale nie umie grać. Chodźmy.

— Chcę wysłuchać sztuki do końca — twardym i gorzkim tonem odparł Dorian. — Bardzo mi przykro, Harry, że obydwa straciliście wieczór. Przepraszam was...

— Mój drogi Dorianie — przerwał Hallward — zdaje mi się, że panna Sybila Vane jest chora. Przyjdziemy innym razem.

— Chciałbym, aby była chora — odparł Dorian. — Mnie wydaje się ona tylko tępa i zimna. Najzupełniej się zmieniła. Wczoraj była wielką artystką. Dziś jest przeciętną, lichą aktorką.

— Nie mów tak o tej, którą kochasz, Dorianie. Miłość jest cudowniejsza niż sztuka.

— Obydwe są tylko formami naśladownictwa — zauważył lord Henryk. — Ale proszę was, chodźmy już. Dorianie, nie możesz tu pozostać. Ze względów moralnych nie należy patrzeć na złą grę. Sądzę zresztą, że żonie swej nie pozwolisz chyba występować na scenie. Cóż cię zatem obchodzi, że gra Julię jak marionetka? Jest czarująco piękna, a jeśli zna życie równie mało jak sztukę, będzie precudnym obiektem eksperymentalnym. Bo dwa tylko istnieją rodzaje ludzi fascynujących: ci, co wiedzą wszystko, i ci, co nie wiedzą nic. Na Boga, chłopcze drogi, nie rób tak tragicznej miny. Tajemnica zachowania młodości na tym polega, że nie należy nigdy doznawać uczuć, z którymi nie jest nam do twarzy. Chodź ze mną i Bazylim do klubu. Będziemy palić papierosy i pić na cześć piękności Sybili. Jest piękna. Czegóż chcesz więcej?

— Harry, odejź! — zawołał Dorian. — Chcę być sam. Bazylu, musicie odejść. Czy nie widzicie, że mi serce pęka?

Gorące łzy napłynęły mu do oczu. Usta drżały gwałtownie. Rzucił się w głąb łoża, oparł głowę o ścianę i ukrył twarz w dłoniach.

— Bazylu, chodźmy — rzekł lord Henryk, a głos jego zabrzmiał dziwnie miękko. I obydwa skierowali się ku wyjściu.

W parę minut później zapłonęły kinkiety i kurtyna podniosła się do aktu trzeciego. Dorian Gray zajął swe poprzednie miejsce. Miał twarz bladą, dumną i obojętną. Przedstawienie się wlokło, jak gdyby nigdy nie miało się skończyć. Większa część publiczności opuściła widownię, stukając ciężkim obuwiem i śmiejąc się głośno. Fiasco kompletne. Ostatni akt odegrano przed pustą niemal widownią. Spuszczono kurtynę wśród chichotania i niezadowolonych pomruków.

Po skończonym przedstawieniu Dorian wpadł za kulisy do garderoby. Tu stała dziewczyna, sama, z wyrazem triumfu na twarzy. Oczy jej płonęły cudownym blaskiem. Promieniowała. Na wpół rozchylone usta uśmiechały się do jakiejś czarownej tajemnicy.

Gdy wszedł, spojrzała na niego, a twarz jej rozświetliła się bezmierną radością.

— Jakże ja dziś źle grałam, Dorianie! — zawołała.

— Okropnie — odparł patrząc na nią oszołomiony — okropnie. To było straszne. Czy jesteś chora? Nie masz pojęcia, jakie to było okropne. I nie domyślasz się nawet, co przecierpiałem.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

— Dorianie — rzekła wymawiając imię to melodyjnie, przeciągle, jakby od miodu słodszy był dla różowego kwiecica jej ust. — Dorianie, ty powinieneś być mnie rozumieć. Ale teraz mnie rozumiesz, nieprawdaż?

— Co mam rozumieć? — zapytał gniewnie.

— Dlaczego tak źle dziś grałam. Dlaczego zawsze już będę grała źle. Dlaczego nigdy już nie zagram dobrze.

Wzruszył ramionami.

— Chora jesteś zapewne. Ale jeśli jesteś chora, to nie powinnaś występować. Narazasz się na śmieszność. Przyjaciele moi byli znudzeni. I ja byłem znudzony.

Zdawała się nie słyszeć jego słów. Radość zupełnie ją przemieniła. Opanowała ją ekstaza szczęścia,

— Dorianie, Dorianie — zawołała — zanim ciebie poznałam, teatr był dla mnie jedyną rzeczywistością w życiu. Nim tylko żyłam. Wszystko to brałam za prawdę. Dziś byłam Rozalindą, a jutro Porcją. Radość Beatryczy była moją radością, a ból Kordelii moim bólem. We wszystko to wierzyłam. Zwyczajni ludzie, którzy ze mną grali, wydawali mi się bogami. Pomalowane kulisy były moim światem. Nic nie znałam prócz cieni, które brałam za rzeczywistość. Aż ty przyszedłeś, cudowny mój, ukochany, i wyswobodziłeś duszę moją z więzienia. Ty mi dałeś poznać rzeczywistość. Dzisiejszego wieczora po raz pierwszy w życiu ujrzałam pustkę, fałsz, blichtr, wśród których się ciągle obracałam. Dzisiejszego wieczora po raz pierwszy zauważyłam, że Romeo jest brzydki i stary, księżycowe światło w ogrodzie sztuczne, dekoracja ordynarna — a słowa, które mówiłam, nieprawdziwe, to nie były moje słowa, nie to, co miałam do powiedzenia. Ty wniosłeś w moje życie coś wyższego, coś, czego wszelka sztuka jest tylko odbłaskiem. Ty mnie nauczyłeś, co to jest miłość. Ukochany mój, o mój ukochany! Królewiczu z bajki! Władco życia! Dość już miałam cieni. Ty dla mnie jesteś czymś więcej niżli wszelka sztuka. Cóż mnie obchodzą marionetki teatralne? Kiedy przyszłam dziś wieczór, nie mogłam pojąć, jak wszystko to raptownie mnie opuściło. Myślałam, że będę czarująca. Poczułam, że jestem bezradna. Nagle rozświetliło mi się w duszy, co to wszystko znaczy. I to objawienie było cudowne! Słyszałam ich sykanie i uśmiechałam się. Co oni mogą wiedzieć o takiej miłości jak nasza? Zabierz mnie z sobą, Dorianie, zabierz mnie tam, gdzie będziemy sami. Nienawidzę sceny. Mogłabym grać namiętność, której nie czuję, ale grać to, co mnie ogniem pali — nie mogę. Dorianie mój, Dorianie, czy rozumiesz teraz, co to wszystko znaczy? Gdybym nawet potrafiła, uważałabym teraz za świętokradztwo grać zakochaną. Tego mnie nauczyłeś.

Padł na sofę i odwrócił się od niej.

— Zabiłaś moją miłość — wyszeptał.

Spojrzała nań zdumiona i zaśmiała się. Milczał. Podeszła do niego i zanurzyła paluszki w jego włosach. Uklękła i przycisnęła usta 'do jego rąk. Cofnął je i dreszcz go przebiegł.

Zerwał się i skoczył ku drzwiom.

— Tak — zawołał — zabiłaś moją miłość. Przedtem uskrzydlałaś moją fantazję. Teraz nie wzbudzasz nawet mej ciekawości. Przestałaś na mnie działać. Kochałem cię, bo byłaś czarowna, bo miałaś genialny talent i intelekt, bo urzeczywistniałaś marzenia wielkich poetów, nadawałaś ceniom kształt i treść. Wszystko to odrzuciłaś precz. Płytką jesteś i głupia. Boże mój! Szaleńcem byłem, że cię mogłem pokochać. Jakimż byłem głupcem! Teraz jesteś dla mnie niczym. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę myśleć o tobie. Nigdy nie wymienię twego imienia. Ty nie wiesz, czym dla mnie byłaś kiedyś. Dlaczego... Och, nie mam sił myśleć nawet o tym. Bodajbym cię nigdy nie był widział! Zniszczyłaś romantyzm mego życia. Jakże niewiele wiesz o miłości mówiąc, że ona zabija twą sztukę! Bez swej sztuki jesteś niczym. Byłbym cię zrobił sławną i wielką, i wspaniałą. Świat byłby cię ubóstwiał i byłabyś nosiła moje nazwisko. Czym jesteś teraz? Trzeciorzędną aktorką o ładnej twarzy.

Dziewczyna zbieleła na twarzy i drżała. Złożyła ręce jak do modlitwy, a głos łamał się jej w gardle.

— Ty chyba nie mówisz serio, Dorianie — wyjąkała. — Grasz komedię.

— Ja komedię? To pozostawiam tobie. Wszak to umiesz tak wspaniale — odparł z goryczą.

Podniosła się z klęczek i z żalnym wyrazem bólu podeszła ku niemu. Położyła rękę na jego ramieniu i spojrzała mu w oczy. Odtrącił ją.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknął.

Głuchy jęk wyrwał się z jej ust. Rzuciła mu się do nóg. Leżała u jego stóp jak zdeptyany kwiat.

— Dorianie, Dorianie, nie porzucaj mnie — szeptała. — Żałuję, że nie grałam dobrze. Bezustannie myślałam o tobie. Ale spróbuję... tak, spróbuję. Tak nagle na mnie spadła ta moja miłość do ciebie. Zdaje mi się, że nie byłabym nawet o niej wiedziała, gdybyś mnie nie był pocałował, gdybyśmy się nie byli pocałowali. Jeszcze raz mnie pocałuj, ukochany. Nie odchodź ode mnie. Nie zniosłabym tego. Och, nie odchodź ode mnie. Mój brat... O, nie, nie! On nie mówił serio. Żartował. Ale ty? Czyż nie możesz mi wybaczyć dzisiejszego wieczoru? Będę pracowała ze wszystkich sił i postaram się grać lepiej. Nie bądź tak okrutny za to, że cię kocham więcej niż cokolwiek na świecie. Przecież tylko jeden raz ci się nie podobałam. Ale masz słuszość, Dorianie. Należało być więcej artystką. To było głupio z mej strony, ale nie mogłam inaczej. O, nie opuszczaj mnie, nie opuszczaj!

Dławiło ją spazmatyczne łkanie. Skuliła się na podłodze jak zranione zwierzę, a Dorian Gray spoglądał na nią swymi pięknymi oczami i dumna wzdrgała na jego pięknie rzeźbionych ustach. Uczucia tych, których przestaliśmy kochać, są zawsze śmieszne. Sybila Vane wydała mu się głupio melodramatyczna. Jej łzy i westchnienia go nudziły.

— Odchodzę — rzekł wreszcie spokojnie i zimno. — Nie chcę ci sprawiać przykrości, ale więcej cię widywać nie mogę. Rozczarowałaś mnie.

Plakała cicho i nie odpowiadała czołgając się tylko za nim. Jej drobne ręce wyciągały się na oślep, jakby go szukały. Odwrócił się i wyszedł. W parę minut później był już poza obrębem teatru.

Sam nie wiedział, dokąd idzie. Przypomniawszy sobie później, że przechodził słabo oświetlonymi ulicami koło wąskich, czarnych bram, wzdłuż złowrogo wyglądających domów. Zaczepiały go kobiety o ochryplym głosie i ordynarnym śmiechu. Pijacy mijali go zataczając się, miotając przekleństwa lub pomrukując jak małpy. Widział dziwaczne dzieci, przycupnięte na ciemnych schodach, i słyszał krzyki i klątwy dolatujące z ponurych podwórz.

Świtać zaczynało, gdy znalazł się tuż przed Covent Garden. Mrok zniknął i rozświetlone lekką purpurą niebo wydrążyło się powoli w perłową konchę. Duże wozy, naładowane drżącymi w chłodzie liliami, powoli toczyły się po gładkiej, pustej ulicy. Powietrze było ciężkie od woni kwiatów, a piękność ich zdawała się nieść balsam jego cierpieniu. Poszedł za wozem aż do rynku i przyglądał się, jak wypakowywano rozmaite towary. Jeden z handlarzy w białej kapocie podał mu świeże wiśnie. Podziękował, dziwiąc się, czemu handlarz nie chce przyjąć zapłaty. Mechanicznie zaczął jeść. Wiśnie zerwane o północy miały w sobie chłód księżycowego światła. Długi szereg chłopców, niosących w koszach nakrapiane tulipany, żółte i paśowe róże, przeciągał przed jego oczami, przeciskając się wśród dużych bladezielonych stosów jarzyn. Wzdłuż hali o szarych, od słońca spłowiałych filarach wałęsały się gromady brudnych, bosych dziewcząt, czekając końca licytacji. Inne toczyły się na Piazza przed drzwiami kawiarenki, ciągle otwierającymi się i zamykającymi. Ciężkie konie pociągowe potykały się i dzwoniły podkownikami o nierówny bruk, potrząsały dzwoneczkami i uprzężą. Kilku furmanów spało na stosie worów. Gołębie o irysowych szybkach i różowych nóżkach biegały tu i ówdzie, dziobiąc rozrzucone ziarna.

Po jakimś czasie przywołał dorożkę i pojechał do domu. Przez parę chwil stał na schodach, patrząc na cichy plac o pustych, pozamykanych oknach i pstrych storach. Niebo miało teraz barwę czystego opalu, a dachy domów lśniły jak srebro. Naprzeciwko wzbijała się z komina cienka smuga dymu. Niby fioletowa wstęga wiła się w mlecznoperłowym powietrzu.

W dużej pozłacanej, zagrabionej niegdyś z gondoli dożów weneckiej lampie, zwisającej ze stropu obszernego wyłożonego dębową boazerią wejściowego hallu, migotały jeszcze trzy

dogasające płomyki; wyglądały jak błękitne płatki ognia, obrzeżone białym żarem. Zgasił je, rzucił na stół kapelusz i płaszcz, wszedł do biblioteki i skierował się ku drzwiom sypialni, dużej, ośmiokątnej komnaty, którą, czyniąc zadość świeżo rozbudzonemu zamiłowaniu do zbytku, niedawno był urządził na nowo, przyozdabiając ściany rzadkimi gobelinami z epoki Renesansu, odkrytymi na nie zamieszkanym poddaszu w Selby Royal. Właśnie ujął za klamkę, gdy wzrok jego mimo woli padł na portret malowany przez Bazylego Hallwarda. Cofnął się zdumiony. Potem wszedł do swego pokoju; wyglądał z lekka zdziwiony. Wyjął z butonierki kwiat i znów się zawahał. Ostatecznie wrócił, stanął przed obrazem i jął mu się badawczo przypatrywać. W słabym świetle wpadającym do pokoju przez jedwabne kremowe rolety twarz na obrazie wydawała się nieco zmieniona. Inny miała wyraz. W ustach czało się jakby lekkie okrucieństwo. Dziwne.

Odwrócił się, podszedł do okna i podniósł rolety. Do pokoju wpłynęła jasna fala porannego światła, zapędzając fantastyczne cienie w ciemne kąty, gdzie przycupnęły strwożone. Ale dziwny wyraz, który wpieryw zauważył był na portrecie, nie tylko pozostał, ale nawet zarysował się ostrzej. Migocące jaskrawe słoneczne światło ukazało mu linie okrucieństwa koło ust z taką brutalną wyrazistością, jak gdyby po popełnieniu jakiegoś okropnego czynu przeglądał się w zwierciadle.

Zadrżał. Wziął ze stołu owalne zwierciadło, podtrzymywane przez rzeźbione z kości słoniowej kupidyńki — jeden z licznych darów lorda Henryka — i spojrzął szybko w jego gładkie głębie. Pąsowych jego ust nie skaziła taka linia. Co to ma znaczyć?

Przetarł oczy, stanął tuż przed obrazem i znów się zaczął weń wpatrywać. Techniczna strona nie wykazywała żadnych oznak zmiany, a jednak cały wyraz zmieniony był niewątpliwie. Nie mogło być mowy o złudzeniu. Zmiana była straszliwie widoczna.

Padł na krzesło i począł rozmyślać. Nagle jak błyskawica przemknęły mu przez myśl słowa, które wypowiedział był w pracowni Bazylego Hallwarda w dniu wykończenia obrazu. Tak, przypomniał sobie dokładnie. Wyraził szalone życzenie, aby sam zachował młodość, a obraz natomiast się zestarzał, aby piękność jego nie zwiędła, a twarz na płótnie nosiła ślady jego namiętności i grzechów, aby na portrecie zarysowały się linie wyryte myślą i cierpieniem, on sam zaś zachował delikatny puszek i piękność dopiero co uświadomionej młodości. Czyżby się oto ziściło jego życzenie? Przecież to niemożliwe. Sama myśl o tym przejmowała go trwogą. A jednak obraz wisi przed jego oczami z wyrazem okrucieństwa na ustach.

Okrucieństwo! Czy był okrutny? Wina to była dziewczyny, nie jego. Marzył o niej jako o wielkiej artystce, oddał jej swą miłość, ponieważ uważał ją za wielką artystkę. Rozczarowała go. Okazała się płytka i niegodna. A jednak zdejmował go żal bezmierny na myśl, jak leżała u jego stóp, łkając niczym małe dziecko. Przypomniał sobie, z jaką obojętnością się jej przyglądał. Czemu miał taką naturę? Czemu dana mu była taka dusza? Ale on też cierpiał. W ciągu tych trzech strasznych godzin trwania przedstawienia w teatrze, przeżył wieki cierpienia i nieustających męczarni. Jego życie tyleż było warte co jej, ona mu zepsuła chwilę, on ją może zranił na całe życie. Przy tym kobiety łatwiej znoszą cierpienia — mężczyźni żyją uczuciami. Myślą wyłącznie o swych uczuciach. Jeśli biorą kochankę, to po to tylko, aby mieć kogoś, komu mogą robić sceny. To mu powiedział lord Henryk, a lord Henryk zna kobiety. Czemuż ma się dręczyć z powodu Sybili Vane? Dla niego jest już teraz niczym.

Ale portret? Co na to powiedzieć? Portret ten posiada tajemnicę jego życia i zdradza jego dzieje. Portret nauczył go kochać własną piękność. Czy teraz chce go nauczyć nienawidzić własnej duszy? Czy kiedykolwiek spojrzy jeszcze na ten portret?

Nie, to tylko złudzenie wzburzonych zmysłów. Straszna noc, którą przeżył, pozostawiła po sobie upiorne cienie. W jego mózgu pojawiła się nagle owa mała szkarłatna plama,

przyprawiająca ludzi o obłąd. Portret nie był zmieniony. Głupstwem było przypuszczać coś podobnego.

A jednak portret patrzy na niego piękną skażoną twarzą z okrutnym uśmiechem. Jasne włosy błyszczą w rannych promieniach słońca. Błękitne oczy spotykają się z jego spojrzeniem. Zdjęło go uczucie niewymownej litości nie nad sobą, lecz nad swym namalowanym wizerunkiem. Był już zmieniony, a większej jeszcze ulegnie zmianie. Złoto jego spłowieje w szarość. Jego białe i paśowe róże zwiędną. Za każdy grzech przezeń popełniony plama skazi i zmąci piękność portretu. Ale Dorian nie będzie grzeszył. Portret, zmieniony czy niezmieniony, będzie dla niego widowym znakiem sumienia. Oprze się pokusie. Przestanie się widywać z lordem Henrykiem, a przynajmniej nie będzie słucał owych wyrafinowanych szkodliwych teorii, które wówczas w ogrodzie Bazylego Hallwarda po raz pierwszy wzniciły w nim pragnienie rzeczy niemożliwych. Wróci do Sybili Vane, naprawi wszystko, ożeni się z nią i postara pokochać ją na nowo. Tak, to jego obowiązek. Ona musiała więcej cierpieć niż on. Biedne dziecko. Postąpił z nią samolubnie i okrutnie. Czar, który na niego wywierała, powróci. Będą z sobą szczęśliwi. U jej boku życie stanie się piękne i czyste.

Wstał z krzesła i zasłonił obraz dużym parawanem. Dreszcz go przebiegł, gdy spojrzął na płótno. — To straszne — szepnął do siebie. Podeszedł ku oszklonym drzwiom i otworzył je szeroko. Wyszedł na trawnik i głęboko zaczerpnął powietrza. Świeży wiew poranka zdawał się płoszyć wszystkie jego posępne namiętności. Myślał już tylko o Sybili. Ozwało się w nim słabe echo jego miłości ku niej. Raz po raz szeptem powtarzał jej imię. Zdawało mu się, że ptaki śpiewające w uperlonym rosą ogrodzie o niej opowiadają kwiatom.

## VIII

Było już po południu, gdy się zbudził. Służący kilka razy wchodził na palcach popatrzeć, czy się nie porusza, i dziwił się, czemu jego miody pan śpi tak długo. Wreszcie rozległ się dzwonek i Wiktor wszedł cicho z filiżanką herbaty i stosem listów na tacce ze starej sewskiej porcelany. Rozsunął bladooliwkowe jedwabne zasłony o jasnożółtej podszewce, przesłaniające trzy duże okna.

— Doskonale jaśnie pan dziś spał — rzekł z uśmiechem.

— Która to godzina, Wiktorze? — spytał rozespany Dorian.

— Kwadrans po pierwszej, jaśnie panie.

Tak późno! Usiadł, wypił trochę herbaty i przeglądał listy. Jeden był od lorda Henryka, przyniesiono go rano. Chwilę się wahał, potem odłożył list nie otworzywszy go. Inne przeglądał nieuważnie. Było, jak zwykle, mnóstwo bilecików, zaproszeń na obiady, programów dobroczynnych koncertów, jakimi w czasie sezonu bywa codziennie zasypywana cała elegancka młodzież. Nadszedł też dość słony rachunek za srebrne rzeźbione przybory na toaletę z epoki Ludwika XV. Nie miał dotąd odwagi zaprezentować go swym opiekunom, gdyż byli to ludzie o przestarzałych pojęciach, nie mogący zrozumieć, że w naszych czasach niezbędnymi są tylko rzeczy zbędne. Prócz tego nadeszło jeszcze sporo bardzo uprzejmych propozycji od lichwiarzy z Jermyn Street, gotowych każdej chwili służyć żadaną sumą na umiarkowany procent.

W dziesięć minut później wstał, zarzucił kosztowny szlafrok z przetykanej jedwabiem kaszmirskiej wełny i przeszedł do łazienki wyłożonej onyksem. Chłodna woda orzeźwiła go po długim śnie. Zdawał się najzupełniej nie pamiętać o tym, co zaszło. Raz czy dwa razy ogarniało go niejasne uczucie, że odegrał rolę w jakiejś dziwnej tragedii; miało to jednak złudne pozory snu.

Ukończywszy toaletę przeszedł do 'biblioteki i zasiadł do lekkiego francuskiego śniadania ustawionego na okrągłym stoliku przy otwartym oknie. Dzień był cudowny. Ciepłe powietrze przesyciła upojna woń kwiatów. Do pokoju wleciała pszczoła i brzęcząc okrążała stojącą przed nim wazę z błękitnym smokiem, pełną bladożółtych róż. Czuł się całkiem szczęśliwy.

Nagle wzrok jego padł na parawan, którym zasłonił był obraz. Zadrżał.

— Jaśnie panu zimno? — spytał służący stawiając na stoliku omlet. — Czy zamknąć może okno?

Dorian potrząsnął głową.

— Nie jest mi zimno — mruknął.

Czy to możliwe? Czy portret zmienił się istotnie? Czy tylko jego własna fantazja kazała mu dostrzec złowrogi wyraz tam, gdzie widniał wyraz radości? Wszak pomalowane płótno nie mogło ulec zmianie. Idiotyzm. Musi kiedyś całą tę historię opowiedzieć Bazylemu. Rozśmieszy go tym.

A jednak jak wyraźnie pamięta każdy szczegół. Najpierw w półmroku, później w jasnym świetle wschodzącego słońca widział ten okrutny wyraz skrzywionych ust. Prawie się lękał chwili, gdy służący wyjdzie z pokoju. Czuł, że skoro tylko zostanie sam, będzie musiał znów spojrzeć na obraz. Bał się pewności. Gdy po podaniu kawy i papierosów służący zabierał się do odejścia, Doriana zdjęło dzikie pragnienie zatrzymania go w pokoju. Ledwie się drzwi zamknęły, przywołał go na powrót. Służący stanął w drzwiach, czekając rozkazu. Dorian spojrział nań.

— Nie ma mnie w domu dla nikogo — rzekł z westchnieniem.

Służący skłonił się i wyszedł.

Dorian wstał — od stołu, zapalił papierosa i rzucił się na kanapę z kosztownymi poduszkami,

stojącą naprzeciw parawanu. Był to stary parawan z wyłacanej skóry hiszpańskiej wytłaczanej w bogaty deseń w stylu Ludwika XIV. Dorian przyglądał mu się z ciekawością, rozmyślając, czy też już kiedyś ukrywał tajemnicę ludzkiego życia?

Czy go ma odsunąć? A czemu go nie pozostawić tam, gdzie stoi? Po co wiedzieć na pewno? Jeśli to prawda, to okropne! Jeśli nieprawda, po co się niepokoić? Ale jeśli zrządzenie losu lub okrutny przypadek sprawią, że obce oczy zajrzą za parawan i zobaczą straszną zmianę — co wtedy? A co pocnie, jeśli Bazyli Hallward przyjdzie do niego i zechce obejrzyć obraz? Bazyli uczyni to z pewnością. Nie, musi rzecz zbadać natychmiast. Wszystko będzie lepsze niż ten straszny stan niepewności!

Wstał i zamknął na klucz oboje drzwi. Chciał przynajmniej być sam przy oglądaniu maski swej hańby. Usunął parawan i stanął naprzeciw obrazu. Prawda. Portret się zmienił.

Często i z niemałym zdumieniem przypominał sobie później, że z początku przyglądał się obrazowi niemal z ciekawością badacza. Że zmiana taka się dokonała, wydawało mu się nieprawdopodobieństwem. A jednak to był fakt niezbity. Czyżby istniało tajemne jakieś powinowactwo pomiędzy chemicznymi atomami, co w kształt i barwę połączyły się na płótnie, a przebywającą w nim duszą? Czyż to możliwe, aby one nadawały widomy kształt temu, co myślała dusza? Urzeczywistniały to, o czym dusza marzyła? Albo czy istnieje może powód inny, straszniejszy? Dreszcz go przebiegł, uczył lęk. Wrócił na posłanie, położył się i z chorobliwym przerażeniem wpatrywał się w obraz.

A jednak czuł, że portret zrobił coś dla niego. Uświadomił mu, jak niesprawiedliwie, jak okrutnie postąpił z Sybilą Vane. Ale czas jeszcze wszystko naprawić. Mimo wszystko zostanie jego żoną. Jego miłość samolubna i sztuczna ustąpi porywom wyższemu, przeobrazą się w uczucie szlachetniejsze, a ten portret malowany przez Bazylego Hallwarda będzie dlań tym, czym dla jednego, jest świętość, dla drugiego sumienie, a dla wszystkich bojaźń Boga. Istnieją rozmaite narkotyki usypiające sumienie, a także trucizny stępiające poczucie moralne. Ale tu był widomy symbol poniżenia przez grzech. Tu był stale obecny znak ruiny, do której ludzie doprowadzają swoje dusze.

Wybiła godzina trzecia i czwarta, zegar wydzwonił jeszcze dwa kwadransy, a Dorian Gray nie poruszył się z miejsca. Usiłował pochwycić szkarłatne nici życia i utkać z nich deseń, znaleźć drogę w krwawym labiryncie namiętności, w który się zapuścił. Nie wiedział, co czynić lub myśleć. Wreszcie siadł przy stole i napisał namiętny list do dziewczyny, którą był kochał, błagał, by mu przebaczyła, oskarżał siebie o szaleństwo. Jedną stronicę po drugiej zapisywał słowami dzikiego żalu i jeszcze dzikszego bólu. Istnieje przecież rozkosz w samooskarżeniu. Ganiać siebie samych czujemy, że nikt już do tego nie ma prawa. Spowiedź, nie kapłan, daje nam rozgrzeszenie. Po ukończeniu listu Dorian uczył, że uzyskał przebaczenie.

Nagle zapukano do drzwi i z przedpokoju dał się słyszeć głos lorda Henryka:

— Mój drogi chłopcze, muszę z tobą pomówić. Otwórz mi. Nie wolno ci się tak zamykać.

Nie odpowiedział zaraz i zachowywał się całkiem cicho. Pukanie powtórzyło się, mocniejsze niż za pierwszym razem. Tak, najlepiej będzie zobaczyć się z lordem Henrykiem i wyłuszczyć mu, że zamierza rozpocząć nowe życie, posprzeczać się z nim w razie potrzeby, ostatecznie rozstać się, jeśli to będzie nieodzowne. Zerwał się, zasłonił obraz parawanem i otworzył drzwi.

— Tak mi strasznie przykro, Dorianie, z powodu tej całej historii — rzekł lord Henryk wchodząc. — Ale tobie nie wolno zbytnio nad tym rozmyślać.

— Mówisz o Sybili Vane? — spytał Dorian.

— Oczywiście — odparł lord Henryk, padając na krzesło i powoli ściągając z rąk żółte rękawiczki. — Straszne to poniekąd, ale tyś temu nie winien. Powiedz, czy byłeś jeszcze za kulisami i mówiłeś z nią po przedstawieniu?



— Tak.

— Wiedziałem, żeś tam poszedł. Zrobiłeś jej scenę?

— Byłem brutalny. Ale teraz wszystko już dobrze. Niczego nie żałuję. Nauczyłem się lepiej znać samego siebie.

— Ach, Dorianie, cieszy mnie, że tak się na to zapatrujesz. Obawiałem się, że zastanę cię kajającego się w skrusze i wichrzącego swe piękne pukle.

— To wszystko już poza mną — z uśmiechem odparł Dorian, potrząsając głową. — Teraz jestem całkiem szczęśliwy. Wiem przede wszystkim, co to sumienie. Nie jest tym, co ty mówiłeś. Ono jest pierwiastkiem najbardziej boskim. Nie wyśmiewaj się z tego, Harry, przynajmniej nie w mojej obecności. Ja chcę się stać dobry. Nie mogę znieść myśli, że dusza moja jest brzydka.

— Wspaniała podstawa artystyczna dla etyki, Dorianie. Winszuję ci. Od czego zamierzasz rozpocząć?

— Od ożenienia się z Sybilą Vane.

— Od ożenienia się z Sybilą Vane? — wykrzyknął lord Henryk, zrywając się z krzesła i patrząc na niego z przerażeniem. — Ależ, mój drogi Dorianie...

— Tak, Harry, wiem, co chcesz powiedzieć. Coś szkaradnego o małżeństwie. Nie mów mi więcej podobnych rzeczy. Przed dwoma dniami prosiłem Sybilę Vane, aby została moją żoną! Nie złamię danego jej słowa. Będzie moją żoną!

— Twoją żoną, Dorianie! Czy nie otrzymałeś mego listu? Pisałem ci dziś rano i przesałem list przez mego służącego.

— Twój list? O tak, przypominam sobie. Nie czytałem go, Harry. Bałem się, że będzie w nim może coś, co by mi się nie podobało. Szarpiesz życie na strzępy swymi epigramami.

— Nic zatem nie wiesz?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Lord Henryk przeszedł przez pokój, usiadł obok Dorianą, ujął jego obydwie ręce i mocno uściśnął.

— Dorianie — rzekł — mój list... nie przerażaj się... miał ci powiedzieć, że Sybila Vane nie żyje.

Krzyk bólu wyrwał się z ust młodego człowieka. Zerwał się i wyrwał ręce z uścisku lorda Henryka.

— Nie żyje? Sybila nie żyje? To nieprawda. To kłamstwo okropne! Jak śmiesz mówić coś takiego!

— To prawda, Dorianie — poważnie rzekł lord Henryk. — Donoszą o tym wszystkie dzienniki poranne. Pisałem ci, abyś nie widział się z nikim, dopóki ja nie przyjdę. Oczywiście, odbędzie się śledztwo i nie można dopuścić, abyś ty został w nie wplątany. Takie rzeczy w Paryżu robią człowieka modnym. Ale w Londynie ludzie są tak pełni przesądów. Tu nie należy nigdy debiutować skandalem. Należy go zachować na starość, aby się stać dzięki niemu interesującym. Sądzę, że w teatrze nie znają twego nazwiska. Jeśli nie, to wszystko dobrze. Czy cię kto widział, gdy wchodziłeś do jej pokoju? To bardzo ważne.

Dorian przez kilka minut nie odpowiadał mu wcale. Był zdrętwiały z przerażenia. Wreszcie zdławionym głosem wyjąkał:

— Harry... śledztwo, powiadasz? Co to ma znaczyć? Czy Sybila?... O, Harry, ja tego nie zniosę. Powiedz wszystko od razu, ale zwięźle.

— Dorianie, jestem pewny, że tu nie chodzi o nieszczęśliwy wypadek, chociaż w ten sposób musi się sprawę przedstawić publiczności. Zdaje się, że około pół do pierwszej wyszła z matką z teatru. Natychmiast jednak wróciła na górę, twierdząc, że czegoś zapomniała. Chwilę na nią czekano, ale już nie wróciła. Ostatecznie znaleziono ją martwą na podłodze w garderobie. Przez

pomyłkę napiła się jakiegoś okropnego płynu, którego używają do czegoś w teatrze. Nie wiem, co to było, ale prawdopodobnie płyn zawierał w sobie kwas pruski albo octan ołowiu. Sądzę, że kwas pruski, skoro zaraz umarła.

— Harry, Harry, to straszne! — wykrzyknął Dorian.

— Tak, bez wątpienia wypadek tragiczny, ale nie można dopuścić, aby ciebie w to wplątano. „Standard” pisze, że miała dopiero siedemnaście lat. Mnie wydawała się jeszcze młodsza. Wyglądała na dziecko, a tak mało rozumiała się na grze. Dorianie, nie wolno ci brać tego tak bardzo do serca. Chodź ze mną na obiad, a potem pójdziemy do opery. Patti dziś występuje i wszyscy idą. Możesz pójść do loży mej siostry. Będzie z nią kilka eleganckich dam.

— Więc zamordowałem Sybilę Vane — na wpół do siebie powiedział Dorian Gray — zamordowałem ją tak niewątpliwie, jakbym nożem poderżnął był jej delikatną szyjkę. Ale róże kwitną dalej, kwitną tak samo pięknie jak przedtem. I ptaki tak samo wesoło śpiewają w moim ogrodzie. A dziś wieczorem mam z tobą być na obiedzie, a potem pójść do opery, wreszcie iść gdzieś na kolację. Jakie życie jest dramatyczne! Harry, gdybym to wszystko wyczytał w jakiejś książce, zdaje mi się, że byłbym nad nią płakał. Teraz, gdy wszystko to zdarzyło się rzeczywiście, i to ze mną, wydaje mi się zbyt fantastyczne, by wywoływać łzy. Oto pierwszy namiętny list miłosny, który w życiu swym napisałem. Jakie to dziwne, że pierwszy mój list miłosny pisany jest do dziewczyny umarłej. Chciałbym wiedzieć, czy oni coś czują, ci biali, milczący ludzie, których nazywamy umarłymi? Sybila! Czy ona może czuć, wiedzieć i słyszeć? O, Harry, jakże ja ją kochałem! Zdaje mi się, że lata już upłynęły od tego czasu. Była mi wszystkim. A potem przyszedł ten straszny wieczór — czy to istotnie było dopiero wczoraj? — kiedy tak źle grała, że omal mi serce nie pękło. Wyjaśniła mi wszystko. Było to rozpaczliwie żalosne. Ale mnie nie wzruszyło. Uważałem ją za płytką. Później stało się nagle coś, co mnie wprawiło w przerażenie. Nie mogę ci powiedzieć, co to było, ale było straszne. Powiedziałem sobie, że wrócę do niej. Czułem, że postąpiłem niesłusznie. A teraz ona nie żyje. Boże mój, Boże! Harry, co ja mam robić? Ty nie znasz niebezpieczeństwa, jakie mi zagraża, a żadnej przed nim nie ma ucieczki. Przy niej byłbym znalazł ocalenie. Ona nie miała prawa się zabijać. To było z jej strony egoizmem.

— Mój drogi Dodanie — odparł lord Henryk, sięgając po papierosa do papierośnicy i wyjmując zapalną z pudełka ze złoczonej miedzi — kobieta w ten tylko sposób może mężczyznę zmienić, że go potąd dręczy, aż całe życie stanie mu się obojętne. Gdybyś się był z tą dziewczyną ożenił, byłbyś nieszczęśliwy. Naturalnie, że byłbyś dla niej uprzejmy. Zawsze możemy być uprzejmi dla tych, co nas nie obchodzą. Ale ona aż nazbyt szybko byłaby zrozumiała, że jest ci absolutnie obojętne. A skoro kobieta dostrzeże coś takiego w swoim mężu, zaczyna się obrzydliwie zaniedbywać lub nosi eleganckie kapelusze, za które musi płacić mąż jednej z jej przyjaciółek. Wcale już nie chcę mówić o mezaliansie towarzyskim, który byłby wprost okropny i do którego nie byłbym oczywiście dopuścił, ale zapewniam cię, w każdym wypadku byłoby to coś całkowicie nieudanego.

— I ja zaczynam tak przypuszczać — wyszeptał Dorian, chodząc po pokoju tam i z powrotem. Był strasznie blady. — Ale uważałem to za swój obowiązek. Nie moja wina, że ta straszna tragedia uniemożliwiła mi postąpić tak, jak należało. Przypominam sobie, co raz powiedziałeś, że nad wszystkimi dobrymi postanowieniami unosi się jakieś fatum: wszystkie bez wyjątku zbyt późno bywają powzięte. Ja swoje powzięłem istotnie za późno.

— Dobre postanowienia to bezużyteczne próby przeciwstawienia się prawom nauki. Źródłem ich jest czysta próżność, a rezultat absolutnie żaden. Od czasu do czasu dostarczają nam owych rozkosznych nieproduktywnych wzruszeń, posiadających pewien urok dla ludzi słabych. Oto

wszystko, co się o nich da powiedzieć. Są to czeki wystawione do banku, w którym nie mamy konta.

— Harry — rzekł Dorian, podchodząc i siadając obok niego — jak to wytłumaczyć, że tragedii tej nie odczuwam tak mocno, jak bym chciał? Zdaje mi się, że nie jestem przecież człowiekiem bez serca. Czy może nim jestem?

— Dorianie — odparł lord Henryk ze swym łagodnym melancholijnym uśmiechem — zbyt wiele popełniłeś głupstw w ostatnich dwóch tygodniach, aby mieć prawo do tego tytułu.

Dorian Gray zmarszczył czoło.

— Harry, nie podoba mi się to wyjaśnienie, ale jestem zadowolony, że mnie nie uważasz za egoistę. Bo też nim nie jestem. Wiem o tym. A jednak przyznać muszę, że wypadku tego nie odczuwam tak, jak bym powinien. Robi on na mnie raczej wrażenie pięknego zakończenia pięknej sztuki. Ma w sobie całą grozę pięknej greckiej tragedii, w której gram wybitną rolę, ale z której wychodzę nietknięty.

— Interesujący problem — rzekł lord Henryk z wyrafinowaną przyjemnością, grając na nieświadomym egotyzmie chłopca — nadzwyczaj interesujący problem. Sądzę, że właściwe wyjaśnienie będzie takie: często się zdarza, że prawdziwe tragedie życiowe mają przebieg tak niezgodny z regułami sztuki, że ranią nas swą brutalną siłą, absurdem, całkowitym brakiem stylu. Działają na nas tak, jak działa prostactwo. Wywołują wrażenie nagłej brutalnej siły, więc buntujemy się. Czasem jednak zdarza się w życiu naszym tragedia, posiadająca pierwiastki artystycznego piękna. Jeśli te pierwiastki są prawdziwe, to całość działa po prostu na nasze wyczucie dramatycznych efektów. Odkrywamy nagle, że nie jesteśmy aktorami, lecz widzami. A raczej jednym i drugim. Obserwujemy siebie samych i ulegamy czarowi niezwykle widowiska. Co na przykład stało się w danym wypadku? Ktoś się zabił z miłości dla ciebie. Żałuję, że nie przeżyłem czegoś podobnego. Byłbym się do końca życia kochał w miłości. Ludzie, którzy mnie ubóstwiali — nie było ich wielu, ale było kilku — zawsze pozostawali uporczywie przy życiu, choć wiele lat minęło od czasu, kiedy się o nich przestałem troszczyć, tak samo jak oni o mnie. Utyli i stali się nudni, a ile razy ich spotykam, natychmiast zaczynają grzebać we wspomnieniach. Ta przerażająca pamięć kobiet to coś strasznego. A jakiego to zastoju duchowego dowodzi. Należy wchłaniać barwę życia, ale nigdy nie przypominać sobie szczegółów. Szczegóły są zawsze trywialne.

— Muszę zasiać mak w moim ogrodzie — westchnął Dorian.

— To zbyt cenne — odparł lord Henryk. — Życie samo nosi w dłoniach swych makówki. Oczywiście, czasem rzeczy się dłużą. Ja raz przez cały sezon nosiłem wciąż fiołki. Był to rodzaj artystycznej żałoby z powodu romansu, który nie chciał umrzeć. Ostatecznie jednak umarł. Nie wiem już, co go zabiło. Zdaje mi się, że jej propozycja poświęcenia dla mnie całego świata. Podobna chwila jest zawsze straszna. Przejmuje człowieka grozą wieczności. Oto, czy uwierzysz, przed tygodniem siedzę u lady Hampshire obok tejże damy, a ona koniecznie obstaje przy powtórzeniu całej historii, odkopaniu przeszłości i urządzeniu przyszłości. Złożyłem romans swój w grobie ze złotogłowi. Ona go wyrwała stamtąd, zapewniając, że jej złamałem życie. Nawiasem konstatuję, że jadła z wielkim apetytem, nie czułem przeto trwogi. Ale jakże mało okazała dobrego smaku. Jedynym czarem przeszłości jest to, że minęła. Ale kobiety nigdy nie wiedzą, kiedy spada kurtyna. Zawsze żądają aktu szóstego i właśnie wtedy, kiedy ustaje wszelkie zainteresowanie dla sztuki, żądają ciągu dalszego. Gdybyśmy ulegali ich woli, każda komedia miałaby zakończenie tragiczne, a punktem kulminacyjnym każdej tragedii byłaby farsa. Umieją być uroczo sztuczne, ale nie mają zupełnie wyczucia sztuki. Ty masz więcej szczęścia ode mnie. Zapewniam cię, Dorianie, że ani jedna z kobiet, które znałem, nie byłaby dla mnie uczyniła tego, co Sybila Vane uczyniła dla ciebie. Zwykła kobieta zawsze się pocieszy. Niektóre z nich

pomagają sobie w tym celu sentymentalnymi kolorami. Nigdy nie ufaj kobiecie noszącej bladoliliowe suknie bez względu na to, ile by nie miała lat, ani też takiej, co po skończeniu lat trzydziestu pięciu kocha się w różowych wstążkach. Oznacza to zawsze, że mają przeszłość. Inne pocieszają się, odkrywając nagle piękne przymioty własnych mężów. Chełpią się przed wszystkimi swym szczęściem małżeńskim, jakby ono było najbardziej interesującym z grzechów. Jeszcze inne znajdują pociechę w religii. „Wszystkie jej misteria mają urok kokieterii”, powiedziała mi raz jedna kobieta, a ja to doskonale pojmuję. Nic zresztą nie potęguje tak bardzo naszej próżności, jak wmawianie w nas, że jesteśmy grzesznikami. Sumienie czyni nas wszystkich egoistami. Tak, liczba pociech nastęrczających się kobiecie w życiu dzisiejszym jest nieskończona. Najważniejszej pociechy nawet nie wymieniłem.

— A jakaż to będzie, Harry? — obojętnie spytał Dorian.

— O, najbardziej oczywista. Odbija się wielbiciela innej, gdy się utraciło swego. W dobrym towarzystwie jest to dla kobiety rehabilitacją. Ale naprawdę, Dorianie, Sybila Vane musiała być inna niż kobiety, które zwykle spotykamy. Jej śmierć ma dla mnie w sobie coś prawdziwie pięknego. Jestem szczęśliwy, że żyję w epoce, w której dzieją się takie cuda. Pozwalają człowiekowi wierzyć w rzeczywistość tych rzeczy, którymi się wszyscy bawimy: w romantyzm, namiętność i miłość.

— Byłem dla niej strasznie okrutny. Zapominasz o tym.

— Obawiam się, że kobiety cenią okrucieństwo, po prostu okrucieństwo, wyżej nad wszystko inne. Mają wspaniałe pierwotne instynkty. Myśmy wyemancypowali kobiety, ale mimo to (v pozostały niewolnicami wyczekującymi swego pana. Lubią, kiedy się nimi rządzi. Jestem pewny, że byłeś świetny. Nigdy cię nie widziałem w uniesieniu gniewu, ale mogę sobie wyobrazić, jak pięknie wyglądałeś. Wreszcie powiedziałeś przedwczoraj coś, co mi się wówczas wydało fantazją, teraz jednak widzę, że to była prawda, będąca też kluczem tej tajemnicy.

— Co ja powiedziałem, Harry?

— Powiedziałeś mi, że Sybila Vane jest dla ciebie ucieleśnieniem wszystkich bohaterek poezji — dziś jest Desdemoną, a jutro Ofelią, jeśli umiera jako Julia, zmartwychwstaje jako Imogena.

— Teraz już nie zmartwychwstanie — wyszeptał młody człowiek, zakrywając dłońmi twarz.

— Nie, już nie zmartwychwstanie. Odegrała ostatnią swą rolę. Ale ty myśl o tej samotnej śmierci w jaskrawej garderobie niby o jakimś dziwnie ponurym fragmencie tragedii z epoki Jakuba, cudownej scenie z Webstera, Forda czy też Cyryla Tourneura. Dziewczyna ta nigdy nie żyła rzeczywistością, dlatego też nigdy w rzeczywistości nie umarła. Dla ciebie przynajmniej zawsze była marzeniem, zjawiskiem przesuwającym się przez sztuki Szekspira i potęgującym ich czar swą obecnością, była instrumentem, czyniącym muzykę słów Szekspira pełniejszą i radośniejszą. Z chwilą gdy się zetknęła z rzeczywistym życiem, zepsuła je, a życie ją zepsuło i unicestwiło. Płacz po Ofelii, jeśli chcesz. Posyp głowę popiołem, że zaduszono Kordelię. Błujnij niebu, bo zmarła córka Brabancja. Ale nie trwoń swych łez dla Sybili Vane. Była mniej rzeczywista od tamtych.

Nastąpiło milczenie. Wieczór wypełniał mrokiem pokój. Bezszelestnie, na srebrnych stopach wślizgiwały się cienie z ogrodu. Barwy przedmiotów bladły.

Po chwili Dorian Gray podniósł oczy.

— Harry, wyjaśniłeś mi moje własne uczucia — szepnął z westchnieniem ulgi. — Wszystko to czułem, co ty powiedziałeś, ale bałem się tego i nie umiałem wyrazić tych uczuć. Jak ty mnie dobrze znasz! Ale nie mówmy już o tym, co się stało. Było to wspaniałe przeżycie. Nic więcej. Chciałbym wiedzieć, czy też los przygotowuje jeszcze dla mnie na przyszłość coś równie wspaniałego.

— Dorianie, dla ciebie życie przygotowuje na przyszłość wszystko. Jesteś tak piękny, że nie ma na świecie rzeczy, której nie mógłbyś dokonać.

— Ale gdybym się zestarzał i wysechł, i miał twarz pełną zmarszczek? Co wtedy, Harry?

— O, wtedy — rzekł lord Henryk, wstając i zabierając się do odejścia — wtedy, mój drogi Dorianie, musiałbyś walczyć o swe zwycięstwa. Teraz przychodzą nieproszone. Ale nie, ty musisz zachować swą piękność. Żyjemy w epoce, w której zbyt wiele się czyta, by móc być mądrym, i zbyt wiele myśli, by móc być pięknym. Nie możemy się bez ciebie obejść. Ale teraz, sądzę, musisz się przebrać i jechać do klubu. I tak się już trochę spóźnimy.

— Harry, najlepiej będzie, jeśli się spotkamy w operze. Jestem zbyt znużony, abym mógł jeść. Jaki jest numer łoża twojej siostry?

— Zdaje mi się, że dwudziesty siódmy. Pierwszy rząd łóż. Na drzwiach zobaczysz zresztą jej nazwisko. Ale przykro mi, że nie będziesz mi towarzyszył przy obiedzie.

— Nie czuję się na siłach — z roztargnieniem odparł Dorian. — Ale jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko, co mi powiedziałaś. Jesteś niewątpliwie moim najlepszym przyjacielem. Nigdy mnie nikt nie rozumiał tak dobrze jak ty.

— To dopiero początek naszej przyjaźni, Dorianie — odparł lord Henryk, ściskając mu rękę. — Do widzenia. Wszak zobaczymy się przed wpół do dziesiątej? Patti śpiewa, nie zapomnij!

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Dorian zadzwonił na Wiktora, który wniósł lampy i spuścił rolety. Czekał niecierpliwie, by wyszedł. Zdawało mu się, że służący całą wieczność spełnia te drobne czynności.

Skoro tylko wyszedł, Dorian skoczył do parawanu i odsunął go. Nie, na portrecie nie było dalszej zmiany. Portret otrzymał wieść o śmierci Sybili Vane, zanim on sam się o tym dowiedział. Odczuwał wypadki życiowe w tej samej chwili, gdy się dokonywały. Straszny wyraz okrucieństwa, wykrzywający delikatne linie ust, zjawił się bez wątpienia w chwili, kiedy zażyła truciznę. Albo może portret pozostawał obojętnym wobec wypadków zewnętrznych? Może odzwierciedlał tylko to, co się działo w jego duszy? Popadł w zadumę. Spodziewał się, że pewnego dnia zmiana dokona się przed jego oczami, i drżał myśląc o tym.

Biedna Sybila! Cóż to była za romantyczna przygoda! Tyle razy grała śmierć na scenie. Teraz śmierć ją dosięgła i zabrała z sobą. Jak też odegrała tę ostatnią straszną scenę? Czy przeklinała go umierając? Nie, umarła przecież z miłości i teraz miłość będzie dla niego zawsze sakramentem. Ona odpokutowała za wszystko ofiarą swego życia. Nie chcę dłużej myśleć, ile przez nią wycierpieć musiał owego strasznego wieczora w teatrze. Jeśli do niej wróci myślą, to jako do cudownej postaci z tragedii, zesłanej na scenę życia celem ukazania przemożnej prawdy miłości. Cudowna postać z tragedii? Łzy mu napłynęły do oczu na wspomnienie jej dziecinnego wyglądu, jej swobodnego, uroczego sposobu bycia i trwożnego, zwiewnego wdzięku. Szybko otarł łzy i znów spojrzał na obraz.

Czuł, że nadchodzi czas dokonania wyboru. Czy go może już dokonał? Tak! Życie rozstrzygnęło za niego — życie i własna jego ciekawość życia. Wieczna młodość, bezkresna namiętność, najsubtelniejsze i tajemne rozkosze, dzikie radości i dzikie jeszcze grzechy — wszystko to będzie jego udziałem. Portret musi nosić ciężar jego hańby. Taki zapadł wyrok.

Ogarnęło go uczucie bólu na myśl o zbezczeszczeniu, jakiemu ulegnie piękne oblicze na płótnie. Raz w dziecinnym porywie, naśladowując ironicznie Narcyza, ucałował czy udawał, że całuje te malowane usta, śmiejące się doń teraz okrutnie. Co ranka siadał przed portretem, dziwiąc się jego piękności i jak mu się czasem wydawało — niemal w niej zakochany. Czy teraz portret ten będzie ulegał zmianie w miarę każdego nowego nastroju, któremu on się podda? Czy stanie się obrzydliwy i wstrętny, aż trzeba go będzie ukryć w zamknięciu, zasłonić przed

światłem słońca, które tylekroć dodawało jeszcze złota falującym puklom? Jaka szkoda! Jaka szkoda!

Przez chwilę miał ochotę modlić się o rozerwanie tego okropnego związku istniejącego między nim a obrazem. Zmiana dokonała się w odpowiedzi na jego modlitwę; może w odpowiedzi na nową modlitwę portret przestałby się zmieniać. Ale któż, choć trochę znający życie, wyrzekłby się nadziei zachowania wiecznej młodości, jakkolwiek by ta nadzieja była fantastyczna, a skutki fatalne? A zresztą — czyż to było w jego mocy? Czy istotnie modlitwa spowodowała ową substytucję? A może jednak istniała jakaś dziwna przyczyna naukowa? Jeśli myśl może wywierać wpływ na żywy organizm, czy nie mogłaby go też wywierać na rzeczy martwe, nieorganiczne? Czyż rzeczy leżące poza nami nie mogłyby niezależnie od naszej myśli i świadomej woli reagować zgodnie z naszymi nastrojami i namiętnościami, na mocy tajemnej siły przyciągania lub dziwnego powinowactwa atomów? Przyczyna tego zjawiska nie miała znaczenia. Nigdy już modlitwą nie będzie wyzywał mocy straszliwej. Jeśli obraz się zmienia, to niechże się zmienia. Po co się nad tym tyle zastanawiać.

Obserwowanie tej zmiany będzie dla niego prawdziwą rozkoszą. Nauczyć się śledzić swą duszę na jej tajemnych drogach. Portret będzie dla niego magicznym zwierciadłem. Tak jak mu objawił jego własne ciało, objawi mu też jego własną duszę. A kiedyś, gdy dla portretu nadejdzie zima, on będzie ciągle tkwił tam, gdzie wiosna drży u skraju lata. Gdy krew ucieknie z jego policzków, pozostawiając gipsową maskę o martwych, ołowianych oczach, on zachowa całą krasę młodości. Nie zwiędnie ani jeden kwiat jego piękności. Nie osłabnie tętno jego życia. Jak bogowie Grecji, pozostanie silnym, krzepkim i radosnym. Co go obchodzą losy martwego malowidła? On będzie bezpieczny. A o to przecież chodzi.

Znów zasłonił portret parawanem, uśmiechając się przy tej czynności. Następnie poszedł do sypialni, gdzie już czekał na niego służący. W godzinę później był w operze, a lord Henryk pochylał się nad jego krzesłem.

## IX

Nazajutrz rano, podczas śniadania, zameldowano mu Bazylego Hallwarda.

— Jakże się cieszę, Dorianie, że cię zastaję — rzekł poważnie. — Byłem tu wczoraj wieczór i powiedziano mi, że jesteś w operze. Wiedziałem oczywiście, że to niemożliwe. Ale przykro mi było, że nie powiedziałaś w domu, gdzie będziesz. Straszny spędziłem wieczór, lękając się niemal, aby jedna tragedia nie pociągnęła za sobą drugiej. Powinieneś być zadepeszować, gdy się o tym dowiedziałeś. Ja całkiem przypadkowo wyczytałem to w klubie, w wieczornym dodatku do pisma „Globe”, które mi wpadło w ręce. Zaraz przybiegłem tu i byłem wprost nieszczęśliwy, nie zastawszy cię w domu. Nie mogę ci nawet powiedzieć, jak strasznie sobie wziąłem do serca tę całą historię. Wiem, jak musisz cierpieć. Ale gdzie byłeś wczoraj? Z pewnością u jej matki. Przez chwilę miałem nawet zamiar pójść tam do ciebie. Adres znałem z gazety. Gdzieś na Euston, nieprawdaż? Nie chciałem się jednak narzucać, nie będąc w stanie ulżyć jej cierpieniu. Biedna matka! Co się z nią musi dziać. Straciła jedyne dziecko w dodatku. Jak ona to zniosła?

— Mój drogi Bazyli, cóż ja mogę wiedzieć? — mruknął Dorian Gray, wysączając bladeżółte wino z delikatnej złoczonej weneckiej szklaneczki. Miał minę człowieka w najwyższym stopniu znudzonego. — Byłem w operze. Powinieneś być tam przyjść. Poznałem siostrę Harry’ego. Byliśmy w jej łoży. Czarująca kobieta, a Patti śpiewała bosko. Nie mów o niemiłych rzeczach. Coś, o czym się nie mówi, nie istnieje. Tylko słowo, powiada Harry, nadaje rzeczom istnienie realne. Nie była zresztą jedynym dzieckiem tej kobiety. Jest jeszcze syn, piękny chłopiec zapewne. Ale on nie pracuje w teatrze. Marynarz, czy coś podobnego. A teraz opowiedz mi coś o sobie i o tym, co malujesz?

— Poszedłeś do opery? — rzekł Hallward bardzo powoli i z tłumionym bólem w głosie. — Poszedłeś do opery, kiedy Sybila Vane leżała martwa w jakimś nędznym mieszkaniu! Możesz mówić o czarujących kobietach i o boskim śpiewie Patti, zanim dziewczyna, którą kochałeś, zasnęła bodaj ciszy grobu? Człowieku, przecież drobne jej zwłoki ulegną całej okropności rozkładu!

— Przestań, Bazyli, nie chcę tego słuchać — krzyknął Dorian, zrywając się z krzesła. — Nie wolno ci o tym mówić. Co się stało, to się stało. Co przeszło, to przeszło.

— Ty nazywasz przeszłością dzień wczorajszy?

— A cóż to ma do rzeczy, ile czasu naprawdę minęło. Tylko głupcy potrzebują całych lat do wyzwolenia się od wzruszeń. Człowiek będący panem siebie samego może smutkowi swemu położyć kres równie łatwo, jak może wynaleźć sobie przyjemność. Ja nie chcę być ofiarą własnych uczuć. Chcę je wykorzystać, cieszyć się z nich i panować nad nimi.

— Dorianie, to straszne! Zmieniłeś się zupełnie. Wyglądasz jeszcze tak samo cudownie jak wówczas, kiedy codziennie przychodziłeś do mojej pracowni pozować do obrazu. Ale wtedy byłeś prosty, naturalny i uczuciowy. Byłeś najczystszy człowiekiem na ziemi. Nie wiem, co się z tobą stało. Mówisz, jak gdybyś nie miał serca ani współczucia. To wpływ Harry’ego. Dobrze to wiem.

Chłopak się zaczerwienił. Podeszedł do okna i przez kilka minut wpatrywał się w zielony, migocący, złotem zalany ogród.

— Bazyli, zawdzięczam Harry’emu bardzo wiele — rzekł wreszcie — więcej niż tobie. Ty nauczyłeś mnie tylko być próżnym.

— Ponoszę też za to karę, Dorianie, lub poniosę ją kiedyś.

— Nie wiem, co przez to rozumiesz, Bazyli — rzekł Dorian, odwracając się od okna. — Nie wiem, czego chcesz?

— Chcę tego Doriana Graya, którego malowałem — smutno rzekł malarz.

— Bazyli — odparł młody człowiek, przystępując doń i kładąc mu dłoń na ramieniu — przyszedłeś za późno. Wczoraj, gdy usłyszałem, że Sybila Vane odebrała sobie życie...

— Odebrała sobie życie?! Na Boga! Czy to pewne? — krzyknął Hallward, patrząc na niego z przerażeniem.

— Mój drogi Bazyli, nie myślisz chyba, że to był prosty przypadek? Naturalnie, że sobie odebrała życie.

Starszy mężczyzna ukrył twarz w dłoniach.

— Straszne — wyszeptał, a dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

— Nie — odparł Dorian Gray — nic w tym nie ma strasznego. To jedna z wielkich romantycznych tragedii naszej epoki. Na ogół aktorzy prowadzą życie najzwyczajniejsze. Są dobrymi mężami lub wiernymi żonami albo czymś podobnie nudnym. Wiesz przecież, co mam na myśli — tę całą cnotę mieszczańską. Jakże inna była Sybila Vane! Życie jej było najwznioślejszą tragedią. Zawsze była heroiną. Ostatniego wieczora, kiedy ją widziałeś, grała źle, ponieważ poznała prawdziwą miłość. Gdy przekonała się o jej nierzeczywistości, umarła, tak jak byłąby umarła Julia. Przeszła z powrotem w sferę sztuki. Jest w niej coś z męczennicy. Jej śmierć ma w sobie całą patetyczną bezpłodność męczeństwa, całą jego zmarnowaną piękność. Ale, jak już powiedziałem, nie powinieneś sądzić, że nie cierpiałem. Gdybyś był przyszedł wczoraj we właściwej chwili — o wpół do szóstej lub może w kwadrans później — byłbyś mnie zastał we łzach. Nawet Harry, który tu był i przyniósł mi tę wiadomość, nie miał wyobrażenia, ile przecierpiałem. Cierpiałem bezgranicznie. Później to minęło. Nie umiem uczuć swych powtarzać. Nikt tego nie umie prócz ludzi sentymentalnych. A ty, Bazyli, jesteś strasznie niesprawiedliwy. Przyszedłeś tu, aby mnie pocieszyć. To ładnie z twojej strony. Ale oto zastajesz mnie pocieszonego i jesteś wściekły. Typowe zachowanie osoby współczującej. Przywodzisz mi na myśl historię, którą mi kiedyś opowiedział Harry. Chodzi tam o pewnego filantropa, który poświęcił dwadzieścia lat swego życia na usunięcie jakiejś niesprawiedliwości czy zreformowanie pewnej wadliwej ustawy, nie pamiętam już dokładnie. Wreszcie udało mu się marzenie swe urzeczywistnić, lecz wtedy doznał najwyższego rozczarowania. Nie mając nic więcej do roboty, umierał wprost z nudy i stał się niepoprawnym mizantropem. Zresztą, mój drogi stary, jeśli istotnie chcesz mnie pocieszyć, to naucz mnie raczej zapominać o tym, co minęło, lub patrzeć na przeszłość z estetycznego punktu widzenia. Czy to nie Gautier pisał o *consolation des arts*? Przypominam sobie, że kiedyś w twojej pracowni wpadł mi do ręki taki mały tomik na pergaminie i w nim właśnie znalazłem to śliczne określenie. Wprawdzie nie jestem taki jak ów młody człowiek, o którym mi opowiadałeś, gdy razem jechaliśmy do Marlow. Pamiętasz, ten, co twierdził, że żółty jedwab może człowiekowi wynagrodzić wszystkie przykrości życia. Ja lubię piękne rzeczy, które można oglądać i dotykać, stare brokaty, zielone brązy, wyroby z laki, rzeźby z kości słoniowej, ładne otoczenie, przepych, zbytek. Wszystko to może bezwarunkowo dać pewną sumę przyjemności. Ale ważniejszy nad to wszystko jest dla mnie temperament artystyczny przez nie stwarzany lub przynajmniej rozwijany. „Stać się obserwatorem własnego życia — powiada Harry — znaczy uwolnić się od jego cierpień.” Dziwisz się, wiem, że mówię w ten sposób. Nie zdajesz sobie sprawy, jak się rozwinąłem. Byłem studencikiem, gdy mnie poznałeś. Teraz jestem mężczyzną. Mam nowe namiętności, nowe myśli, nowe poglądy. Jestem inny, ale dlatego nie powinieneś mnie mniej kochać! Jestem zmieniony, ale ty na zawsze musisz pozostać moim przyjacielem. Naturalnie, że bardzo lubię Harry’ego. Ale

\* pociesze, którą można znaleźć w sztukach pięknych (fr.)



wiem, że ty jesteś lepszy od niego. Nie jesteś silniejszy, zbyt się lękasz życia, ale jesteś lepszy. A jak dobrze nam było razem! Nie porzucaj mnie, Bazyli, ale nie rób mi wymówek. Jestem, jaki jestem. Nic się już nie da więcej o tym powiedzieć.

Malarz był dziwnie wzruszony. Bezgranicznie kochał Doriana, a osobowość przyjaciela stała się punktem zwrotnym w jego sztuce. Nie mógł znieść myśli o dręczeniu go dłużej wymówkami. Może zresztą jego obojętność była przemijającym kaprysem. Tyle w nim przecie było dobrego, szlachetnego.

— Dobrze więc, Dorianie — rzekł wreszcie ze smutnym uśmiechem — od tej chwili nie będę z tobą mówił o tym okropnym wypadku. Oby tylko twoje nazwisko nie zostało wplątane w tę sprawę. Śledztwo odbędzie się dziś po południu. Czy zostałeś wezwany?

Dorian przecząco potrząsnął głową i wyraz niechęci przemknął po jego twarzy na dźwięk słowa: „śledztwo”. Wszystko to takie brutalne i ordynarne.

— Nie znają mego nazwiska — odparł.

— Ale ona je przecież znała?

— Tylko imię, jestem jednak pewny, że go przed nikim nie wymieniła. Mówiła mi raz, że wszyscy byli tak bardzo ciekawi dowiedzieć się, kim jestem, na co ona im zawsze odpowiadała, że nazywam się: księżę z bajki. To było ładnie z jej strony. Bazyli, musisz mi zrobić jej portret. Chciałbym mieć po niej coś więcej niż wspomnienie paru pocałunków i kilku beładnych patetycznych słów.

— Spróbuję, Dorianie, jeśli to ci sprawi przyjemność. Ale musisz do mnie przyjść i znów mi pozować. Bez ciebie praca mi nie idzie.

— Ja ci już nigdy nie mogę pozować, Bazyli. To niemożliwe! — wykrzyknął Dorian cofając się.

Malarz wpatrywał się w niego zdumiony.

— Mój drogi chłopcze, cóż to za nedorzeczość! — zawołał. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że ci się nie podoba mój portret? Gdzież on jest? Czemu go zasłoniłeś parawanem? Pokaż mi go. Najlepsza to rzecz, jaką kiedykolwiek namalowałem. Odsuń ten parawan, Dorianie, proszę cię. To obrzydliwe ze strony twego służącego, że tak zasłania moje dzieło. Jak tylko wszedłem, natychmiast zauważyłem, że pokój inaczej wygląda.

— Bazyli, mój służący wcale za to nie odpowiada. Nie sądzisz chyba, aby się rozporządził w moim mieszkaniu. Co najwyżej ustawia kwiaty podług swego uznania. Ja sam to zrobiłem. Zbyt silne światło padało na portret.

— Zbyt silne? Ależ to niemożliwe, Dorianie. Portret umieszczony jest doskonale. Pozwól mi go zobaczyć.

Hallward podszedł ku ścianie.

Okrzyk trwogi wyrwał się z ust Doriana, rzucił się między malarza a parawan. Był bardzo blady.

— Bazyli — rzekł — nie wolno ci spojrzeć na ten portret. Ja nie chcę tego.

— Nie wolno mi widzieć mego własnego dzieła? Chyba żartujesz. Dlaczegoż nie miałbym go zobaczyć? — zaśmiał się Hallward.

— Bazyli, jeśli będziesz usiłował go zobaczyć, to słowo honoru ci daję, że póki życia nie będę z tobą rozmawiał. Mówię serio. Nie mogę ci dać wyjaśnienia, a ty go nie żądaj. Ale pamiętaj: jeśli dotkniesz tego parawanu, wszystko między nami skończone.

Hallward był jakby rażony gromem. Patrzył na Doriana w niemym osłupieniu. Takim nie widział go jeszcze nigdy. Blady był z gniewu. Pięści miał zaciśnięte, oczy jego rzucały pociski błękitnego ognia. Drżał całym ciałem.

— Dorianie!

— Nie mów nic!

— Ale co to jest? Oczywiście, nie nalegam dłużej, skoro sobie tego nie życzysz — rzekł malarz chłodno, po czym odwrócił się i podszedł do okna. — Ale bądź co bądź to prawdziwy idiotyzm, żeby mi nie wolno było zobaczyć własnej pracy, zwłaszcza że na jesieni zamierzam wystawić ten portret w Paryżu. Przedtem będę go prawdopodobnie musiał trochę odświeżyć, więc pewnego dnia jednak go zobaczę. Czemu więc nie dzisiaj?

— Wystawić! Chcesz go wystawić? — krzyknął Dorian Gray i wstrząsnął nim dreszcz trwogi. Czy sekret jego zostanie odkryty przed światem? Czy tłumy będą się gapić na tajemnicę jego życia? To przecież niemożliwe. Trzeba było jakoś natychmiast temu zapobiec, nie wiedział tylko jak.

— Tak, sądzę przecież, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. Georges Petit zbiera moje najlepsze obrazy celem urządzenia osobnej wystawy na Rue de Seze. Wystawa ma być otwarta w pierwszych dniach października — na jeden miesiąc. Sądzę, że na krótki czas możesz się wyrzec portretu, zwłaszcza że i tak prawdopodobnie nie będzie cię wówczas w mieście. Zresztą, skoro go stale ukrywasz za parawanem, to nie może ci znów zbyt wiele na nim zależeć.

Dorian Gray przesunął ręką po czole. Było okryte kroplistym potem. Czuł, że stoi na skraju straszliwego niebezpieczeństwa.

— Przed miesiącem powiedziałeś, że nigdy go nie wystawisz! — zawołał. — Czemu zmieniłeś swe postanowienie? Ludzie uważający się za konsekwentnych mają tyleż kapryśców, co i inni. Jedyna różnica, że wasze kaprysy są niedorzeczne. Nie mogłeś chyba zapomnieć, iż zapewniałeś mnie najsolennie, że nic w świecie nie zdołałoby cię skłonić do wystawienia tego obrazu. To samo powiedziałeś też Harry'emu.

Urwał nagle i oczy jego rozjaśniły się. Przypomniał sobie, co mu raz powiedział lord Henryk: „Jeśli zechcesz przeżyć kiedyś oryginalną chwilę, to skłoń Bazylego, aby ci powiedział, czemu nie chce wystawić twego portretu. Mnie powiedział i było to dla mnie objawieniem.” Tak, może Bazyl ma również swoje tajemnice. Zapyta go i wybada.

— Bazyl! — rzekł, podchodząc do niego blisko i patrząc mu prosto w oczy — każdy z nas ma swą tajemnicę. Opowiedz ty mnie swoją, a ja ci swoją opowiem. Czemu wzbraniałeś się wystawić ten obraz?

Malarz drgnął mimo woli.

— Dorianie, gdybym ci to powiedział, mniej byś mnie może lubił, a z pewnością śmiałybyś się ze mnie. Dla mnie zarówno przykre byłoby jedno, jak i drugie. Jeśli nie chcesz, abym kiedykolwiek jeszcze oglądał twój portret, zgadzam się na to. Mogę patrzeć na ciebie. Jeśli chcesz, aby najlepsze moje dzieło pozostało ukryte przed światem, stanie się podług twej woli. Przyjaźń twoja droższa mi jest nad rozgłos i sławę.

— Nie, Bazyl, ty musisz mi to powiedzieć — nalegał Dorian Gray. — Sądzę, że mam prawo o tym wiedzieć.

Trwoga jego znikła, a miejsce jej zajęła ciekawość. Był zdecydowany wykryć tajemnicę Bazylego Hallwarda.

— Usiądźmy, Dorianie — rzekł malarz głęboko zatroskany. — Usiądźmy. A przede wszystkim odpowiedz mi na jedno pytanie: czy zauważyłeś w portrecie coś niezwykłego? Coś, czego z początku prawdopodobnie nie dostrzegłeś, a co ci się nagle objawiło?

— Bazyl! — krzyknął młody człowiek, chwytając drżącymi rękami za poręcz krzesła i wlepiając w malarza dzikie, przerażone spojrzenie.

— Widzę, że zauważyłeś. Nie mów nic. Poczekaj, aż usłyszysz, co ci mam do powiedzenia. Dorianie, od chwili, w której cię zobaczyłem, osobowość twoja wywierała na mnie wpływ ogromnie dziwny. Byłem pod twoją władzą: moja dusza, mój umysł, moja siła twórcza. Ty byłeś

dla mnie widzialnym ucieleśnieniem nigdy nie widzianego ideału, którego pamięć nawiedza— iras, artystów, niby cudowny sen. Ubóstwiałem cię. Byłem zazdrosny o każdego człowieka, z którym mówiłeś. Chciałem cię mieć niepodzielnie dla siebie. Wtedy tylko czułem się szczęśliwy, gdy ty byłeś przy mnie. Gdy odchodziłeś, czułem jeszcze twą obecność w mojej sztuce. Oczywiście, że nigdy cię w to nie wtajemniczałem. Było to niemożliwe. Nie byłbyś mnie zrozumiał. Ja sam zaledwie rozumiałem siebie. Wiedziałem tylko, że spojrzawszy oko w oko doskonałości i że świat stał się dla mnie cudowny —nazbyt może cudowny, gdyż w tak szalonym ubóstwieniu mieści się niebezpieczeństwo; zarówno niebezpieczeństwo zachowania nadal tych uczuć, jak też utracenia ich. Mijał tydzień po tygodniu, a ja coraz więcej się w tobie zatracalem. Potem nastąpiła nowa faza rozwoju. Rysowałem cię jako Parysa w misternej zbroi i jako Adonisa w szacie myśliwskiej z błyszczącym oszczepem. Uwieńczony ciężkim kwieciami lotosu siedziałeś na dziobie łodzi Hadriana, spoglądając na zielone fale Nilu. W greckim gaju pochylałeś się nad cichym strumieniem i w milczącym srebrze wody widziałeś cud własnego oblicza. I wszystko było takie, jaką winna być sztuka: nieświadome, idealne i dalekie. Pewnego dnia jednak — chwilami myślę, że był to dzień fatalny — postanowiłem namalować cudowny portret, namalować ciebie i to takim, jakim jesteś w rzeczywistości, nie w szatach z zamarych wieków, lecz w dzisiejszym stroju i w dzisiejszej epoce. Byłże to realizm metody czy też tylko czar twojej istoty, na którą patrzyłem bezpośrednio, bez mgły i zasłony — tego nie wiem. Ale wiem, że podczas pracy każda plamka barwna zdawała się odsłaniać moją tajemnicę. Lękałem się, aby inni nie dowiedzieli się, jak cię ubóstwiam. Czułem, Dorianie, że zbyt wiele powiedziałem, zbyt wiele włożyłem w ten portret z siebie samego. Wtedy postanowiłem obrazu tego nie wystawiać. Byłeś wówczas nieco rozczarowany, ale nie mogłeś wiedzieć, jakie to dla mnie ma znaczenie. Mówiłem o tym z Harrym —wyśmiał mnie. Ale co mnie to obchodziło. Gdy portret był skończony, a ja przed nim siedziałem sam, czułem, że mam słuszność. A parę dni później opuścił moją pracownię. Kiedy pozbyłem się nieznośnego magicznego wpływu jego obecności, wydało mi się niedorzecznością widzieć w nim coś więcej niż to, że ty jesteś piękny, a ja umiem malować. Jeszcze teraz mam uczucie, że błędne jest mniemanie, jakoby namiętność ogarniająca nas podczas tworzenia ujawniała się kiedykolwiek w dziele, które tworzymy. Sztuka jest zawsze bardziej abstrakcyjna, niż sądzimy. Forma i barwa zawsze tylko wypowiadają formę i barwę — nic więcej. Często mi się wydaje, że sztuka raczej ukrywa artystę, niż go objawia. Kiedy więc otrzymałem z Paryża tę propozycję, postanowiłem wystawić twój portret jako moje główne dzieło. Nie przyszło mi nawet na myśl, abys się miał wzbraniać. Teraz widzę, że masz słuszność. Obrazu tego wystawiać nie można. Nie gniewaj się, Dorianie, za to, co ci powiedziałem. Jak już raz mówiłem Harry'emu, jesteś stworzony, by cię ubóstwiano.

Dorian Gray odetchnął głęboko. Policzki znów mu się zaróżowiły, a na ustach zaigrał uśmiech. Niebezpieczeństwo minęło. Na razie był bezpieczny. Czuł jednak bezgraniczne współczucie dla malarza, który przed chwilą uczynił przed nim tak dziwną spowiedź, i w duchu zapytywał siebie, czy on mógłby kiedykolwiek zostać w ten sposób opanowany osobowością jakiegoś przyjaciela. Lord Henryk posiadał osobliwy urok: był bardzo niebezpieczny. Ale na tym się też kończyło. Zbyt był mądry lub zbyt cyniczny, aby go można kochać naprawdę. Czy też kiedyś napotka człowieka, mogącego natchnąć go tak dziwnym uwielbieniem? Czy też życie przygotowuje dlań coś podobnego?

— To dziwne, Dorianie — ozwał się Hallward — żeś ty to dostrzegł w portrecie. Czy istotnie dostrzegłeś?

— Dostrzegłem coś — odparł Dorian — czego sobie nie umiałem wytłumaczyć.

— Więc teraz mogę go już oglądać?

Dorian potrząsnął głową.

— Tego nie wolno ci ode mnie żądać, Bazyli. Żadną miarą nie mogę ci pokazać tego obrazu.

— Więc kiedyś później?

— Nigdy.

— Może i masz słuszość. A teraz bywaj zdrow, Dorianie! Ty jesteś jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek wywarł wpływ na moją sztukę. Co dobrego stworzyłem, zawdzięczam tobie. O, ty nie wiesz, ile mnie kosztowało wypowiedzenie tego wszystkiego, co właśnie usłyszałeś.

— Mój drogi Bazyli — rzekł Dorian — cóż takiego powiedziałaś? Wszak tylko to, że zbyt mnie podziwiałaś. To nie jest nawet komplement.

— Nie miałem też zamiaru mówić ci komplementów. To była spowiedź. Teraz, kiedy jej dokonałem, mam wrażenie, jakby ode mnie coś odeszło. Może nie należy nigdy ujmować swej miłości w słowa.

— Spowiedź ta sprawiła mi wielki zawód.

— A czego ty oczekiwałaś, Dorianie? Chyba nic innego nie dostrzegłeś w tym portrecie. Nie było w nim przecież nic innego?

— Nie, nie było w nim nic innego. Czemu pytasz? Ale nie wolno ci mówić o ubóstwianiu. To nie ma sensu. Ty i ja jesteśmy przecież przyjaciółmi, Bazyli, i musimy nimi pozostać.

— Masz Harry'ego — smutnie rzekł malarz.

— O, Harry... — Dorian zaśmiał się krótko. — Harry w dzień opowiada niewiarygodne rzeczy, a wieczorem popełnia rzeczy niewiarygodne. Właśnie tak, jak bym ja pragnął żyć. A jednak nie sądzę, abym się miał udać do Harry'ego, gdybym potrzebował rady. Przyszedłbym raczej do ciebie, Bazyli.

— Będziesz mi jeszcze pozował?

— Nie mogę.

— Dorianie, odmową swą niszczysz moje życie jako artysty. Nikt nie spotyka w życiu dwóch ideałów. Rzadko spotyka się jeden.

— Bazyli, nie jestem w stanie dać ci wyjaśnień, ale pozować nie mogę ci już nigdy. Fatalizm unosi się nad portretami. Posiadają własne życie. Przyjdę do ciebie na herbatę. Będzie nam tak samo przyjemnie.

— Dla ciebie przyjemniej, o ile mi się zdaje — z żalem mruknął Hallward. — A teraz: do widzenia. Przykro mi, że nie będę mógł oglądać tego portretu. Ale trudno, skoro inaczej być nie może. Ja rozumiem, co ty czujesz.

Gdy wyszedł z pokoju, Dorian się uśmiechnął. Biedny Bazyli. Jakże mało domyślał się prawdziwego powodu. A jakie to dziwne, że on sam nie tylko nie zdradził własnej tajemnicy, lecz przeciwnie, prawie przypadkowo zdołał wydrzeć tajemnicę przyjaciela. Ileż mu wyjaśniała ta dziwna spowiedź. Niedorzeczna zazdrość malarza, jego namiętne oddanie, przesadne hymny pochwalne, dziwne milczenie — teraz wszystko to zrozumiał i było mu smutno. Tkwiło coś tragicznego w przyjaźni, tak bardzo owianej romantyzmem.

Westchnął i zadzwonił. Na wszelki wypadek należy obraz ukryć. Nie może się ponownie narazić na niebezpieczeństwo odkrycia tajemnicy. Szaleństwem było trzymać go bodaj przez godzinę w pokoju, do którego miał wstęp każdy z jego przyjaciół.

## X

Gdy wszedł służący, Dorian spojrział nań bystro, badając niejako, czy mu też nie wpadło na myśl spojrzeć za parawan. Ale służący miał minę całkiem obojętną, czekając rozkazu. Dorian zapalił papierosa i stanął przed jednym ze zwierciadeł. Mógł w nim doskonale obserwować twarz Wiktora. Była jak nieruchoma maska unizoności. Nie było się czego obawiać. Mimo to postanowił mieć się na baczności.

Bardzo powoli wydał polecenie, aby służący zawiadomił zarządczynię, że chce się z nią rozmówić i by następnie poszedł do ramiarza i prosił go o natychmiastowe przysłanie dwóch ludzi. Gdy służący zabierał się do wyjścia, wydało się Dorianowi, że rzucił wzrokiem w kierunku parawanu. A może to tylko złudzenie?

W parę minut później pani Leaf weszła pośpiesznie do biblioteki. Miała na sobie czarną jedwabną suknię i staroświeckie ni—ciane mitenki na wychudłych rękach.

Poprosił ją o klucz do szkolnego pokoju.

— Panie Dodanie, do dawnego szkolnego pokoju? — wykrzyknęła. — Ależ tam pełno kurzu. Muszę go w pierw u—porządkować, zanim jaśnie pan tam wejdzie. Teraz nie można. Doprawdy, że nie.

— Nie potrzeba nic porządkować. Proszę tylko o klucz.

— Ależ, jaśnie panie, tam pełno pajęczyn. Jaśnie pan się całkiem zabrudzi. Już od pięciu lat tam nie wietrzono, od czasu śmierci jego lordowskiej mości.

Drgnął na wspomnienie dziadka. Przykrą po nim zachował pamięć.

— Nic nie szkodzi — odparł. — Chcę tylko zobaczyć ten pokój, nic więcej. Proszę o klucz.

— Zaraz, jaśnie panie — mówiła staruszka, szukając niepewnymi palcami w dużym pęku kluczy. — Już go mam, jeszcze tylko odczepię. Ale chyba jaśnie pan nie zamierza się tam przenieść, gdy tu tak pięknie i wygodnie?

— Nie, nie! — zapewnił niecierpliwie. — Dziękuję. Zatrzymała się jeszcze na chwilę, opowiadając o rozmaitych sprawach gospodarskich. Westchnął parę razy, wreszcie oświadczył, że wszystko pozostawia jej uznaniu. Wyszła rozpromieniona.

Dorian włożył klucz do kieszeni i rozejrzał się po pokoju. Wzrok jego padł na dużą purpurową kapę jedwabną, zdobną w złote hafty, cenny zabytek weneckich wyrobów z XVII stulecia, znaleziony przez dziadka w jednym z klasztorów pod Bolonią. Tak, tym będzie mógł przysłonić ten straszny obraz. Często zapewne kapa ta służyła za całun do okrywania zwłok. Teraz ma przysłonić coś podlegającego rozkładowi — rozkładowi gorszemu od śmierci samej — coś, co rodzi strach i przerażenie, a nie ma nigdy umrzeć. Czym robactwo dla ciała, tym mają być jego grzechy dla tego obrazu na płótnie. Mają zniszczyć jego piękność, zniweczyć jego wdzięk. Mają go zbezcześcić i splugawić. A jednak będzie żył dalej, nie dosiężony przez śmierć.

Wstrząsnął się i przez chwilę żałował, że nie wymienił Bazylemu istotnego powodu, dlaczego pragnął ukryć obraz. Bazyli byłby mu dopomógł oprzeć się wpływowi lorda Henryka i jeszcze fatalniejszym pokusom własnej natury. Miłość Bazylego ku niemu — bo miłością było to uczucie — miała w sobie same pierwiastki szlachetne i uduchowione. Nie była tylko owym fizycznym podziwem dla piękności, co ze zmysłów zrodzony umiera też, gdy zmysły się znużą. Była to miłość, jaką znał Michał Anioł i Montaigne, i Winckelmann, i sam Szekspir. Tak, Bazyli mógłby go ocalić. Ale teraz już jest za późno. Przeszłość można unicestwić skrucą, negacją, zapomnieniem. Ale przyszłość jest nieunikniona. Drzemią w nim namiętności, które znajdują dla siebie straszne ujęcie, marzenia, których złowrogie cienie staną się rzeczywistością.

Zdjął z szeslongu ciężką, purpurowozłocistą tkaninę i wszedł z nią za parawan. Czy twarz na płótnie była bardziej nikczemna niż przedtem? Wydała mu się nie zmieniona, a jednak czuł do niej jeszcze większy wstręt. Złociste pukle, błękitne oczy, ciemnoróżowe wargi — wszystko takie samo. Tylko wyraz twarzy uległ zmianie. Był straszny w swym okrucieństwie. Ten bezmiar wyrzutów i potępienia ziejący z płótna — jakże płytkie, jak płytkie i małoznaczne w porównaniu z nim były wyrzuty Bazylego. Własna jego dusza spoglądała na niego z płótna i wzywała go przed sąd. Bolesny wyraz pojawił się w oczach Doriana. Szybko zarzucił na obraz wspaniały całun. W tejże chwili zapukano do drzwi. Wszedł zza parawanu, a służący oznajmił:

— Jaśnie panie, ci ludzie już przyszli.

Dorian czuł, że musi go oddalić natychmiast. Jemu nie wolno wiedzieć, co się stanie z obrazem. Miał w twarzy coś chytrego, a oczy zamyślane, zdradliwe.

Siadł przy biurku i napisał liścik do lorda Henryka. Prosił go o jakąś lekturę, przypominając także, że mają się spotkać kwadrans na dziewiątą.

— Trzeba poczekać na odpowiedź — rzekł, wręczając służącemu list — a tymczasem proszę tu wpuścić tych ludzi.

Po dwóch czy trzech minutach znów zapukano i wszedł sławny ramiarz z South Audley Street, pan Hubbard we własnej osobie, z młodym, dość niezręcznie się prezentującym pomocnikiem. Pan Hubbard był małym człowiekiem o kwitnącej twarzy i rudych faworytach. Jego podziw dla sztuki skutecznie mitygowała chroniczna niewypłacalność artystów, z którymi miał do czynienia. Nigdy prawie nie opuszczał swego sklepu. Czekał, aż się do niego przyszło. Ale dla Doriana Graya zawsze robił wyjątek. Dorian miał w sobie coś, co czarowało każdego. Samo patrzenie na niego było już przyjemnością.

— Czym mogę służyć, panie Gray? — spytał, zacierając tłuste ręce okryte piegami. — Mam zaszczyt stawić się osobiście. Właśnie nabyłem prześliczne ramy. Znalazłem je na licytacji. W stylu staroflorenckim. Pochodzą podobno z Fronthill. Wspaniałe do obrazu religijnego, panie Gray.

— Tak mi przykro, że pan się sam trudził, panie Hubbard. Oczywiście, że nie omieszkać obejrzeć tych ram, chociaż na razie mało się interesuję sztuką religijną. Dziś chciałem tylko przenieść jeden obraz na najwyższe piętro. Jest dość ciężki, dlatego chciałem pana prosić o dwóch ludzi.

— Nic nie szkodzi, panie Gray. Bardzo mi przyjemnie, że mogę panu służyć. A gdzie jest ten obraz?

— Iii — wskazał Dorian, odsuwając parawan. — Czy można go będzie przenieść? Tak jak jest, okryty. Nie chciałbym, aby został uszkodzony.

— Już się to jakoś zrobi — rzekł jowialnie majster, przy pomocy czeladnika odczepiając od portretu długie mosiężne łańcuszki, na których był zawieszony. — A teraz, dokąd mamy go nieść, proszę pana?

— Poprowadzę, panie Hubbard. Niech pan będzie tak uprzejmy i idzie za mną. Albo może lepiej, aby pan szedł pierwszy. Przykro mi, ale to na samej górze. Pójdziemy frontowymi schodami, bo szersze.

Szeroko otworzył drzwi, wyszli do hallu i zaczęli wchodzić na schody. Dzięki kosztownym ramom obraz stał się tak duży i ciężki, że Dorian kilkakrotnie pomagał go nieść pomimo ugrzeczniionych protestów Hubbarda, który jako człowiek interesu odczuwał instynktowny wstręt, ilekroć jakiś dżentelmen imał się użytecznej roboty.

— Porządny ciężar, proszę pana — dyszał mały człowieczek, stanąwszy wreszcie na najwyższym piętrze. Otarł czoło świecące od potu.

— Tak, istotnie bardzo jest ciężki — mruknął Dorian, otwierając drzwi pokoju mającego odtąd chronić dziwną tajemnicę jego życia i ukrywać jego duszę przed oczami świata.

Od przeszło czterech lat nie przestąpił progu tego pokoju, służącego mu niegdyś za miejsce do zabaw, a później z biegiem lat do nauki. Był to duży pokój, o proporcjonalnych wymiarach, urządzony na wyraźny rozkaz nieboszczyka lorda Kelso dla małego wnuka, którego z powodu uderzającego podobieństwa do matki i innych jeszcze przyczyn tak nienawidził, że zawsze trzymał z dala od siebie. Dorianowi wydało się, że nic się tu nie zmieniło. Oto duża włoska szafa z fantastycznie pomalowanymi drzwiami i wyblakłymi złoconymi rzeźbami, w której jako chłopczyk tak często się ukrywał, dalej półki z cennego indyjskiego drzewa, z poniszczonymi książkami szkolnymi. Za półkami na ścianie wisi ten sam zniszczony hiszpański gobelin, na którym król i królowa grają w szachy w ogrodzie, a opodal przejeżdża orszak sokolników trzymających na okrytych rękawicami rękach ptaki w kapturkach. Jak dokładnie wszystko to pamięta. Gdy się tak rozgląda po pokoju, przypomina sobie każdą chwilę samotnie spędzonego dzieciństwa. W duszy jego odzywa cała nieskażona czystość chłopięcego wieku i straszna wydaje mu się myśl, że tu właśnie ma być ukryty ten złowieszczy portret. Jakże nie przeczuwał w owych zamierzczłych dniach, co go czeka!

Ale w całym domu nie było miejsca równie zabezpieczonego przed oczami ciekawych. On sam zachowa klucz i nikt się tu nie dostanie. Pod purpurową zasłoną malowidło może przybrać wyraz zwierzęcości, może obrzmieć i stać się wstrętnym. Cóż to szkodzi? Nikt go nie zobaczy. On sam także nigdy na obraz ten nie spojrzy. Po cóż miałby obserwować szkaradny rozkład własnej duszy? Zachowa młodość, to mu wystarczy. A zresztą, czy nie może się jeszcze zmienić, wyszlachetnieć? Nie widzi powodu, dlaczego by przyszłość miała być aż tak haniebna. Może na życie jego spłynie wielka miłość, która go zdoła oczyścić i obronić przed grzechami, kielkującymi już w jego duszy i ciele — przed owymi dziwnymi grzechami, nigdy nie opisywanymi, którym tajemniczość dodaje uroku i czaru. Może pewnego dnia zniknie ten wyraz okrucieństwa ze szkarłatnych, delikatnych ust i będzie jeszcze mógł pokazać światu arcydzieło Bazylego Hallwarda.

Ale nie, niepodobna! Z każdą godziną, z każdym tygodniem obraz na płótnie musi się starzeć. Może ująć brzydocie grzechu, ale brzydota starości jest dla niego nieunikniona. Policzki muszą się zapaść i zwiotczeć. Żółte zmarszczki okolą wyblakłe oczy i zeszpecą je. Włosy utracą swój połysk, usta zapadłe lub obwisłe będą mieć wyraz śmieszny albo wstrętny, jak u wszystkich starych ludzi. Szyja się okryje zmarszczkami, ręce będą zimne i zblękitniałe od żył, całe ciało skurczy się jak u dziadka, który był dla niego zawsze taki surowy. Portret ten musi pozostać w ukryciu. Innego wyjścia nie ma.

— Proszę go tu wnieść, panie Hubbard — rzekł znużonym głosem i odwrócił się. — Przepraszam, że pana tak długo zatrzymałem. Myślałem o czymś innym.

— Zawsze dobrze trochę wypocząć, panie Gray — odparł majster, ciągle jeszcze zadyszany. — Gdzie go mamy ustawić?

— Ach, gdziekolwiek bądź. Tu na przykład. Nie będzie się go wieszac. Proszę go tylko oprzeć o ścianę. Dziękuję panu.

— Czy można zobaczyć to arcydzieło, panie Gray?

Dorian drgnął.

— Wcale by pana nie zajęło, panie Hubbard — odparł, nie spuszczając go z oka. Czuł, że rzuciłby się na tego człowieka i powalił go, gdyby tamten odważył się podnieść kosztowną zasłonę, kryjącą tajemnicę jego życia. — Nie będę pana zatrzymywał. Bardzo dziękuję za uprzejmość.

— Ależ proszę, bardzo proszę. Zawsze jestem gotów do pańskich usług. — I Hubbard począł schodzić ze schodów, a za nim ruszył czeladnik, z trwożnym podziwem na prostej pospolitej twarzy, oglądając się raz jeszcze na Doriana; nigdy w życiu nie widział nikogo tak pięknego.

Gdy ucichł odgłos ich kroków, Dorian zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni. Teraz czuł się bezpieczny. Nikt nie zobaczy już straszego portretu, niczyje oko prócz jego własnego nie ujrzy tej hańby.

Było już po piątej i herbata stała na stole, gdy wrócił do biblioteki. Na stolyczku z wonnego drzewa, wykładanego masą perłową, podarku lady Radley, pięknej żony jego opiekuna, wiecznej pacjentki, która ostatnią zimę spędziła w Kairze, leżał list od lorda Henryka, a obok w żółty papier oprawna książka, lekko podniszczona na grzbiecie i poplamiona na rogach. Na tacy leżał egzemplarz trzeciej edycji „St. James’a Gazette”. Widocznie Wiktor już wrócił. Zastanawiał się, czy też spotkał się w korytarzu z rzemieślnikami i czy ich wypytywał, co robili. Z pewnością zauważył brak portretu, może nawet zauważył, nakrywając do herbaty. Parawan nie został przesunięty z powrotem i puste miejsce na ścianie samo się rzucało w oczy. Kto—wie, czy pewnej nocy nie przydybie go na schodach, wkradającego się na górę i gwałtem usiłującego wywalić zamknięte drzwi. Straszna to rzecz mieć w domu szpiega. Słyszał nieraz o bogatych ludziach, przez całe życie szantażowanych przez służącego, który przeczytał był list, podsłuchał rozmowę, przejął kartkę z adresem lub pod poduszką znalazł zwidyły kwiat czy kawałek zmiętej koronki.

Westchnął, nalał sobie herbaty i otworzył kopertę zawierającą list lorda Henryka. Lord Henryk pisał tylko, że posyła mu wieczorny numer gazety i książkę, która go zajmie, i że kwadrans po ósmej będzie w klubie. Dorian rozłożył powoli gazetę i przebiegł ją oczami. Ustęp zakreślony czerwonym ołówkiem na piątej stronie zwrócił jego uwagę. Brzmiał, jak następuje:

„Śledztwo w sprawie śmierci aktorki. Dziś rano dzielnicowy funkcjonariusz policji pan Dauby dokonał w Bell Tavern, Horton Road, obdukcji zwłok Sybili Vane, młodej aktorki niedawno zaangażowanej do teatru «Royal» w Holborn. Orzeczenie lekarskie stwierdziło śmierć przypadkową. Matka zmarłej budziła ogólne współczucie, gdyż podczas składania własnych zeznań — a także podczas zeznań doktora Birrela, który dokonał sekcji zwłok — była prawie całkiem nieprzytomna.”

Zmarszczył czoło, rozdarł gazetę, przeszedł się po pokoju i odrzucił strzępy dziennika. Jakie to wszystko było brzydkie! I jak ta brzydota czyni wszystko straszliwie realnym! Irytowało go, że lord Henryk przesłał mu to sprawozdanie. I głupio było podkreślać je czerwonym ołówkiem. Wiktor mógł być przeczytać. Do tego wystarcza mu najzupełniej jego znajomość angielszczyzny.

A może już przeczytał i zaczyna coś podejrzewać. Ale co to szkodzi? Cóż wspólnego ma Dorian Gray z Sybilą Vane? Nie ma się czego obawiać, Dorian Gray jej przecież nie zamordował.

Wzrok jego padł na żółtą książkę przyslaną mu przez lorda Henryka. Co to może być? Podszedł do małej, ośmiokątnej półki perłowego koloru, robiącej na nim zawsze wrażenie dzieła pszczoł egipskich budujących plastry ze srebra, wziął książkę, rzucił się na fotel i zaczął przerzucać kartki. Po kilku minutach zupełnie zapomniał o otoczeniu. Była to najdziwniejsza książka, jaką kiedykolwiek czytał. Orzechy świata, przybrane we wspaniałe szaty, zdawały się przeciągać w niemym korowodzie, przy akompaniamencie cichych tonów fletni... Rzeczy, znane mu zaledwie z marzeń niejasnych, nagle przemieniły się w rzeczywistość. Rzeczy, o których nawet nie marzył, powoli zaczęły mu się objawiać.

Była to powieść bez akcji — występował w niej jeden tylko bohater — psychologiczne studium młodego paryżanina, który w dziewiętnastym wieku czyni próbę przeżycia wszystkich namiętności i systemów myślowych, jakie panowały we wszystkich epokach prócz współczesnej



mu. Pragnie on niejako połączyć w sobie wszystkie nastroje, jakim podlegał duch świata, w równej mierze kochając z powodu ich sztuczności wszystkie owe rezygnacje, które ludzie zwań niesłusznie cnotami, jak i owe naturalne bunty, dziś jeszcze przez mędrców uważane za grzechy. Styl tej książki był dziwnie cyzelowany, żywy i niejasny zarazem, naszpikowany żargonem i archaizmami, terminami technicznymi i starannie opracowanymi parafrazami — styl cechujący najsubtelniejszych artystów francuskiej szkoły symbolicznej. Były w tej powieści metafory, potworne jak orchidee i tak samo delikatne w barwie. Życie zmysłów nakreślone było słowami mistycznych filozofów. Chwilami trudno było wprost rozróżnić, czy się czyta ekstatyczne uniesienia średniowiecznego świętego, czy chorobliwe zwierzenia nowoczesnego grzesznika. Była to książka trująca. Ze stronic jej unosiła się jakby ciężka woń kadzidlana, mgłą przesłaniając umysł. Już sama tonacja zdań, wyrafinowana monotonia ich melodii, tak jednak pełna skomplikowanych powtórzeń i dyskretnie odmierzonego rytmu, wszystko to wywołało u Doriana, w miarę jak się zagłębiał w lekturze, rodzaj halucynacji, gorączkę rozmarzenia — nie spostrzegł się nawet, jak zmrok zapadł, siejąc wokół cienie nocy.

Miedzianozielonkawe niebo, bez żadnej chmurki, jedną tylko rozjaśnione gwiazdą, widniało przez okno. Przy jego niknących blaskach Dorian czytał, dopóki mógł rozróżnić litery. Służący parę razy zwrócił mu uwagę na spóźnioną porę. Wreszcie wstał, przeszedł do sypialni, położył książkę na małym florenckim stolczku obok łóżka i zaczął się przebierać.

Dochodziła dziewiąta, kiedy przyszedł do klubu. Lord Henryk siedział sam w jednym z gabinetów i miał minę człowieka mocno znudzonego.

— Bardzo mi przykro, Harry — usprawiedliwiał się Dorian — ale sam jesteś temu winien. Książka, którą mi przysłałeś, jest tak fascynująca, że nie zauważyłem, jak mi czas upłynął.

— Tak, wyobrażałem sobie, że ci się będzie podobała — rzekł lord Henryk powstając.

— Ja nie powiedziałem, Harry, że mi się podobała. Powiedziałem, że jest fascynująca. A to wielka różnica.

— Ach, odkryłeś to? — mruknął lord Henryk. I obaj przeszli do jadalni.

## XI

Przez całe lata Dorian Gray nie mógł się wyswobodzić spod wpływu tej książki. Albo ściśle się wyrażając, wcale nie usiłował się wyswobodzić. Sprowadził sobie z Paryża nie mniej niż dziewięć egzemplarzy pierwszego wydania w dużym formacie i dał je oprawić w rozmaitych kolorach, odpowiadających zmiennym nastrojom i stanom duszy, nad którymi czasami zdawał się tracić wszelką władzę. Bohater, ten wspaniały paryżanin, którego usposobienie było tak dziwną mieszaniną ducha romantyzmu i ducha nauki, stał się dla niego jakby prototypem. Istotnie, zdawało mu się, że cała ta książka zawiera dzieje własnego jego życia, spisane wcześniej, niż je przeżył.

W jednym punkcie co prawda był szczęśliwszy od fantastycznego bohatera powieści. Nigdy nie znał i nie miał powodu do śmiesznej nieco obawy przed zwierciadłami, gładkimi powierzchniami metali i cichych wód — obawy, która zawładnęła tak wcześnie życiem owego paryżanina i była spowodowana nagłym zanikiem jego ongi niezwyklej urody. Tę część książki o prawdziwie tragicznym, jakkolwiek nieco przesadzonym opisie cierpień i rozpaczcy człowieka, który postradał to, co najwięcej cenił u innych i w ogóle w życiu, odczytywał za każdym razem z okrutną niemal radością — a może w każdej radości, jak niewątpliwie w każdej rozkoszy, mieści się okrucieństwo.

Bo cudowna jego piękność, która tak oczarowała Bazylego Hallwarda i wielu innych, z biegiem lat wcale się nie zmniejszyła. Nawet ci, co słyszeli o nim najgorsze rzeczy — od czasu do czasu bowiem dziwne wieści o jego życiu obiegały Londyn, dostarczając tematu plotkom klubowym — nawet ci ludzie, ujrawszy go, nie mogli podejrzewać go o nic złego. Ciągłe jeszcze tak wyglądał, jakby przeszedł był przez życie nieskalany. Mężczyźni mówiący ordynarne rzeczy milkli, gdy wchodził Dorian Gray. W czystych liniach jego twarzy było coś, co przywoływało ich do porządku. Sama jego obecność zdawała się budzić wspomnienie czystości przez nich zbrukanej. Dziwiono się, że on, tak pełen wdzięku i czaru, mógł uniknąć splugawienia w epoce zarówno zmysłowej, jak nikczemnej.

Często wracając z długich a tajemniczych wycieczek, budzących owe dziwne przypuszczenia u jego przyjaciół lub tych, co sobie rościli prawo do tego tytułu, po kryjomu wchodził na piętro, otwierał zamknięty pokój kluczem, z którym się nigdy nie rozstawał, i ze zwierciadłem w ręku stawał przed portretem malowanym przez Bazylego Hallwarda. Wpatrywał się w złą i postarzałą twarz na obrazie, to znów w piękne młodzieńcze oblicze w zwierciadle. Siła kontrastu potęgowała jeszcze uczucie rozkoszy. Coraz więcej kochał się w swej piękności i coraz więcej interesowało go zepsucie własnej duszy. Z największą uwagą, niekiedy z dziką, straszną radością śledził szkaradne linie, przecinające pomarszczone czoło i okrążające grube, zmysłowe usta. Nieraz też zapytywał sam siebie, co było straszniejsze: ślady grzechów czy starości? Przykładał swe białe, wydelikaczone palce do szorstkich, nabrzmiałych rąk na portrecie i uśmiechał się. Naigrawał się z oszpeconej postaci i zniedołężniałych członków.

Zdarzały się wprawdzie chwile w porze nocnej, gdy bezsenny leżał w swym pokoju, w którym unosił się lekki zapach perfum, lub w brudnej mansardzie osławionej knajpy portowej, gdzie zwykł był chodzić w przebraniu i pod przybranym nazwiskiem — zdarzały się chwile, gdy z litością, tym bardziej palącą, że egoistyczną, musiał myśleć o ruinie, do której doprowadził swą duszę. Ale chwile takie były nader rzadkie. Owa ciekawość życia, którą w nim obudził lord Henryk onego dnia, gdy razem siedzieli w ogrodzie przyjaciela, zdawała się potęgować, w miarę

jak ją zaspokajał. Im więcej wiedział, tym więcej pragnął wiedzieć. Trawił go szaleńczy głód, tym gwałtowniejszy, im bardziej go zaspokajały.

Właściwie nie zachowywał się lekceważąco, a przynajmniej nie w stosunkach towarzyskich. Raz lub dwa razy miesięcznie w porze zimowej i co środę podczas sezonu otwierał podwoje swego pięknego domu i spraszał najznakomitszych muzyków, by cudami swego arcyzmu czarowali jego gości. Jego obiady, przy których urządzaniu zawsze mu pomagał lord Henryk, sławne były zarówno ze starannego doboru i rozmieszczenia gości, jak z wykwintnego gustu w dekoracji stołów, symfonicznych zestawień egzotycznych kwiatów, haftowanych obrusów i antycznych zastaw ze złota i srebra. Toteż wielu, zwłaszcza wśród ludzi bardzo młodych, widziało lub pragnęło widzieć w Dorianie uosobienie typu, o którym nieraz marzyli w Eton lub Oksfordzie — typu mającego jednocześnie w sobie niektóre cechy prawdziwej kultury uczonego z całym wdziękiem, dystynkcją i wykwintnym sposobem bycia światowca. Podług ich pojęcia należał on do tych, o których mówi Dante, że „usiłowali się doskonalić, wielbiąc piękno”. Podobnie jak Gautier, należał do ludzi, dla których „świat widzialny istniał”.

I bezsprzecznie życie było dlań sztuką najpierwszą i największą. Wszystkie inne sztuki były tylko przygotowaniem do życia. Moda, dzięki której prawdziwa fantastyczność na chwilę staje się powszechną, dandyzm, usiłujący na swój sposób podkreślić całkowitą współczesność piękna, posiadały dla niego oczywiście swój urok. Jego sposób ubierania się, rozmaite style, którymi się od czasu do czasu przejmował, wywierały widoczny wpływ na młodych elegantów z balów w Mayfair i z klubów na Pall-Mall, kopiujących go na każdym kroku i pragnących przyswoić sobie krótkotrwałą czar jego wdzięcznych, przez niego samego tylko na wpół serio traktowanych fantazji.

Chociaż aż nazbyt pochopnie korzystał ze stanowiska, jakie na niego czekało natychmiast po dojściu do pełnoletności, znajdując nawet pewną subtelność przyjemności w myśli, że dla współczesnego Londynu może się stać tym, czym za czasów Nerona był autor *Satiriconu* — niemniej w głębi duszy nie wystarczała mu rola „arbitra elegancji”, u którego zasięgano rady co do noszenia jakiegoś klejnotu, wiązania krawatu lub sposobu — trzymania laski. Usiłował wynaleźć nowy system życia, który by posiadał własną swą logiczną filozofię i ustalone zasady, a którego najwyższym celem byłoby uduchowanie zmysłów.

Często i słusznie oburzano się na kult zmysłów, człowiek bowiem ma w sobie naturalny instynkt trwogi przed namiętnościami i popędami, które zdają się silniejsze od niego samego, a które, jak on wie, dzieli z twórcami o niższym stopniu rozwoju. Dorian Gray jednak mniemał, że prawdziwa istota zmysłów nigdy nie została zrozumiana i że zmysły dlatego tylko pozostały dzikie i zwierzęce, ponieważ świat chciał je głodem i bólem zmusić do uległości i zamarcia, zamiast dążyć do wytworzenia z nich czynników nowej duchowości, której cechą znamionną byłby subtelny zmysł piękna. Patrząc wstecz na pochod dziejowy człowieka, doznawał uczucia straty. Tyle poświęcono i tak mało osiągnięto! Istniały dzikie, samowolne okaleczenia, oburzające rodzaje samoudręki i poświęcenia, których przyczyną była obawa, a rezultatem poniżenie — straszniejsze od owego urojonego poniżenia, którego w nieświadomości swej starano się uniknąć. Natura bowiem z dziwną ironią kazała anachorecie żywić się wraz z dzikimi zwierzętami pustyni, a pustelnikowi przydała za towarzyszy bydełko.

Tak, lord Henryk słusznie przepowiada: musi nadejść epoka nowego hedonizmu, który ponownie ukształtuje życie i uchroni je od owego surowego, brzydkiego purytanizmu, święcącego w naszych czasach swe dziwne zmartwychwstanie. Oczywiście, że życie to ustanowi swój kult intelektu, nigdy jednak nie przyjmie żadnej teorii ani systemu rezygnujących z przeżycia jakiegokolwiek namiętności. Celem jego ma być samo doświadczenie, nie zaś owoce doświadczenia, bez względu na to, czy będą one słodkie, czy gorzkie. Ma ono być zarówno

dalekie od ascetyzmu zabijającego zmysły, jak od ordynarnej rozpusty, która je stępią. Ma uczyć człowieka zdolności koncentrowania się na danej chwili życia, które samo jest tylko chwilą.

Chyba prawie każdy z nas czuł kiedyś przed wschodem słońca, już to po jednej z owych bezsennych nocy, przyprowadzającej nas niemal o zakochanie się w śmierci, już to po jednej z owych nocy lęku i szpetnych uciech, gdy przez komórki mózgu przeciągają majaki, potworniejsze jeszcze od rzeczywistości, a ożywione tym intensywnym życiem utajonym we wszelkiej groteskowości, które nadaje również gotykowi trwałą siłę życiową, gdyż sztuka ta wydaje się przede wszystkim sztuką tych, których dusze zasępia choroba marzenia. Z wolna białe palce wsuwają się przez firanki i zdają się drżeć. Niby czarne, fantastyczne postacie — nieme cienie pełzają po kątach pokoju i tam się układają. Na dworze słychać szelest ptaków w listowiu lub kroki ludzi idących do roboty albo jęki i westchnienia wiatru, który zlatuje ze wzgórza i okrąża cichy dom, jakby się bał zbudzić śpiącego, a jednak musiał odwołać sen z jego fioletowej jaskini. Zasłona po zasłonie z cienkiej przezrystej gazy z wolna się podnosi, rzeczy odzyskują kształty i barwy i widzimy, jak nadchodzący dzień oddaje światu dawne jego oblicze. Błede zwierciadła znów otrzymują swe życie odtwórcze. Wygasłe świece stoją, gdzie je pozostawiliśmy, a obok nich leży na wpół rozcięta książka, którą czytaliśmy, lub drutem opleciony kwiat, który nosiliśmy na balu, albo list, który obawialiśmy się przeczytać lub czytaliśmy zbyt często. Wszystko wydaje się nie zmienione. Ze złudnych cieni nocy wyłania się prawdziwe, znane nam życie. Musimy je podjąć, gdzie zostało przerwane, i ogarnia nas uczucie straszne — uczucie konieczności zmuszającej do ciągłego zużywania sił w nużącym kole codziennych wydarzeń lub też porывa nas dzika tęsknota, by pewnego poranka oczy nasze otworzyły się na świat, co w mroku na nowo został stworzony ku naszej radości, na świat, w którym rzeczy mają barwy i kształty nowe albo zmienione lub też kryją w sobie nowe tajemnice; na świat, w którym przeszłość nie zajmowałaby wcale miejsce albo bardzo mało, a w każdym razie nie w świadomej formie powinności czy skruchy, bo nawet wspomnienie radości posiada swą gorycz jak wspomnienie rozkoszy — swój ból.

Tworzenie takich światów uważał Dorian Gray za istotne zadania życia lub przynajmniej za jedno z właściwych jego zadań, a w poszukiwaniu wrażeń nowych i rozkosznych posiadających ową przymieszkę egzotywności, tak nieodłączną od romantyzmu, schodził na tory myślowe, o których wiedział, że obce są jego prawdziwej naturze, niemniej jednak poddawał się ich subtelnemu czarowi. Poznawszy wszakże prawdziwe ich zabarwienie i zaspokoiwszy swą ciekawość, porzucał je z ową dziwną obojętnością, która wcale nie wyklucza, a podług niektórych psychologów współczesnych — warunkuje nawet prawdziwą płomiennosc temperamentu.

Pewnego razu rozeszła się wieść, że pragnie przyjąć obrządek rzymskokatolicki; istotnie rzymski rytuał miał dla niego zawsze wielki urok. Codzienna ofiara, straszniejsza zaiste od wszystkich ofiar starego świata, podniecała go zarówno dumną rezygnacją ze świadectwa zmysłów, jak również pierwotną prostotą swych składników i wiecznym patosem ludzkiej tragedii, której pragnie być symbolem. Lubił klęczeć na marmurowych posadzkach i obserwować księdza, jak w sztywnej szacie kształtem przypominającej kielich kwiatu odchyłał białymi dłońmi zasłonę tabernakulum lub wznosił do góry w klejnoty zdobną monstrancję z białym opłatkiem, który czasami naprawdę zdaje się *panis coelestis*, chlebem anielskim, albo też jak przybrany w szaty Męki Pańskiej, nad kielichem łamie hostię i w piersi się bije za swe grzechy. Dymiące kadzielnice, kołysane przez poważnych chłopców w koronkach i szkarłacie, niby duże złociste kwiaty, wprost go oczarowały. Wychodząc, patrzył z podziwem na czarne konfesjonały i pragnął siedzieć w ich mrocznym cieniu i słuchać, jak mężczyźni i kobiety opowiadają szeptem przez wytarte kraty prawdziwą historię swego życia.

Nigdy jednak nie popadł w błąd powstrzymania swego rozwoju umysłowego przez formalne przyjęcie jakiegoś obrządku lub systemu i nigdy też nie uważał za dom mieszkalny tego, co jest tylko hotelem, gdzie można spędzić jedną noc lub tylko kilka godzin nocnych, kiedy na niebie ani jedna nie świeci gwiazda, a księżyc walczy z chmurami. Mistyka, posiadająca dziwną moc nadawania najzwyczajszym rzeczom cech czegoś niezwykłego i cudownego, i subtelne sprzeczności, zdające się jej stale towarzyszyć, więziły go przez cały jeden sezon; w ciągu innego sezonu skłaniał się ku materialistycznym doktrynom darwinistycznego kierunku w Niemczech, znajdując dziwną rozkosz w śledzeniu ludzkich myśli i namiętności aż do najdrobniejszej komórki mózgu, aż do najsubtelniejszego nerwu w organizmie; upajał się myślą o bezwzględnej zależności ducha od pewnych określonych stanów fizycznych, chorobliwych lub nie, normalnych czy anormalnych. Ale, jak już powiedzieliśmy,<sup>1</sup> żadna teoria życiowa nie miała dlań wartości w porównaniu z samym życiem. Był zupełnie świadomy tego, jak bezpłodna jest wszelka spekulacja intelektualna, oderwana od czynu i doświadczenia. Wiedział, że zmysły nie mniej od duszy mają do objawienia swe własne tajemnice duchowe.

Studiował więc perfumy i tajemnicę ich wytwarzania, destylował olejki o duszących zapachach i palił wonną gumę ze Wschodu. Sądził, że nie ma nastroju ducha, który by się nie odzwierciedlał w życiu zmysłów, i usiłował odkryć ich prawdziwy wzajemny stosunek, pytając siebie, czemu kadzidło wytwarza nastrój mistyczny, a ambra budzi namiętności; czasem zapach fiołków wywołuje wspomnienia umarłych romantycznych przeżyć, piżmo oszałamia umysł, a woń magnolii zabarwia fantazję. I starał się uchwycić prawdziwą psychologię zapachów i określić różnorodne działanie słodko woniejących korzeni, oszałamiających, pyłkiem okrytych kwiatów, aromatycznej oliwy i ciemnego, wonnego drzewa; spikanard przyprawiał o chorobę, hovenia o szaleństwo, a aloesy mogły podobno uleczyć duszę z melancholii.

Innym razem całkowicie się oddawał muzyce. W długiej witrażowej sali, o szkarłatnożółtawym suficie i o ścianach z zielonkawej laki, odbywały się niezwykle koncerty. Cyganie wydobywali tu dzikie dźwięki z małych cytr, poważni grajkowie z Tunisu w żółtych szatach szarpali mocno napięte struny olbrzymich lutni, a Murzyni z wyszczerzonymi zębami monotonnie uderzali w miedziane bębny. Na purpurowych matach leżeli smukli Hindusi strojni w turbany, grali na długich piszczałkach z trzciny lub metalu, rzucając czar — przynajmniej pozornie — na olbrzymie, zakapturzone węże i straszne żmije. Dzikie przeskok i jaskrawe dysonanse barbarzyńskiej muzyki czarowały go wówczas, gdy wdział Schuberta, cudowny smutek Chopina i potężne harmonie Beethovena nie czyniły na nim wrażenia. Ze wszystkich stron świata zbierał najdziwniejsze instrumenty, jakie tylko mógł odkryć w grobach wymarłych ludów lub u tych rzadkich dzikich szczepów, co przeżyły zetknięcie z cywilizacją Zachodu; doznawał przyjemności w dotykaniu ich i próbowaniu. Posiadał tajemnicze *juruparis* Indian z Rio Negro, na które nie wolno spojrzeć żadnej kobiecie, a które i młodzieniec może oglądać dopiero po poście i biczowaniu, posiadał gliniane naczynia Peruwiańczyków, naśladowujące przenikliwy głos ptaków, flety z ludzkich kości, których muzyki słuchał był w Chile Alfonso de Ovalle, i dźwięczne zielone jaspisy z Cuzco, o brzmieniu dziwnie słodkim. Posiadał pomalowane tykwy, napełnione żwirem, brzęczące przy potrząsaniu, długie klarnety meksykańskie, w które grający nie dmie, lecz wciąga nimi powietrze, prymitywne *ture* plemion zamieszkujących dorzecze Amazonki, na których grają strażę, siedząc całymi dniami na wysokich drzewach, a które słyhać podobno o trzy mile wokoło; posiadał *teponaztli* o dwóch drewnianych językach, w które się uderza kijami, potartymi elastyczną gumą z mlecznych soków roślinnych, i *yotl*, dzwony Azteków, zwisające niby pęki winogrodu, i wielki bęben w kształcie cylindra, obciągnięty skórą olbrzymich węzów, podobny do tego, jaki widział Bernal Diaz, kiedy z Kortezem szedł do świątyni meksykańskiej, i o którego żalonych tonach pisał z takim

przejęciem. Zachwycała go fantastyczność tych instrumentów i cieszył się, że sztuka, tak samo jak natura, posiada swe potwory; instrumenty o zwierzęcym kształcie i potwornym brzmieniu. Niebawem jednak wszystko to go znudziło i znów siadywał w swojej łoży w operze, sam lub z lordem Henrykiem, z zachwytem wsłuchując się w *Tannhausera* i odnajdując w preludium wielkiego dzieła tragedię własnej swej duszy.

Pewnego razu rozpoczął studia nad klejnotami i na balu kostiumowym ukazał się jako Anne de Joyeuse, admirał Francji, w stroju zdobnym w pięćset sześćdziesiąt pereł. Studia te zajmowały go przez parę lat i nigdy nie straciły dlań uroku. Nieraz spędzał cały dzień na wyjmowaniu i porządkowaniu swych klejnotów. Posiadał znaczne zbiory: oliwkowy aleksandryt, czerwieniejący w świetle lampy, chryzoberyle o cienkich jak niteczki srebrnych żyłkach, perydoty koloru pistacji, różowe i winnożółte topazy, karbunkuły z płomiennego szkarłatu o drżących czteropromiennych gwiazdach, purpurowe granaty, zielone hiacenty, pomarańczowe i fioletowe spinelle i ametysty o mieniących się tonach rubinu lub szafiru. Lubił czerwone złoto kamienia słonecznego, perlistą biel kamienia księżycowego i załamującą się tęczę mlecznych opali. Sprowadził sobie z Amsterdamu trzy szmaragdy niezwyklej wielkości i przepychu barwy, nadto posiadał turkus *de la vieille roche*\*, będący przedmiotem zawiści wszystkich znawców.

Odkrywał też cudowne historie, odnoszące się do klejnotów. *Clericalis disciplina* wspominała o wężu, mającym oczy z prawdziwego hiacyncu, a w romantycznej historii Aleksandra zwycięzca z Emathii widział podobno w dolinie Jordanu węże, „których grzbiety okryte były sznurami szmaragdów”. „W mózgu smoka, opowiada Filostratos, znajduje się kamea, a potwora można zabić lub wprawić w sen magiczny za pomocą czerwonej szaty ze złożonymi literami.” Zdaniem wielkiego alchemika Piotra de Boniface diament zdolny jest uczynić człowieka niewidzialnym, a indyjski agat może mu użyczyć wymowy. Karneol gasi gniew, hiacync wywołuje sen, a ametyst rozwiewa opary wina. Granat wypędza demony, a hydropikus pozbawia blasków tarczę księżyca. Selenit rośnie i maleje wraz z księżycem, a malokeus wykrywający złodziei rozpuszcza się tylko w krwi młodych koźląt. Leonardus Camillus widział na własne oczy, jak biały kamień, niezawodny środek przeciw truciznie, wyjęty został z mózgu dopiero co zabitej ropuchy. Bezoar znaleziony w sercu arabskiego jelenia posiada własności czarnoksięskie, odpędzające zarazę. W gniazdach ptaków arabskich leżą aspilaty chroniące, podług Demokryta, tego, co je nosi, od niebezpieczeństwa ognia.

Król Cejlonu objeżdżał swą stolicę z wielkim rubinem w rękę, na znak, że został ukoronowany. Bramy pałacu Jana, legendarnego władcy krajów wschodnich, były wybudowane „z sardyku i zaopatrzone w róg węża rogatego, aby nikt nie mógł przejść tamtędy z trucizną”. U szczytu były umieszczone dwa „złote jabłka z dwoma karbunkułami”, by we dnie świeciło złoto, a w nocy płonęły karbunkuły. W dziwnym romansie Lodge’a *Małgorzata z Ameryki* znajdowała się wzmianka, że w pokoju królowej można było widzieć wszystkie niepokalane dziewice całego świata, jak odlane w srebrze patrzyły przez cudne zwierciadła z chryzolitów, karbunkułów, szafirów i zielonych szmaragdów. Marco Polo widział był, jak mieszkańcy Zipangu zmarłym swym wkładają do ust różowe perły. Potwór morski zakochany w perle, którą nurek wyłowił i zaniósł królowi Perozesowi, zabił złodzieja i przez całe siedem miesięcy biadał nad swą stratą. Kiedy Hunowie zwabili króla do przepaści, wówczas — jak opowiada Prokop — rzucił daleko za siebie perłę, której jednak nie odnaleziono nigdy, pomimo że cesarz Anastazy przyrzekł za nią wypłacić pięćset funtów złota. Król Malabaru pokazał pewnemu weneccjaninowi różaniec z trzystu czterech pereł, z których każda poświęcona była innemu przez niego czczonemu bóstwu.

Gdy ksiązę Walencji, syn Aleksandra VI, odwiedzał Ludwika XII we Francji, rumak jego, według słów Brantôme’a, okryty był girlandami ze złotych liści, a na czapce jeźdźca płonęły dwa

\* perski turkus (fr.)

sznury rubinów, siejąc wokół światło płomienne. Karol, król angielski, miał u siodła swojego strzemiona, w które wprawiono czterysta dwadzieścia jeden diamentów. Ryszard II nosił szatę wartości trzydziestu tysięcy marek, okrytą olbrzymimi rubinami. Hali opisuje, że Henryk VIII, jadąc przed koronacją do Tower, włożył „suknię przetykaną złotem, wyszytą diamentami i innymi drogimi kamieniami, a na szyję ciężki łańcuch z rubinów”. Faworyci Jakuba I nosili kolczyki ze złota, w którym kunsztownie osadzone były szmaragdy. Edward II obdarzył Piersa Gavestona czerwonozłocistą zbroją wysadzaną hiacyntami, łańcuchem ze złotych róż z turkusami i czapczką usianą perłami. Henryk II nosił aż po łokcie sięgające rękawiczki, zdobne rubinami i pięćdziesięcioma dwiema perłami. Kapelusz książęcy Karola Śmiałego z Burgundii, ostatniego księcia tej dynastii, był obwieszony perłami w kształcie gruszek i wysadzany szafirami.

Jakże życie było ongi wspaniałe! Jak piękne w swym zbytku i przepychu! Już samo czytanie o wspaniałościach, które były własnością ludzi nieżyjących, dostarczało precudnych wrażeń.

Po pewnym czasie zaczął się zajmować haftami i gobelinami, które w zimnych mieszkaniach północnych ludów Europy zastępowały freski. Zagłębiwszy się w tym przedmiocie — bo posiadał w najwyższym stopniu zdolność poddawania się całkowicie upodobaniu chwili — uległ niemal melancholii, rozmyślając nad tym, jakie zniszczenie czas sprowadził był na wszystko, co piękne i wspaniałe. On przynajmniej uszedł jego niszczycielskiej dłoni. Mijało lato po lecie, żółte żonkile kwitły i umierały, a straszliwe noce powtarzały historię jego hańby; pozostał jednak nie zmieniony. Żadna zima nie oszpeciła jego twarzy, nie zniszczyła jego kwitnącej piękności. Jakże inaczej z rzeczami materialnymi! Co się z nimi stało? Gdzie owa szata koloru rozkwitłych krokusów, przedstawiająca walkę bogów z olbrzymami, a utkana przez czarnookie dziewczęta, ku radości Ateny? Gdzie olbrzymie *velarium*, które Nero rozpiął był nad Koloseum, ów tytaniczny żagiel z purpury, na którym widniało niebo gwiazdziste i Apollo na wozie ciągnionym przez białe rumaki w złotej uprzęży? Paliło go pragnienie zobaczenia dziwnych obrusów kapłana słońca, na których rozłożone były wszystkie mięsiwa i łakocie używane przy ucztach, albo całunu króla Helperyka z trzystu złotymi pszczołami lub fantastycznych szat, wywołujących oburzenie biskupa pontyjskiego, na których widniały „lwy, pantery, psy, skały, myśliwi — wszystko, co malarz może kopiować z natury”. Chciał zobaczyć suknię noszoną niegdyś przez Karola Orleańskiego, na której rękawach wyhaftowany był złożonymi literami tekst pieśni zaczynającej się od słów: „*Madame, je suis tout joyeux*”<sup>\*</sup>, a także akompaniament muzyczny, przy czym każda z czterokątnych podówczas nut wykonana była z czterech pereł. Czytał o komnacie, urządzonej w pałacu w Reims dla burgundzkiej królowej Joanny, gdzie „można było widzieć tysiąc trzysta i dwadzieścia jeden papug haftowanych z godłem króla i pięćset sześćdziesiąt jeden motyli, o skrzydełkach zahaftowanych godłem królowej, a wszystko to wykonane w złocie”. Katarzyna Medycejska kazała sobie sporządzić śmiertelne łoże z czarnego aksamitu, całe usiane księżycami i słońcami; kotary z adamaszku w girlandy i listowie na złotym i srebrnym tle obrzeżone były haftem z pereł. Łoże to ustawione było w komnacie, w której wisały na ścianach rzędem godła królowej, wykonane z czarnego aksamitu na srebrnej tkaninie. Ludwik XIV miał w swych apartamentach złotem haftowane kariatydy piętnastu stóp wysokości. Zbytkowne łoże króla polskiego Sobieskiego było ze smyrneńskiego złotego brokatu, na którym turkusami wyhaftowano cytaty z Koranu; kolumny łoża były z pozłacanego srebra, gęsto wykładane emaliowanymi medalionami i szlachetnymi kamieniami. Łoże to zostało zabrane jako łup z obozu tureckiego pod Wiedniem, a pod złotym sztychem jego baldachimu stała chorągiew Mahometa.

Przez ciąg jednego roku zbierał najkosztowniejsze okazy tkanin i haftów. Sprowadzał najdelikatniejsze muśliny z Delhi, haftowane w złote gałęzie i wyszyte w połyskliwe skrzydełka

<sup>\*</sup> Pani, jestem pełen radości (fr.)

chrabąszczy; gazy z Dacca dla swej przejrzystości zwane na Wschodzie „tkanym powietrzem”, „płynącą wodą” i „rosą wieczorną”, dziwne, w figury zdobne materiały z Jawy; kunsztownie wyrabiane makaty chińskie, książki w oprawach z brązowego atłasu lub jasnoblękitnego jedwabiu, ozdobione obrazami, ptakami i *fleurs de lys*\*, węgierskie koronkowe welony z *lacis*, sycylijskie brokaty i sztywne aksamity hiszpańskie; wyroby gruzińskie, obrzeżone złotymi monetami, wreszcie japońskie *foukousas* ze złoceniami o zielonawym odcieniu i cudownie upierzonymi ptakami.

Miał też szczególne upodobanie do szat kapłańskich, jak w ogóle do wszystkiego, co miało związek z ceremoniałem kościelnym. W długich skrzyniach cedrowych, ustawionych w zachodniej galerii jego domu, mieściły się rzadkie i przepiękne egzemplarze tego, co się składa na strój oblubienicy Chrystusowej noszącej purpurę, klejnoty i najdelikatniejsze płótna, by ukryć blade, wymęczone ciało, zamierające z cierpienia, którego sama szuka, i krwawiące ranami, które sama sobie zadaje. Posiadał kapę z czerwonego jedwabiu i złotem przetykanego adamaszku, haftowaną w złote girlandy owoców granatu otoczonych sześciolistnymi pączkami, a z obu ich stron widniało godło: ananas haftowany drobnymi perłami. Brzeg dalmatyki podzielony był na osobne pola; widniały na nich sceny z życia Przenajświętszej Dziewicy, a Jej koronację przedstawiał kolorowy haft na kapturze. Była to włoska robota z XV wieku. Inna kapa była z zielonego aksamitu, haftowana liśćmi akantusa, w kształcie serca; wykwitające spośród nich białe kwiaty na długich łodygach wykończone były srebrnymi niciami i różnokolorowymi kryształami. Na klamrze widniała głowa serafina, wspaniale wykonana złotą nicią. Brzeg tkaniny, we wzory z czerwonego i złotego jedwabiu, był ozdobiony medalionami rozmaitych świętych i męczenników, między innymi także świętego Sebastiana. Miał też alby kapłańskie z bursztynowego i błękitnego jedwabiu, ze złotego brokatu, z żółtego jedwabnego adamaszku i złotego sukna, ozdobione symbolami męki i ukrzyżowania Chrystusa oraz haftowanymi lwami, pawiami i innymi emblematami; dalmatyki z białego jedwabiu i różowego adamaszku haftowane w tulipany, delfiny i *fleurs de lys*. Antependium na ołtarze z czerwonego aksamitu i błękitnego płótna, welony na kielichy, korporaly i sudarium. Mistyczne obrzędy, do których wszystkie te skarby służyły, pobudzały i podniecały jego wyobraźnię.

Bo wszystkie zbiory i osobliwości, mieszczące się w jego przepięknym mieszkaniu, uważał tylko za środki dające mu zapomnienie, za sposoby uwolnienia się bodaj na pewien czas od trwogi, której często nie był w stanie znieść. Na ścianie pustego, zamkniętego pokoju, w którym spędził większą część młodości, zawiesił własnoręcznie straszny portret, którego zmienione rysy ukazywały mu prawdziwe upodlenie jego życia. Obraz zasłonił purpurowozłocistą draperią. Całymi tygodniami tam nie wchodził, zapominał o potwornym malowidle, odzyskiwał swobodę, wspaniałą radość życia i w niej się cały pogrążał. Aż nagle którejś nocy wymykał się znów do owych osławionych lokali koło Blue Gate Field i pozostawał tam przez parę dni, dopóki tylko mógł. Po powrocie siadywał nieraz przed portretem, czasem nienawidząc portretu i siebie, lecz często też przejęty dumą z własnej indywidualności, zawierającej w sobie jakiś czar właściwy grzechowi. I z tajemną radością uśmiechał się do potwornego cienia, zmuszonego nosić ciężar, który właściwie był przeznaczony dla niego.

Po kilku latach nie był już w stanie bawić przez dłuższy czas za granicą. Porzucił willę w Trouville, którą dzielił z lordem Henrykiem, zarówno jak biały domek w Algierze, gdzie z nim niejedną spędził był zimę. Nie znosił rozłąki z portretem stanowiącym część jego życia, a także obawiał się, by w czasie jego nieobecności ktoś nie wtargnął do pokoju, pomimo wymyślnych zatrząsków, jakimi zaopatrzył był drzwi.

\* kwiatami lilii (fr.)



Wiedział, że portret sam przez się nie mógłby nic powiedzieć. Prawda, że mimo całego ciężącego na nim zepsucia i brzydoty, wykazywał dotąd uderzające podobieństwo do niego, ale cóż z tego wynika? Wyśmiałyby każdego, kto odważyłby się czynić jakieś aluzje. On go przecież nie malował. Co go obchodzi, że obraz wygląda ohydnie i podle? Gdyby nawet wyjaśnił przyczynę, czyżby mu uwierzono?

A jednak się obawiał. Nieraz, bawiąc we wspaniałej siedzibie wiejskiej w Nottinghamshire, gdzie gościł młodych elegantów swojej sfery, stanowiących główne jego towarzystwo, i olśniewając całą okolicę wyzywającym przepychem i zbytkowną świetnością swego trybu życia, nagle porzucał gości i szybko wracał do Londynu, by się przekonać, czy się ktoś nie dostał do zamkniętego pokoju i czy obraz jest jeszcze na swym miejscu. Gdyby go tak skradziono! Na samą tę myśl drętwiał ze strachu. Świat dowiedziałby się o jego tajemnicy. Kto wie, czy się już czego nie domyślano.

Bo chociaż wielu czarował swą osobowością, niemniej byli też tacy, w których budził nieufność. Omalże mu nie odmówiono przyjęcia do jednego z klubów w West End, pomimo że stanowisko społeczne i pochodzenie całkowicie go uprawniały do godności członka, a opowiadano sobie także, że gdy przy jakiejś sposobności został przez przyjaciela wprowadzony do klubu „Churchill”, książę Berwick i jeszcze jeden dżentelmen ostentacyjnie wstali i wyszli. Dziwne o nim obiegały wieści, kiedy ukończył rok dwudziesty piąty. Szeptano sobie, że widziano go biorącego udział w bójce z cudzoziemskimi marynarzami w podłej knajpie odległej dzielnicy Whitechapel, że obcuje ze złodziejami i fałszerzami monet i dobrze jest obznajomiony z tajemnicami ich rzemiosła. Zauważono jego częste i długie wyjazdy, a kiedy się znów zjawiał w towarzystwie, przechodzono mimo niego z szyderczym uśmiechem lub mierzono go zimnym, badawczym spojrzeniem, jakby postanawiając wykryć jego tajemnicę.

Oczywiście, że nie zwracał uwagi ani na podobne niegrzeczności, ani na rozmyślne ignorowanie go, a jego szczery, dobronurczy sposób bycia, czarujący dziecinny uśmiech i niezmienny wdzięk cudownej młodości, zdającej się go nigdy nie opuszczać, były dla większości ludzi dostateczną odpowiedzią na owe oszczerstwa — bo za takie uważano głosy skierowane przeciw niemu. Zauważono jednak, że niektórzy z tych, co najściślej z nim obcowali, po pewnym czasie zaczęli go unikać. Kobiety, obdarzające go poprzednio namiętym uwielbieniem, wystawiające się dla niego na obmowę i łamiące towarzyskie konwencje, bladły z lęku i wstydu, gdy Dorian Gray wchodził do pokoju.

Te skandaliczne pogłoski jednak w oczach wielu potęgowały tylko dziwny a niebezpieczny urok, jaki wywierał. Olbrzymi jego majątek stanowił także czynnik bezpieczeństwa. Wyższe towarzystwo, a przynajmniej klasa ucywilizowana, nigdy nie są skłonne uwierzyć w coś złego o ludziach, którzy są zarazem bogaci i zachwycający. Klasa ta instynktownie czuje, że formy ważniejsze są od moralności, a najwyższa uczciwość mniejszą w ich oczach ma wartość niż posiadanie dobrego kucharza. I zaiste, marna to pociecha, gdy o człowieku podejmującym swych gości lichym obiadem lub kiepskim winem opowiadają, iż prowadzi życie nienaganne. Nawet najwyższe cnoty nie są w stanie okupić na wpół zimnych dań, jak to raz przy sposobności zauważył był lord Henryk, a kto wie, czy nie dałoby się wiele powiedzieć na poparcie tego twierdzenia. Bo w dobrym towarzystwie obowiązują te same zasady co w sztuce, a przynajmniej powinno by tak być. Forma jest rzeczą najważniejszą. Winna posiadać godność ceremonii, a także jej nierealność; winna nieszczerzy charakter romantycznej sztuki scenicznej jednoczyć z dowcipem i pięknnością, dzięki którym sztuka taka staje się rozkoszą. Czyżby nieszczerłość była czymś strasznym? Nie sądzę. Jest tylko środkiem do zwielokrotnienia naszej indywidualności.

Takie było przynajmniej mniemanie Doriana Graya. Dziwiła go płytka psychologia tych, co człowiecze „ja” uważali za coś trwałego, prostego, pewnego i jednolitego. Dla niego człowiek

był istotą o miriadach żywotów i miriadach uczuć, stworzeniem skomplikowanym, różnolitym, noszącym w sobie dziwną spuściznę myśli i namiętności, którego ciało nawet skażone było potwornymi chorobami umarłych. Lubił się wałęsać po zimnej, wysokiej galerii swej wiejskiej siedziby i wpatrywać się w przeróżne portrety tych, których krew płynęła w jego żyłach. Tu wisi Filip Herbert, o którym Francis Osborne w swych *Pamiętnikach z czasów królowej Elżbiety i króla Jakuba* opowiada, że był „pieszczony i psuty przez cały dwór gwoli pięknej twarzy, której urok był jednak krótkotrwały”. Czy on sam wie gdzie może niekiedy życie młodego Herberta? Czy dziwne, trujące zarodki przechodziły z ciała do ciała, aż wpełzły w jego organizm? Czy gnało go wówczas jakieś niejasne poczucie swego przedwcześnie utraconego wdzięku, gdy tak nagle, stanowczo i bez powodu wyraził w pracowni Bazylego Hallwarda to szalone życzenie, które tak zmieniło jego życie? Opodal widnieje portret sir Antoniego Sherarda, w czerwonym, złotem wyszywanym kaftanie, klejnotami zdobnej szacie wierzchniej, w kołnierzu ze złotą frędzlą i takich samych mankietach, z ciężką, srebrzystą zbroją u stóp. Jaką mu pozostawił spuściznę? Czy po kochanku Giovanni di Napoli otrzymał w spadku grzech i hańbę? Czy własne jego czyny nie były niczym innym jak tylko marzeniami, których zmarły nie śmiał urzeczywistnić? Tam, z płowiejącego płótna, uśmiecha się lady Elżbieta Devereux, w swym kapturku z gazy, w staniku naszytym perłami i różowych, rozciętych rękawach. W prawej ręce trzyma kwiat, a lewą obejmuje emaliowany naszyjnik z białych damasceńskich róż. Obok niej na stole leży mandolina i jabłko. Duże zielone rozety zdobią jej małe, spiczaste trzewiki. Znał jej życie i dJwy, które opowiadano o jej kochankach. Czy odziedziczył także coś z jej temperamentu? Te owalne oczy o ciężkich powiekach zdawały mu się przyglądać z ciekawością. A George Willoughby z pudrowanymi włosami i fantastycznymi muszkami na twarzy? Jakie zło bije od niego? Twarz ma posępną i chmurną, a zmysłowe usta wykrzywia grymas pogardy. Cieniuchne koronkowe mankiety opadają na żółte chude ręce przeładowane pierścieniami. Był *macaroni*\* osiemnastego wieku, w młodości swej przyjaźnił się z lordem Ferrarsem. A drugi lord Beckenham, towarzysz księcia regenta z najdzikszej jego epoki i jeden ze świadków tajemnych zaślubin z panią Fitzherbert! Jakże był piękny i dumny ze swym bujnym ciemnym włosiem i tą wyzywającą postawą! Jakie namiętności ten mu przekazał? U współczesnych miał opinię najgorszą. On to był przywódcą orgii w Carlton House. Gwiazda Orderu Podwiązki błyszczała mu na piersi. Obok niego wisiał portret żony, bladej damy o cienkich wargach, ubranej na czarno. Także jej krew krążyła w jego żyłach. Jakie to wszystko dziwne! A jego matka z twarzą lady Hamilton i wilgotnymi, winem odświeżonymi ustami! Wiedział, co odziedziczył po niej: swą piękność i miłość dla piękności innych. Śmiała się do niego w swym swobodnym stroju bachantki. Na głowie miała wieniec z winnej latorośli. Purpura przelewała się z kielicha, który trzymała w dłoni. Karnacja ciała wypełzła już na obrazie, ale oczy ciągle jeszcze świeciły głębią i intensywnością koloru. Zdawały się biec za nim, gdzie się tylko ruszył.

Jednak człowiek ma swych przodków zarówno w literaturze, jak i we własnym rodzie, może ci pierwsi są mu nawet bliżsi typem i temperamentem, przynajmniej niektórzy, a bez wątpienia wywierają wpływ, który sobie można wyraźniej uświadomić. Były czasy, kiedy się Dorianowi zdawało, że cała historia ludzkości jest tylko opowiadaniem własnego jego życia, nie tego, jakim żył w rzeczywistości, lecz tego, które sobie stwarzał wyobraźnią i które istniało w jego mózgu i namiętnościach. Czuł, że zna wszystkie te dziwne, straszne postacie, które przesunęły się po scenie świata i uczyniły grzech czymś tak pociągającym, a zło czymś tak subtelnym. Niekiedy zdawało mu się, jakby tajemniczym jakimś sposobem ich życia były jego życiem.

Bohater tej wspaniałej książki, która taki wpływ zyskała nad jego życiem, znał również to uczucie. Wszak w siódmym rozdziale opowiada, jak uwieńczony wawrzynem, by piorun weń nie

\* dandysem, elegantem (wł.)

uderzył, siedział jako Tyberiusz w ogrodzie na Capri, czytając ohydne książki, podczas gdy karły i pawie kroczyły koło niego, a flecista szydził z niewolnika poruszającego kadzielnicą; jako Kaligula upijał się w stajni z chłopcami stajennymi w zielonych kaftanach i pospołu z koniem przystrojonym w klejnoty jadł ze żłobu z kości słoniowej; jako Domicjan przechadzał się po długim korytarzu z lśniących marmurów, szklanym wzrokiem szukając sztyletu, co miał skrócić dni jego żywota — on, chorujący na ową *ennui*\*, owo *taedium vitae*\*, opanowujące ludzi, którym życie niczego nie odmówiło. Przez przezroczysty szmaragd patrzył na krwawe jatki w cyrku, a potem leżał w lektyce z purpury i pereł, zaprzężonej w muły w srebrnej uprzęży, i przez ulicę ocienioną drzewami granatu jechał do złotego domu i słyszał, jak ludzie na widok jego wołali: „Cezar Neron!” Jako Heliogabal farbami pomalował sobie twarz i kręcił wrzeczono w gronie niewiast, z Kartaginy sprowadził księżyc i mistycznym ślubem połączył go ze słońcem.

Niezliczone razy odczytywał Dorian ten fantastyczny rozdział i dwa następne, w których, niby na rzadkich kobiercach lub subtelnie wykonanych emaliach, odmalowane były straszne i piękne postacie tych, których krew i występki, i znużenie uczyniły potworami lub szaleńcami. Więc Filippo, książę Mediolanu, który zamordował swą żonę, a usta jej pomalował szkarłatną trucizną, by jej kochanek śmierć z nich wyssał wraz z pocałunkiem; weneccjanin Piętro Barbo, znany jako Paweł II, który próżnością wiedziony przybrał tytuł: Formosus, a tiarę swą wartości dwakroć stu tysięcy guldenów nabył za cenę straszego grzechu; Gian Maria Visconti, który z psami polował na ludzi, a którego zwłoki kochająca go ladaczniczka okryła różami; Borgia na swym białym rumaku, a obok niego Fratricida w płaszczu splamionym krwią Perotta; Piętro Riario, młody kardynał, arcybiskup Florencji, syn i ulubieniec Sykstusa IV o piękności tak nadzwyczajnej, że równało się jej tylko jego wyuzdanie; on to przyjmował Eleonorę Aragońską w namiocie z biało—czerwonego jedwabiu, pełnym nimf i centaurów, a usługującego przy uczcie chłopca kazał pozłocie, aby wyglądał jak Ganimedes lub Hylas. Dalej Ezzelino, leczący swą melancholię jedynie widokiem śmierci i łaknący czerwonej krwi, jak inni łakną czerwonego wina — syn szatana, jak mówiono, który przy grze w kości wyłudził duszę od własnego ojca; Giambattista Cibò, który przez szyderstwo przyjął imię Innocentego, a w którego zeszcśle żyły lekarz żydowski wprowadził krew trzech chłopców; Sigismondo Malatesta, kochanek Izotty, książę Rimini, którego obraz spalono w Rzymie jako wroga ludzi i Boga; on to obrusem zadusił Poliksene, w szmaragdowym pucharze podał truciznę Ginevrze d’Este, a na cześć haniebnej namiętności wystawił pogańską świątynię, by w niej odprawiać chrześcijańskie nabożeństwa; Karol VI, tak szalenie kochający żonę swego brata, że pewien trędowaty ostrzegł go przed obłędem, któremu istotnie uległ, a kiedy umysł jego chory był i nieprzytomny, jedynym środkiem kojącym były karty saraceńskie z wizerunkami miłości, śmierci i szału; Grifonetto Baglioni, w koronkami garniowanej kurtce i czapce wyszytej klejnotami, morderca Astorre’a i jego narzeczonej, i Simonetto z paziem, tak czarująco piękny, że kiedy konał na żółtym placu Perugia, wszyscy, którzy go śmiertelnie nienawidzili, musieli płakać, a Atalanta, która go wprzód przekleła, odmawiała nad nim modły.

Wszyscy oni posiadali straszny czar. Widział ich przed sobą w nocy, a we dnie zakłócali mu wyobraźnię. Renesans znał przedziwne sposoby trucia: hełmem lub płonąca pochodnią, haftowaną rękawiczką lub klejnotami wysadzany wachlarzem, złotym puzderkiem lub naszyjnikiem z bursztynów. Dorian Gray został zatruty książką. Były chwile, kiedy zło uważał tylko za środek do urzeczywistnienia swych wyobrażeń o pięknie.

\* nudę (fr.)

\* znużenie życiem (łac.)

## XII

Było to dziewiątego listopada w wigilię jego trzydziestych ósmych urodzin, jak sobie nieraz później przypominał.

Około jedenastej w nocy wracał od lorda Henryka, u którego jadł obiad. Otulony był w ciężkie futro, gdyż noc zimna była i mglista. U wylotu Grosvenor Square i South Audley Street minął go jakiś mężczyzna w szarym paltocie z wysoko postawionym kołnierzem, szybkim krokiem przedzierający się przez mgłę. W rękę niósł torbę podróżną. Dorian go poznał. Przechodniem był Bazyli Hallward. Doriana zdjęło dziwne uczucie trwogi, której sobie nie mógł wytłumaczyć. Udał, że go nie poznaje, i szybko zmierzał ku domowi.

Ale Hallward już go dostrzegł. Dorian usłyszał, jak tamten przystanął, a potem zaczął biec za nim. Po chwili dłoń malarza spoczęła na jego ramieniu.

— Dodanie! Co za szczęście! Czekałem na ciebie w twej bibliotece od godziny dziewiętej. Wreszcie żał mi się zrobiło twego służącego i wychodząc powiedziałem mu, by się położył. O północy wyjeżdżam do Paryża, a bardzo mi zależało, aby cię zobaczyć przed wyjazdem. Domyśliłem się, że to jesteś ty. Po futrze cię poznałem. A ty mnie nie poznałeś?

— Ależ mój drogi, w tej mgłę? Ja zaledwie poznaję Grosvenor Square. Sądzę, że gdzieś tu w pobliżu musi być mój dom, ale pewny tego nie jestem. Przykro mi, że wyjeżdżasz. Strasznie dawno cię nie widziałem. Ale wszak wrócisz niezadługo?

— Nie, pozostanę tam przez pół roku. Zamierzam wynająć sobie pracownię w Paryżu i zamknąć się w niej, dopóki nie wykończę dużego obrazu, który mi się snuje przed oczami. Ale nie o sobie chciałem mówić. Oto jesteśmy przed twym mieszkaniem. Pozwól mi wejść na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć.

— Bardzo mi przyjemnie, ale czy się nie spóźnisz na pociąg — odparł Dorian Gray znudzony, wchodząc powoli na schody i kluczem otwierając drzwi. Światło lampy z trudem przedzierało się przez mgłę. Hallward wyjął z kieszeni zegarek.

— Mam aż nadto czasu — uspokoił go. — Pociąg odchodzi dopiero kwadrans po dwunastej, a teraz jest punktualnie jedenasta. Szedłem właśnie do klubu, gdzie miałem nadzieję cię zastać. Widzisz, że nie potrzebuję się troszczyć o pakunki, bo cięższe rzeczy wpierw już wysłałem. Mam tylko tę torbę i doskonale zdążę na dworzec w ciągu dwudziestu minut.

Dorian spojrział nań i uśmiechnął się.

— Tak jeździ elegancki malarz! Torba i palto! Chodź prędko, inaczej mgła wtargnie za nami do domu. I nie mów o niczym poważnym. Nie ma dziś nic poważnego, a przynajmniej nie powinno być.

Hallward potrząsając głową szedł za nim do biblioteki. Na kominku płonął jasny ogień. Lampy się paliły, a na stoliczku stała srebrna podstawka holenderska z kilku syfonami sodowej wody i dużymi szklankami ze szlifowanego szkła.

— Widzisz, Dorianie, jak mnie podejmował twój służący. Zaopatrzył mnie we wszystko, czego potrzebowałem, nawet w twoje najlepsze papierosy ze złotymi ustnikami. Gościnnie chłopiec. Sympatyczniejszy od tego Francuza, którego miałeś dawniej. Co się właściwie z nim stało?

Dorian wzruszył ramionami.

— Zdaje mi się, że się ożenił z garderobianą lady Radley i zainstalował ją w Paryżu jako angielską krawcową. Anglomania jest tam podobno w modzie. Niemądre to ze strony Francuzów, nieprawdaż? Ale wiesz, to był wcale niezły służący. Nie lubiłem go nigdy, ale nigdy też nie

miałem powodu do niezadowolenia. Nieraz sobie wmawiamy rzeczy całkiem nedorzeczne. A on był istotnie przywiązany do mnie i zdawał się prawdziwie strapiony, gdy odchodził. Pozwolisz jeszcze trochę brandy z sodową wodą? A może lepiej białego reńskiego wina z wodą selcerską? Ja zawsze piję białe reńskie z selcerską wodą. Musi zapewne stać w drugim pokoju.

— Dziękuję, ale nic już nie mogę pić — rzekł malarz, rzucając płaszcz i czapkę na torbę, którą ustawił w kącie. — A teraz, mój drogi chłopcze, muszę się z tobą rozmówić poważnie. Nie rób zaraz takiej kwaśnej miny. Utrudniasz mi tylko zadanie.

— O czym chcesz mówić? — znudzonym tonem zawołał Dorian, rzucając się na sofę. — Mam nadzieję, że nie chodzi tu o mnie. Jestem dziś znużony swoją osobą. Chciałbym być kimś innym.

— Chodzi o ciebie — poważnym, głębokim głosem odparł Hallward. — I muszę ci to powiedzieć. Zabiorę ci tylko pół godziny.

Dorian westchnął i zapalił papierosa.

— Pół godziny — mruknął.

— Niewiele od ciebie żądam, Dorianie, a robię to tylko dla twego dobra. Uważam za konieczne, abyś się wreszcie dowiedział, że krążą o tobie najstraszniejsze historie.

— Nie chcę o nich wiedzieć. Lubię plotki o innych, ale plotki o mnie samym wcale mnie nie interesują. Brak im uroku nowości.

— Muszą cię interesować, Dorianie. Każdy dżentelmen powinien się troszczyć o swoją dobrą sławę. Nie chcesz przecież, by mówiono o tobie jako o człowieku niskim i podłym. Naturalnie, że masz stanowisko i majątek, i inne przywileje. Ale to nie wystarcza. Nie zapominaj, że ja wszystkim tym plotkom nie daję wiary, a przynajmniej nie wtedy, gdy patrzę na ciebie. Występek jest czymś, co wyciska na twarzy człowieka piętno niezatarte. Ukryć go niepodobna. Mówi się wprawdzie o tajnych występkach, ale te nie istnieją. Występek musi się z konieczności wyrażać w linii ust, w zarysie powiek, nawet w kształcie rąk. Zeszłego roku przyszedł do mnie człowiek, znany ci zresztą, i chciał, bym go portretował. Nigdy go nie widziałem ani nie słyszałem wówczas o nim, jakkolwiek później aż nazbyt wiele o nim się dowiedziałem. Ofiarował mi bardzo znaczne honorarium. Mimo to odmówiłem. W kształcie jego palców było coś, czego nienawidzę. Teraz dopiero wiem, że miałem słusność. Życie jego jest wprost straszne. Ale ty, Dorianie, z twą czystą, jasną, niewinną twarzą i cudownym, niezmaconym urokiem młodości — o tobie nie mogę pomyśleć nic złego. Ale widuję cię tak rzadko, przestałeś bywać w mej pracowni, a gdy cię nie widzę przez dłuższy czas i tylko słyszę, co ludzie o tobie szepczą, to istotnie nie wiem, co na to odpowiedzieć. Powiedz mi, Dorianie, dlaczego taki człowiek jak książę Berwick ostentacyjnie opuszcza salę klubową, gdy ty wchodzisz? Dlaczego niejeden dżentelmen w Londynie nie chce ani bywać u ciebie, ani zapraszać cię do swego domu? Wszak z lordem Staveleyem byłeś nawet zaprzyjaźniony. Otóż zeszłego tygodnia zetknąłem się z nim na proszonym obiedzie. Przypadkowo wymieniono twe nazwisko, a propos miniatur, które wypożyczyłeś na wystawę u Dudleya. Staveley pogardliwie wyduł usta i oświadczył, że co do smaku artystycznego to nie można ci nic zarzucić, jesteś jednak człowiekiem, którego żadna niewinna dziewczyna ani uczciwa kobieta w towarzystwie swym tolerować nie może. Przypomniałem mu, że jestem twoim przyjacielem i zażądałem wyjaśnienia. Udzielił mi go, i to w obecności wszystkich. Dla mnie było to czymś strasznym. Powiedz, dlaczego twoja przyjaźń staje się tak fatalną dla młodzieży? Ot, ten nieszczęśliwy chłopiec z gwardyjskiego pułku skończył samobójstwem. Byłeś jego serdecznym przyjacielem. Albo sir Henryk Ashton, który musiał opuścić Anglię zbezczeszczonej? Byliście nieodłącznymi towarzyszami. A Adrian Singleton i jego okropny koniec? A jedyny syn lorda Kenta ze swą złamaną karierą?

Przedwczoraj spotkałem jego ojca. Ugiął się pod brzemieniem wstydu i cierpienia. A młody książę Perth? Jakie on życie prowadzi! Żaden z dżentelmenów nie podałyby mu ręki.

— Bazyli, dość! Mówisz o rzeczach, o których nie masz pojęcia — powiedział Dorian Gray, gryząc usta, a w głosie jego brzmiała głęboka pogarda. — Pytasz, dlaczego Berwick wychodzi z pokoju, gdy ja wchodzę? Dlatego, że wiem wszystko o jego życiu, a nie dlatego że on wie cokolwiek o moim. Z tą krwią, jaka płynie w jego żyłach, czyż życie jego mogłoby być czyste? Mnie pytasz o Henryka Ashtona i młodego Perth? Czyż ja nauczyłem ich rozpusty i występków? A jeśli ten idiota syn Kenta bierze sobie za żonę kobietę z ulicy, czyż ja za to odpowiadam? Albo mam może być stróżem Adriana Singletona, by na wekslach nie fałszował podpisów? Wiem dobrze, jak się w Anglii roznosi plotki. Mieszkaństwo uprzyjemnia sobie niewyszukane obiady i daje wyraz swym moralnym przesadom, potępiając to, co nazywają nikczemnością arystokracji. A przede wszystkim chodzi im o to, by wmówić w drugich, że istotnie bywają w wielkim świecie i poufała się z tymi, których oczerniają. W naszym kraju najzupełniej wystarcza być inteligentną wytworną jednostką, by stać się łupem nikczemnych plotkarzy. A jakież to żywot wiodą ci, co odgrywają rolę stróżów moralności? Mój drogi, zapominasz, że żyjemy w ojczyźnie obłudników.

— Dorianie — przerwał Hallward — nie o to przecież chodzi. Wiem dobrze, że Anglia jest zepsuta, a społeczeństwo nic niewarte. Ale właśnie dlatego pragnę, byś ty był bez zarzutu. A nie byłeś nim. Ludzie mają prawo sądzić człowieka podług wpływu, jaki wywiera na swych przyjaciół. Twoi przyjaciele zatracają zmysł honoru, dobroci i czystości. Wszczepiłeś w nich szaloną żądzę używania. I upadli na samo dno otchłani. Tak, ty ich tam wtrąciłeś i mimo to możesz się jeszcze tak uśmiechać, jak się uśmiechasz w tej chwili. I wiem jeszcze coś gorszego. Wszak jesteś najserdeczniejszym przyjacielem Harry'ego. Już dlatego nie powinieneś być nazwiska jego pięknej siostry okrywać hańbą.

— Bazyli, licz się ze słowami!

— Muszę mówić, a ty musisz mnie słuchać. Musisz! Zanim poznałeś lady Gwendolenę, nikt nie śmiał odezwać się o niej w sposób ubliżający. A teraz... czy choćby jedna przyzwoita kobieta zechciałaby pokazać się w parku w jej towarzystwie? Nawet do własnych dzieci nie wolno jej się zbliżać. Ale jeszcze inne krążą o tobie wieści. Widywano cię o świcie, jak chyłkiem wykradałeś się z podejrzanych domów, a w nocy odwiedzałeś w przebraniu najohydniejsze spelunki londyńskie. Czy to prawda? Czy to może być prawda? Gdy pierwszy raz o tym słyszałem, musiałem się roześmiać. A teraz często o tym słyszę i dreszcz mnie przechodzi. A twoja rezydencja wiejska i życie, jakie tam prowadzisz? Dorianie, ty nie wiesz, co o tobie mówią! Nie powiem, że nie mam zamiaru prawienia ci morałów. Harry powiedział kiedyś, że każdy, kto chce odegrać rolę niepowołanego kaznodziei, zaczyna od tego powiedzenia, a potem prędko łamie własne słowo. Przeciwnie, mam zamiar prawić ci morały. Chcę, byś prowadził życie takie, by ci zjednało ogólny szacunek. Chcę, by nazwisko twoje było czyste i nieskalane. Musisz zerwać stosunki z tą całą nikczemną bandą. Nie wzruszaj tak pogardliwie ramionami. Nie udawaj obojętnego! Wiem, że masz ogromny wpływ. Używaj go ku dobremu, nie ku złemu. Powiadają, że zniesławiasz każdego, z kim tylko obcuje, i wystarcza, byś wszedł do czyjegoś domu, a okryjesz go hańbą. Nie wiem, czy to jest prawda, czy nie. Opowiadano mi historie, o których prawdziwości wątpić niepodobna. Lord Gloucester był jednym z najlepszych mych oksfordzkich przyjaciół. Pokazał mi list swej żony, który pisała przed śmiercią, samotna, opuszczona. Wyczytałem tam twoje imię w wyznaniu najstraszniejszym, jakie sobie można wyobrazić. Powiedziałem, że to idiotyzm... że znam cię doskonale i wiem, że byłbyś niezdolny do czegoś podobnego. A czy ja cię znam? Pragnę wiedzieć, czy cię znam istotnie. Chciałbym widzieć twą duszę.

— Widzieć moją duszę! — wyjąkał Dorian Gray zrywając się, blady ze strachu.

— Tak — odparł Hallward poważnie, z głuchym żalem w głosie — chciałbym widzieć twą duszę. Ale to może tylko Bóg.

Gorzki śmiech szyderstwa wydarł się ze ściśniętej krtani Doriana.

— Zobaczysz ją jeszcze dzisiaj! — krzyknął, chwytając lampę ze stołu. — Chodź, zobacz! Wszak to własne twoje dzieło. Czemuż nie miałbyś go widzieć? Możesz potem opowiadać światu, co tylko zechcesz. Nikt ci nie uwierzy. A gdyby uwierzono, tym więcej by mnie kochano. Znam naszą epokę lepiej niż ty, pomimo że o niej rozprawiasz tak nudnie. Chodź, a udzielę ci lekcji. Dość już mówiłeś o zepsuciu, teraz spojrzysz mu w oczy, twarzą w twarz!

W każdym jego słowie dźwięczała bezgraniczna duma. Tupał nogami z chłopięcą zuchwałością. Odczuwał płomienną radość na myśl, że tajemnicą swą podzielił się z drugim człowiekiem, z tym właśnie, co wymalował obraz, źródło jego hańby, a teraz przez całe dalsze życie zmuszony będzie nosić z sobą straszną pamięć tego, co uczynił.

— Tak — mówił dalej, zbliżając się doń i patrząc uporczywie w surowe oczy przyjaciela — zobaczysz moją duszę. Zobaczysz, jak powiadasz, co Bóg tylko widzieć może.

Hallward cofnął się.

— Dorianie, ty bluźnisz! — zawołał. — Nie mów czegoś podobnego. To brzmi okropnie, a nie może mieć żadnego sensu.

— Tak sądzisz? — Gray zaśmiał się ponownie.

— Wiem o tym. To, co ci wpierw mówiłem, mówiłem tylko dla twojego dobra. Wszak wiesz, że zawsze byłem ci wiernym przyjacielem.

— Nie dotykaj mnie. Kończ to, co chciałeś mi powiedzieć. Błysk bólu przemknął po twarzy malarza, który nagle uczuł przemożne uczucie litości dla Doriana. Jakież właściwie miał prawo wdierać się w jego życie? Gdyby popełnił był bodaj dziesiątą część tego, co mu przypisywano, jakże strasznie musiałby cierpieć! Wyprostował się, podszedł do kominka i patrzył w drwa palące się wężykowatym płomieniem, gdzieniegdzie okryte popiołem, który z pewnej odległości wyglądał jak szron.

— Czekam, Bazyli — ozwał się Dorian Gray głosem twardym i stanowczym. Malarz odwrócił się.

— Niewiele ci już mam do powiedzenia! — odparł. — Musisz mi dać odpowiedź na te straszne oskarżenia. Jeśli mi powiesz, że wszystko od początku do końca jest kłamstwem, uwierzę! Dorianie, powiedz to! Powiedz, że wszystko to jest kłamstwem! Czyż nie widzisz, co się ze mną dzieje? Na Boga, tylko nie mów, że jesteś zły, podły i nikczemny!

Dorian Gray się uśmiechnął. Na ustach jego widniał grymas wzgardy.

— Chodź ze mną, Bazyli — rzekł spokojnie. — Prowadzę dokładny dziennik mego życia, ale nigdy go nie zabieram z pokoju, w którym go spisuję. Pokażę ci go, jeśli ze mną pójdziesz.

— Pójdę, Dorianie, jeśli sobie tego życzysz. Widzę, że spóźniłem się już na pociąg. Ale to nic nie szkodzi. Mogę jechać jutro. Nie żądaj jednak, bym dziś jeszcze coś czytał. Chcę tylko szczerą odpowiedzi na me pytanie.

— Właśnie ci ją chcę dać! Tu tego uczynić nie mogę. Chodź ze mną na górę. Czytanie nie zajmie ci dużo czasu.

## XIII

Wyszedł z pokoju i zaczął wchodzić na piętro. Bazyli Hallward szedł tuż za nim. Szli cicho, jak się to instynktownie zwykło czynić w nocy. Lampa rzucała fantastyczne cienie na ściany i schody. Na dworze zerwał się wiatr dzwoniąc szybami.

Gdy stanęli na najwyższym piętrze, Dorian postawił lampę na podłodze, wyjął klucz i przekreślił go w zamku.

— Bazyli, czy obstajesz przy tym, bym ci dał odpowiedź? — spytał cicho.

— Tak.

— To mnie cieszy — odparł z uśmiechem. Po chwili z pewnym rozdrażnieniem dodał: — Ty jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który ma prawo wiedzieć o mnie wszystko. Więcej bowiem wpłynąłeś na moje życie, niż przypuszczasz. — Wziął lampę, otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Wionął na nich zimny prąd powietrza, lampa na chwilę zamigotała żółtym, ponurym płomieniem. Dreszcz przebiegł Doriana.

— Zamknij drzwi za sobą — szepnął, stawiając lampę na stole. Hallward rozglądał się dokoła, zdumiony i zmieszany. Pokój,

w którym się znajdowali, nosił ślady długoletniego opuszczenia. Wyblakły dywan flamandzki na jednej ze ścian, zasłonięty obraz, stary włoski *cassone* i próżna niemal szafa na książki stanowiły obok stołu i jedyne krzesła całe urządzenie. Dorian Gray, zapaliwszy do połowy wypaloną świecę stojącą na kominku, zobaczył, że wszystko okryte było grubą warstwą kurzu, a w dywanie świeciły dziury. Za boazerią ścienną tłukła się mysz. W pokoju panowała atmosfera wilgotna i zatechła.

— Sądysz zatem, Bazyli, że tylko Bóg może widzieć duszę? Odsuń tę zasłonę, a zobaczysz moją duszę. — Głos jego brzmiał twardo, lodowato.

— Dorianie, mówisz w obłędzie lub grasz komedię — szepnął Hallward, marszcząc czoło.

— Nie chcesz? Więc sam to zrobię! — zawołał Dorian, zrywając zasłonę z obrazu i rzucając ją na ziemię.

[„Okrzyk przerażenia wyrwał się z ust malarza, gdy w niepewnym świetle ujrzał na płótnie wstrętą twarz wykrzywioną uśmiechem. W wyrazie portretu było coś w najwyższym stopniu wstrętnego i ohydneho. Wielki Boże! Przecież to twarz Doriana Graya. Ten straszny jad, czymkolwiek on był, nie zdołał jeszcze zniszczyć doszczętnie jego cudnej piękności. Nieco złota świeciło jeszcze na rzednących włosach i trochę purpury zabarwiało zmysłowe wargi. Wypełzłe oczy wykazywały jeszcze ślad dawnego przeczystego błękitu, a wykwintne linie nosa i szyi nie zatraciły dotąd całej szlachetności. Tak, to był Dorian. Ale kto go tak wymalował? Wydało mu się, że poznaje pociągnięcia swego własnego pędzla, a rama obrazu zrobiona była stanowczo według jego rysunku. Strach uwierzyć w coś podobnego, a jednak czuł, jak go coraz większa ogarnia trwoga. Chwyił zapaloną świecę i stanął tuż przed obrazem. Po lewej stronie u dołu widniało jego nazwisko, nakreślone czerwoną farbą podłużnymi literami?

Podła parodia, marna, nikczemna satyra. On tego nie malował. A jednak to jego obraz. Zna przecież każdą linię, każde pociągnięcie pędzla... Miał uczucie, jak gdyby krew jego w jednej chwili zakrzepła w lód. Jego obraz! Co to ma znaczyć? Czemu się zmienił? Hallward odwrócił się i wzrokiem człowieka złamanego spojrzął na Doriana. Usta mu drżały, zaschły język nie zdołał się poruszyć. Rękę przesunął po czole. Mokre było od lepkiego potu.



Młody człowiek, wsparty o gzyms kominka, obserwował go z tą dziwną uwagą, z jaką zwykle się obserwować grę wielkiego aktora. Twarz jego nie wyrażała ani prawdziwego cierpienia, ani prawdziwej radości. Jedyne wyteżoną uwagę obserwatora — z lekką domieszką triumfu w oczach. Wyjął kwiat z butonierki i wchłaniał jego woń lub udawał, że ją wchłania.

— Co to ma znaczyć? — wykrztusił wreszcie Hallward. Głos jego brzmiał tak ostro, że jemu samemu wydał się obcy.

— Przed laty, kiedy byłem młodym chłopcem — mówił Dorian Gray, mnąc kwiat, którym się bawił — spotkałem ciebie; pochlebiałeś mi i nauczyłeś być próżnym z powodu mej piękności. Pewnego dnia przedstawiłeś mi jednego ze swych znajomych, a ten mi wyjaśnił, jaką cudowną rzeczą jest młodość. Właśnie wtedy wykończyłeś mój portret, który był dla mnie objawieniem, jaką cudowną rzeczą jest piękność. W chwili szału, którego dziś jeszcze ani nie żałuję, ani nie błogosławię, wyraziłem życzenie, ty nazwałeś je może modlitwą...

— O przypominam sobie! Jakże dokładnie sobie przypominam. Ale nie! To niepodobieństwo! Pokój musi być wilgotny. Pleśń zniszczyła płótno. Farby, których używałem, mają widać w sobie jakieś przekłete trucizny. To niemożliwe, powiadam ci!

— Co niemożliwe? — zapytał szeptem Dorian. Podeszedł ku oknu i przycisnął czoło do zimnej zamglonej szyby.

— Powiedziałeś, żeś ty sam zniszczył obraz.

— To nieprawda! On zniszczył mnie!

— Nie wierzę, aby to był portret malowany przeze mnie.

— Nie możesz poznać swego ideału? — gorzko rzekł Dorian.

— Mój ideał, jak go nazywasz...

— Jak ty go nazwałeś!

— Tak, ale wówczas nie było w nim nic złego, nic nikczemnego. Byłeś dla mnie ideałem, jakiego nie spotkam już nigdy. Ale to jest twarz satyra.

— To jest oblicze mojej duszy.

— Boże, i cóż ja ubóstwiałem! Z tego obrazu patrzą oczy szatana!

— Bazyli, każdy z nas nosi w sobie niebo i piekło! — krzyknął Dorian z dzikim gestem rozpaczy.

Hallward znów się zwrócił do portretu i wlepił w niego oczy.

— Boże wielki, jeśli to prawda — wyszeptał — i jeśli ty to zrobiłeś ze swego życia, musisz być znacznie gorszy, niż przypuszczać mogą najgorsi twoi wrogowie.

Podniósł świecę i bardzo uważnie począł się przyglądać portretowi. Powierzchnia płótna wydawała się zupełnie nie uszkodzona. Ta okropna zgnilizna musiała więc pochodzić z wewnątrz. Wskutek dziwnego pobudzenia wewnętrznego życia trąd grzechu stopniowo trawił obraz. Rozkład trupa w wilgotnym grobie nie mógł być równie straszny.

Ręka malarza drżała tak gwałtownie, że świeca wypadła na ziemię z lichtarza, migocąc niepewnym blaskiem. Zdeptał ją. Następnie padł na chwiejne krzesło koło stołu i ukrył zmienioną twarz w dłoniach.

— Boże wielki, jakaż to nauka, jaka straszna nauka!

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, tylko łkanie Doriana, który ciągle jeszcze stał przy oknie.

— Dorianie, módl się, módl się — szepnął. — Jak nas to uczono w młodości?... „Nie wódz nas na pokuszenie... odpuść nam nasze winy... zmyj grzechy nasze.” Módlmy się razem. Modlitwa dyktowana przez twą pychę została wysłuchana. Modlitwa twej skruchy również będzie wysłuchana. Zbyt cię ubóstwiałem. Jestem teraz ukarany. I ty zbyt ubóstwiałeś siebie. Jesteśmy obaj ukarani.

Dorian Gray odwrócił się powoli i spojrzał nań oczami pociemniałymi od łez.

— Za późno, Bazyli — wykrztusił.

— Dorianie, nigdy nie jest za późno. Ukłęknijmy i spróbujmy sobie przypomnieć jakąś modlitwę. Wszak Pismo mówi: „A choćby grzechy twe były jak szkarłat, ja je obmyję, że nad śnieg bielsze będą.”

— Słowa te nie mają już dla mnie żadnego znaczenia.

— Cicho, nie mów w ten sposób. Dość złego popełniłeś już w życiu. Boże wielki! Czyż nie widzisz, jak ten przeklęty stwór kpi z nas?

Dorian spojrział na obraz i nagle uczuł niepohamowaną nienawiść do Bazylego, jak gdyby ten portret na płótnie podszeptował mu ją swymi szyderczo wykrzywionymi ustami. Opanowała go szalona wściekłość ściganego zwierzęcia i nienawiść do tego, który wciąż nieruchomy siedział przy stole — nienawiść tak silna, jakiej nie odczuwał nigdy w życiu. Jak oszalały rozejrzał się dokoła. Na pomalowanej skrzyni coś błysnęło, przyciągając jego wzrok. Wiedział, co to jest. Przed paru dniami przyniósł ten nóż, żeby nim odciąć kawał sznura, i zapomniał go stąd zabrać z powrotem. Powoli podszedł ku skrzyni, przechodząc tuż obok Hallwarda. Gdy znalazł się za jego plecami, chwycił nóż i odwrócił się. Malarz poruszył się na krześle, jak gdyby chciał wstać. W tej chwili Dorian rzucił się na niego, wbił nóż w tętnicę za uchem i przyciskając głowę malarza do stołu, raz po raz na oślepe uderzał nożem.

Usłyszał zdławiony krzyk i straszne rżenie człowieka, którego krtań zalewa krew. Wyciągnięte ramiona konwulsyjnie zachygotały trzykrotnie w powietrzu, wymachując rękami o dziwnie zeszywniałych palcach. Dwa razy jeszcze ugodził nożem, ale żadnego już nie wywołał oporu. Coś zaczęło ściekać na podłogę. Czekał jeszcze chwilę, przyciskając wciąż głowę zabitego do stołu. Po czym rzucił nóż na stół i nasłuchiwał.

Nic nie słyszał, prócz ściekania krwi — kropla po kropli — na wytarty dywan. Otworzył drzwi i wyszedł na podest. W całym domu panowała niczym nie zakłócona cisza. Wszyscy spali. Przez parę sekund stał jeszcze na schodach i przechylony przez balustradę patrzył w ciemną otchłań. Następnie wyjął klucz, wszedł z powrotem do pokoju i zamknął się od wewnątrz.

Na krześle przy stole wciąż jeszcze siedziało to coś z głową pochyloną nisko nad stołem, ze zgiętymi w pałak plecami i długimi, fantastycznymi ramionami. Można by było sądzić, że śpi, gdyby nie czerwona, zygzakowata rana na karku i ciemna kałuża krzepnącej krwi, powoli rozlewająca się coraz dalej po stole.

Jak szybko się to wszystko stało! Czuł się dziwnie spokojny. Podszedł ku oszklonym drzwiom, otworzył je i wyszedł na balkon. Wiatr rozpędził mgły, a niebo wyglądało niby olbrzymi paw ogon ugwieżdżony tysiącami złotych oczu. Wyjrzał na ulicę i zobaczył policjanta, jak powoli dokonywał obchodu oświetlając podłużnymi promieniami swej latarki drzwi cichych, we śnie pogrążonych domów. U wylotu ulicy błysnęło czerwone światło dorożki i zniknęło. Kobieta w powiewnym szalu powoli wlokła się wzdłuż balustrad. Od czasu do czasu przystawała i oglądała się. Raz zaczęła śpiewać ochryłym, niemiłym głosem. Policjant zbliżył się i coś jej powiedział. Zaśmiała się i poszła dalej. Ostry wiatr powiał przez skwer. Lampy gazowe zamigotały błękitnie, a drzewa obnażone z liści wstrząsnęły ciężkimi, czarnymi konarami. Dreszcz go przebiegł. Cofnął się do pokoju i zamknął balkonowe drzwi.

Podszedłszy do wewnętrznych drzwi, przekręcił klucz w zamku i otworzył je. Nie popatrzył nawet na zamordowanego człowieka. Czuł, że o to tylko chodzi, by sobie nie uświadomić sytuacji. Przyjaciel, który namalował fatalny portret, źródło wszystkich nieszczęść, został wykreślony z jego życia. Nic więcej.

Przyszła mu na myśl lampa. Było to istne cacko roboty mauretańskiej, z matowego srebra, ozdobione arabeskami z lśniącej stali i inkrustacją z nie szlifowanych turkusów. Służący mógłby dostrzec jej brak i spytać o nią. Zawahał się na chwilę, po czym wrócił do pokoju i wziął lampę

ze stołu. Nie mógł się powstrzymać od spojrzenia na martwą postać. Jakże spokojnie siedziała. Jak okropnie białe były długie ręce. Niby przerażająca figura z wosku.

Zamknawszy za sobą drzwi, począł cicho schodzić ze schodów. Trzeszczały i zdawały się krzyczeć z bólu. Kilkakrotnie się zatrzymywał nasłuchując. Nic. Wokół panowała cisza niezmacona. To tylko odgłos własnych jego kroków.

Gdy wszedł do biblioteki, zobaczył torbę podróżną i płaszcz. Musiał to gdzieś ukryć. Otworzył tajemne drzwiczki w boazerii, gdzie ukrywał własne dziwaczne stroje, w które się zwykł przebierać, i tam włożył rzeczy Hallwarda. Łatwo będzie je spalić. Wyjął zegarek Dwadzieścia minut brakowało do godziny drugiej.

Usiadł i począł rozmyślać. Co rok, co miesiąc niemal wieszano w Anglii ludzi za to, co on popełnił. Szał morderstw wisiał w powietrzu. Jakaś czerwona gwiazda zbyt się zbliżyła do Ziemi. A jednak, czy istniał przeciw niemu jakikolwiek dowód? Bazyli Hallward wyszedł z domu o jedenastej. Nikt nie widział, że znów wrócił w jego towarzystwie. Prawie cała służba bawi w Selby Royal. Kamerdyner śpi... Paryż! Tak, Bazyli Hallward wyjechał do Paryża o północy, jak był postanowił. Wobec tego, że trzymał się z dala od ludzi, mogą upłynąć całe miesiące, zanim się zbudzi jakieś podejrzenie. Całe miesiące! Do tego czasu wszystko się da uprzątnąć.

Nagle błysnęła mu myśl. Wstał, narzucił futro i wyszedł na korytarz. Tu stanął przysłuchując się powolnym, ciężkim krokom policjanta na ulicy. Widział, jak w szybie okiennej odbił się błysk jego latarki. Cekał powstrzymując oddech.

Po paru chwilach ujął za klamkę wysunął się i cicho zamknął za sobą drzwi. Następnie zadzwonił. Nie upłynęło pięć minut, a zjawił się na wpół ubrany i mocno zaspany kamerdyner.

— Przykro mi, że musiałem cię zbudzić, Franciszku — rzekł wchodząc do domu. — Zapomniałem wziąć klucz od bramy. Która to godzina?

— Dziesięć minut po drugiej, jaśnie panie — odpowiedział kamerdyner, patrząc na zegarek zmrużonymi oczami.

— Dziesięć minut po drugiej? Tak strasznie późno! A musisz mnie jutro zbudzić o dziewiątej. Mam coś do załatwienia.

— Będę pamiętał, jaśnie panie.

— Czy był ktoś w ciągu wieczora?

— Pan Hallward, jaśnie panie. Cekał do jedenastej, a potem wyszedł, śpiesząc się na pociąg.

— O, szkoda, że nie mogłem się z nim widzieć. Czy może zostawił jakiś list?

— Nie, jaśnie panie. Powiedział tylko, że napisze z Paryża, jeśli jaśnie pana nie zastanie w klubie.

— Dobrze. A nie zapomnij zbudzić mnie o dziewiątej.

— Do usług jaśnie pana.

Kamerdyner oddalił się cicho.

Donan Gray rzucił na stół kapelusz i płaszcz i wszedł do biblioteki. Przez kwadrans przechadzał się po pokoju zamyślony gryząc usta. Następnie zdjął z półki książkę adresową i zaczął przerzucać kartki.

Alan Campbell, 152, Hertford Street, Mayfair. Tak, to był człowiek, którego właśnie potrzebował.

## XIV

Nazajutrz rano o dziewiątej wszedł służący z filiżanką czekolady i otworzył okiennice. Dorian spał całkiem spokojnie, leżąc na prawym boku, z ręką podsunętą pod głowę. Wyglądał jak chłopiec, który się zmęczył przy zabawie lub pracy.

Służący musiał dwukrotnie dotknąć jego ramienia, zanim się zbudził, a gdy otworzył oczy, po ustach jego przemknął lekki uśmiech, jak gdyby przypominał sobie czarowny sen. Nie miał jednak żadnych snów. Spoczynku jego nie zamąciły żadne majaki ani bólu, ani radości. Ale młodość uśmiecha się bez powodu. To właśnie stanowi główny jej urok.

Odwrócił się i wsparty na łokciu, powoli wysączał czekoladę. Łagodne listopadowe słońce wpływało do pokoju. Niebo było całkiem jasne, a w powietrzu rozlewało się przyjemne ciepło, jakby w majowy poranek. Powoli zdarzenia ubiegłej nocy cichymi, krwawymi stopami wśliznęły się do jego mózgu, powracając do życia ze straszną wyrazistością. Drgnął na wspomnienie wszystkich swych cierpień i na chwilę uczuł znów tę nieprzewyciężoną nienawiść do Bazylego Hallwarda, która go pchnęła do morderstwa. Zdrętwiał z przerażenia Trup siedzi tam jeszcze na górze i do tego w świetle słońca. Jakie to straszne! Tak obrzydliwe rzeczy przeznaczone są dla mroku, nie dla dnia.

Czuł, że jeśli zacznie się zastanawiać nad tym, co przeżył, rozchoruje się lub dostanie obłądu. Istnieją grzechy, których urok tkwi raczej w myśli o nich niż w samym czynie, triumfy dziwne, zadowolające raczej dumę niż namiętność, wzmagające tętno intelektualnej radości — radości znacznie intensywniejszej niż ta, jaką obdarzają czy mają możliwość obdarzać zmysły. Ale ten jego grzech nie należał do owej kategorii. Przeciwnie, był jednym z tych, które należy wymazać z pamięci, uśpić makiem, zdławić, aby nie zostać przezeń zdławionym.

Zegar wybił pół do dziesiątej. Dorian odsunął włosy z czoła i wstał szybko. Ubierał się jeszcze staranniej niż zwykle. Szukał długo, zanim dobrał odpowiedni krawat i szpilkę, a pierścienie zmieniał kilkakrotnie. Długo też siedział przy śniadaniu, jadł po trochu ze wszystkich dań, rozmawiał z kamerdynerem o jakiejś nowej liberii, którą należało sprawić dla służby w Royal Selby, po czym przeglądał korespondencję. Do niektórych listów się uśmiechał, inne irytowały go widocznie. Jeden odczytywał kilka razy, wreszcie przedarł go z wyrazem zniecierpliwienia. „Straszna rzecz ta pamięć kobieca!” — jak raz powiedział lord Henryk.

Wypiwszy czarną kawę, skinął na służącego, by zaczekał, po czym siadł przy biurku i napisał dwa listy. Jeden włożył do kieszeni, drugi dał służącemu.

— Na Hertford Street 152, a jeśliby pana Campbella nie było w mieście, to zapytać o jego adres.

Gdy został sam, zapalił papierosa i począł na kawałku papieru rysować kwiaty, następnie fragmenty architektoniczne, wreszcie twarze ludzkie. Nagle dostrzegł we wszystkich tych twarzach dziwne podobieństwo z Bazylim Hallwardem. Zmarszczył czoło, wstał, podszedł do szafy z książkami i na ślepo wyjął z niej książkę. Był zdecydowany nie myśleć o tym, co się stało, dopóki nie zajdzie konieczna potrzeba.

Położył się na sofie i spojrział na tytuł książki. *Emaux et Camees* Gautiera w wydaniu Charpentiera, na papierze japońskim ze sztychami Jacquemarta. Książeczka oprawna była w skórę cytrynowozieloną ze złożonymi ornamentami i nakrapianymi owocami granatu. Otrzymał ją w podarku od Adriana Singletona. Gdy przerzucał kartki, wzrok jego padł na ów wiersz, w którym poeta mówi o ręce Lacenaire'a, tej chłodnej, żółtej ręce *du supplice encore mal lavee*\*,

\* jeszcze nie obmytej z tortur (fr.)

okrytej puszystym rudym włosom i o *doigts de faune*.<sup>\*</sup> Spojrzał na swoje białe smukłe palce wstrząsany mimowolnym dreszczem i dalej przewracał kartki. Zatrzymał się przy pięknych stancach weneckich:

Z Adriatyku fal wynurzy  
Wenus pianą rozperlona  
Boskie ciało bladej róży  
W chromatycznej gamy tonach.

Niebo w lazur fal spoziera,  
Czyste niby zdanie–tchnienie,  
Niby krągła pierś, co wzbiera,  
Gdy miłosnym drży westchnieniem.

Płynę łodzią —już nie płynę,  
Pada zwój kotwicznych sznurów  
Przed kamienną płataniną  
Różowości i marmurów<sup>\*</sup>.

Jakie to cudowne! Czytając, człowiek ma wrażenie, że widzi przed sobą zielone kanały różowoperłowego miasta i mknie w czarnej gondoli o srebrnym dziobie i wlokących się po wodzie firankach. Wiersze same wyglądały jak owe proste, turkusowobłękitne pasma, które znaczą nasz ślad, gdy jedziemy na Lido. Raptowne błyski barw przypominały mu lśniące upierzenie ptaków o opałowych i irysowych szyjach i przez chwilę zdawał się je widzieć, jak fruują koło wyniosłej miodowozłotej kampanili lub majestatycznie i z wdziękiem kroczą wzdłuż ciemnych, kurzem okrytych arkad. Oparł się wygodnie i na wpeł zmrużywszy oczy recytował raz po raz:

...Przed kamienną płataniną  
Różowości i marmurów.

Te dwa wiersze wyczarowały mu w duszy całą Wenecję. Myślał o jesieni tam spędzonej i o owej cudownej miłości, która go pchnęła do tyłu szalonych a rozkosznych wybryków. Każda miejscowość posiada swój specjalny romantyczny nastrój. Tylko że Wenecja, podobnie jak Oksford, zachowała odpowiednio romantyczne tło, a dla prawdziwego romantyka tło jest wszystkim lub niemal wszystkim. Bazyli bawił tam z nim przez pewien czas i nie posiadał się z zachwytu nad Tintorettem. Biedny Bazyli! Umrzeć w sposób tak okropny!

Westchnął, wziął znów książkę do ręki, starając się zapomnieć. Czytał o jaskółkach, swobodnie wlatujących i wyfruwających z kawiarenki smyrneńskiej, gdzie pielgrzymi przesuwały w rękach bursztynowe paciorki, a kupcy w turbanach palą fajki z długimi chwastami, poważne prowadząc rozmowy. Czytał o obelisku na Place de la Concorde, który na swym samotnym, bezsłonecznym wygnaniu wylewał lzy granitowe, tęskniąc do okrytego lotosem Nilu, gdzie dumają sfinksy w towarzystwie różowych ibisów i białych sępów o złożonych szponach, a krokodyle o małych berylowych oczkach czołgają się po zielonym, dymiącym mule. Dumął nad wierszami, które wysnuwając swe melodie ze skażonego pocałunkami marmuru, opiewają ten

<sup>\*</sup> palcach fauna (fr.)

<sup>\*</sup> Tłumaczyła Jadwiga Dackiewicz.

dziwny pomnik porównany przez Gautiera do kontraltowego głosu, ten *monstre charmant*\* stojący w porfirowej sali Luwru. Ale niebawem książka wypadła mu z ręki, ogarnęło go zdenerwowanie i opanował straszliwy lęk. Co się stanie, jeśli Alan Campbell wyjechał z Anglii? Dnie całe minęłyby, zanim powróci. A może nie zechce przyjść? Co wówczas? Każda chwila była niesłychanie ważna... Przed pięciu lary byli przyjaciółmi — prawie nierozłącznymi. Nagle zażyłość ta ustała. Teraz gdy się spotykali w towarzystwie, Dorian Gray się uśmiechał, Alan Campbell — nigdy.

Był to młody człowiek bardzo rozumny, pomimo że miał mało zrozumienia dla sztuk plastycznych, a pewne odczucie poezji zawdzięczał tylko Dorianowi. Okazywał natomiast namiętny zapał do nauk ścisłych. W Cambridge spędzał niemal cały czas na pracy w laboratorium i z dobrym rezultatem złożył egzamin z nauk przyrodniczych. Ciągłe jeszcze studiował chemię i urządził sobie własne laboratorium, w którym często zamykał się całymi dniami ku ogromnemu strapieniu matki. Marzyła bowiem dla niego o karierze politycznej i pragnęła, by kandydował do Parlamentu. O chemikach natomiast miała tylko mętne wyobrażenie, że sporządzają recepty. Jej Alan był jednak poza tym doskonałym muzykiem i grał na skrzypcach i na fortepianie znacznie lepiej niż zwyczajni amatorzy. Muzyka też była pierwszym łącznikiem między nim a Dorianem Grayem i ów fascynujący wpływ, jaki Dorian wywierał na wszystkich, często nawet nieświadomie. Poznali się na wieczorze u lady Berkshire, gdzie właśnie grał Rubinstein. Odtąd widywano ich wciąż razem w o—perze i wszędzie, gdzie tylko można było słuchać dobrej muzyki. Przyjaźń ich trwała przez osiemnaście miesięcy. Campbell stale przesiadywał w Selby lub w pałacu na Grosvenor Square. Dla niego, jak dla wielu innych, Dorian był wzorem wszystkiego, co w życiu jest piękne i czarowne. Czy zaszło między nimi coś nieprzyjemnego, nikt się nie mógł dowiedzieć. Nagle jednak zauważono, że spotykając się w towarzystwie, zaledwie zamieniają z sobą parę słów, a Campbell szybko się wymyka z każdego przyjęcia, na którym jest Dorian. Zmienił się też pod względem usposobienia. Często popadał w melancholię, zdawał się nienawidzić muzyki i nigdy nie chciał grać. Gdy go o to proszono, wymawiał się, twierdząc, że nauka pochłania mu cały czas i nie pozostawia chwili wolnej na ćwiczenia. I tak też było istotnie. Coraz więcej zajmował się biologią, a parę razy nazwisko jego wymieniane było w pismach naukowych z okazji niezwyklej eksperymentów, jakie wykonywał.

Takim był człowiek, którego w tej chwili oczekiwał Dorian, co parę sekund spoglądając na zegarek. Z każdą minutą wzmagał się jego niepokój. Wreszcie zerwał się z sofy i zaczął biegać po pokoju niby wspaniałe, w klatce zamknięte zwierzę. Stawiał drugie ciche kroki. Ręce miał dziwnie zimne.

Czekanie stawało się nie do wytrzymania. Czas zdawał się wlec na ołowianych stopach, podczas gdy Dorian, zapędzony szalonym wichrem na skraj przepaści, wisiał nad jej czarną, ziejącą otchłanią. Wiedział, co się tam na niego czai, widział to ze straszną dokładnością i drżąc przyciskał wilgotne palce do płonących powiek, jak gdyby chciał mózg swój pozbawić wzroku, a źrenice wtłoczyć w głąb jam ocznych. Na próżno! Mózg miał własny swój pokarm, którym się żywił, a wyobraźnia, smagana trwogą, wiła się i kręciła z bólu jak żywa istota, tańczyła niczym marionetka na scenie, szczyrzyła zęby, coraz to w innej występując masce. Wreszcie czas stanął zupełnie. Tak jest: ślepa, ciężko dysząca poczwara przestała pełzać, a jednocześnie z przystaniem czasu, bezszelestnie wysunęły się straszne myśli, wywlokły z grobu okropną przyszłość i stawily ją przed oczy Dorian. Wpatrywał się w nią zdrętwiały. Skamieniał ze strachu.

Wreszcie drzwi się otworzyły. Wszedł służący. Dorian spojrział nań szklanym wzrokiem.

\* uroczy potwór (fr.)

— Pan Campbell, jaśnie panie — zameldował.

Westchnienie ulgi wydobyło się z ust spalonych gorączką, a na twarz wróciły kolory.

— Zaraz prosić — rzekł żywo. Czuł, że odzyskuje równowagę. Całe poprzednie tchórzostwo minęło.

Służący skłonił się i wyszedł. Zaraz po nim wszedł Alan Campbell. Miał twarz bardzo poważną i bladą, bladość tę podkreślały jeszcze kruczycie włosy i ciemne brwi.

— Alanie, to ładnie, że przyszedłeś. Dziękuję ci.

— Postanowiłem nie przekraczać nigdy twego progów, lecz napisałeś, że tu chodzi o śmierć lub życie.

Głos jego brzmiał ostro i zimno. Mówił powoli, z namysłem. W bystrym badawczym spojrzeniu, którym mierzył Doriana, widniała wżgarda. Trzymał ręce w kieszeniach karakułowego płaszcza i zdawał się nie widzieć gestu, jakim go przywitał Dorian.

— Tak, chodzi o śmierć lub życie, i to nie tylko jednego człowieka. Siadaj, proszę.

Campbell usiadł przy stole, a Dorian zajął miejsce naprzeciw. Spojrzenia ich się spotkały. W oczach Doriana malowało się ogromne współczucie. Wiedział, jak straszne było to, co zamierzał uczynić.

Po chwili dręczącego milczenia Dorian przechylił się ku gościowi i z wielkim spokojem, śledząc jednak wrażenie każdego swego słowa, powiedział:

— Alanie, na piętrze tego domu, w pokoju, do którego prócz mnie nikt nie ma dostępu, siedzi przy stole trup. Nie żyje od dziesięciu godzin. Nie zrywaj się i nie patrz na mnie w ten sposób. Kim jest, dlaczego umarł, jak umarł, niech cię to nic nie obchodzi. Jedyne, co masz uczynić, to...

— Gray, przestań! Nie chcę nic więcej wiedzieć. Czy to prawda, co mówisz, czy nie — nic mi do tego. Absolutnie nie chcę się dać wciągnąć w twoje sprawy. Swe straszne tajemnice zachowaj dla siebie. Mnie one już nie zajmują.

— Muszą cię zajmować, Alanie. Tą tajemnicą będziesz zmuszony się zająć. Bardzo mi cię żal, Alanie. Nie mam jednak innej rady. Ty jesteś jedynym człowiekiem, mogącym mnie uratować. Muszę cię wciągnąć w tę sprawę. Nie pozostaje mi nic innego. Jesteś naukowcem. Znasz się na chemii i tym podobnych rzeczach. Robiłeś tyle eksperymentów. A teraz powiem ci, co masz uczynić: zniszczyć włókna ludzkie, by po nich nie pozostał ślad żaden. Nikt nie wie, że człowiek ten był w moim domu. Znajomi jego sądzą, że bawi obecnie w Paryżu. W ciągu najbliższych miesięcy nikt nie zwróci uwagi na jego nieobecność. A kiedy zwrócą uwagę, nie powinno tu po nim być żadnego śladu. Alanie, ty musisz jego i wszystko, co doń należało, zamienić w garść popiołu, który rozproszę w powietrzu.

— Dorianie, jesteś szalony.

— O, czekałem, byś mnie nazwał Dorianem.

— Szalony jesteś, powiadam. Szalony, sądząc, że ruszę bodaj małym palcem, by tobie pomóc, szalony, czyniąc mi to straszne wyznanie. Nie chcę z tym wszystkim mieć nic do czynienia. Czy sądzisz, że narażę swą dobrą sławę dla ciebie? Co mnie może obchodzić, do jakiego szatańskiego dzieła ty się czułeś powołany?

— To było samobójstwo, Alanie.

— Pięknie. Ale kto go pchnął do tego? Wszak ty, nie kto inny.

— Więc wzbranasz się to dla mnie uczynić?

— Naturalnie, że się wzbraniam. Absolutnie nie chcę się w to mieszać. Nie będę się martwić o to, że ty się okryjesz hańbą. Zasłużyłeś na nią. Nie żałowałbym cię, gdybyś został zbezczeszczoney, publicznie zbezczeszczoney. Jak śmiesz żądać ode mnie, właśnie ode mnie, bym przyłożył rękę do czegoś tak okropnego? Sądziłem, że się lepiej znasz na charakterze ludzi. Twój przyjaciel lord Henryk Wotton źle cię wyuczył psychologii, mimo że cię kształcił tak

wszechstronnie. Nic w świecie nie zdołałoby mnie skłonić do uczynienia bodaj jednego kroku, żeby ci pomóc. Pomyliłeś się w wyborze. Musisz się zwrócić do kogoś innego z grona twych przyjaciół. Byle nie do mnie.

— Alanie, to było morderstwo. Ja go zamordowałem. Ty nie wiesz, ile przez niego wycierpiałem. Jakiegokolwiek jest moje życie, on więcej wpłynął na jego ukształtowanie czy wypaczenie niż ten biedny Harry. Może uczynił to bezwiednie, rezultatu to jednak nie zmienia.

— Morderstwo! Wielki Boże! Dorianie, więc do tego już doszło? Ja cię nie wydam. To mnie nie obchodzi. I bez tego zresztą możesz być pewny, że cię zaarrestują. Nikt nie popełnia zbrodni bez popełnienia równocześnie głupstwa. Ja jednak nie chcę z tym mieć nic do czynienia.

— Musisz mieć z tym do czynienia, Alanie. Poczekaj, poczekaj chwilkę. Alanie, słuchaj! Słuchaj, co ci powiem. Żądam od ciebie tylko dokonania naukowego eksperymentu. Chodzisz do szpitali i kostnic, wszystkie te potworne rzeczy, jakich tam dokonujesz, wcale cię nie wzruszają. Gdyby ten człowiek leżał na krwią zalanym stole sekcyjnym lub w smrodliwym laboratorium wśród czerwonych ścieków, którymi odpływa krew ludzka, uważałbyś go jedynie za dobry obiekt doświadczalny. Ani jeden włos nie drgnąłby ci na głowie. Nie przyszłoby ci nawet na myśl, że popełniasz coś niewłaściwego. Przeciwnie, miałbyś wrażenie, że spełniasz coś, co przyda się ludzkości, że powiększasz sumę wiedzy w świecie, zaspokajasz ciekawość czy coś podobnego. Nie żądam od ciebie niczego więcej nad to, co tylokrotnie już zrobiłeś. Zniszczenie zwłok musi być nawet mniej straszne niż inne eksperymenty, których zwykleś dokonywać. A nie zapomnij: zwłoki te są jedynym dowodem świadczącym przeciw mnie. Jeśli je odkryją, zostaną uwięzione, a muszą je odkryć, jeśli ty mi nie pomożesz.

— Nie mam wcale ochoty ci pomagać. Zdajesz się o tym zapominać. Cała ta sprawa jest mi ze względu na ciebie całkiem obojętna. Nic mnie nie obchodzi.

— Alanie, błagam cię. Pomyśl, w jakim jestem położeniu. Zanim przyszedłeś, omdlewałem niemal ze strachu. Pamiętaj, że ty sam mógłbyś kiedyś zaznać podobnej trwogi. Nie, nie!... Nie myśl o tym. Spróbuj tylko patrzeć na to wszystko ze stanowiska naukowego. Wszak nie pytasz, skąd pochodzą trupy, na których robisz doświadczenia. Nie pytaj i w tym wypadku. Zbyt wiele ci już powiedziałem. Ale błagam cię, uczyni to dla mnie, Alanie, byliśmy niegdyś przyjaciółmi.

— Nie wspominaj tych czasów, Dorianie. One umarły.

— Umarli często nie chcą odejść. Ten człowiek na piętze nie chce się oddalić. Siedzi przy stole ze zwieszoną głową i wyciągniętymi ramionami. Alanie! Alanie! Jeśli ty mi nie pomożesz, jestem zgubiony. Powiesz mi, Alanie, czy ty to rozumiesz? Powiesz mi za to, co uczyniłem.

— Na nic się nie przyda przedłużanie tej sceny. Stanowczo odmawiam współdziałania w tej sprawie. Szaleństwem było z twojej strony żądać ode mnie czegoś podobnego.

— Odmawiasz?

— Tak.

— Alanie, ja cię błagam.

— Na próżno.

W oczach Doriana znów błysnęło współczucie. Powoli wyciągnął rękę, wziął ze stołu kawałek papieru i nakreślił parę słów. Odczytał je dwukrotnie, złożył starannie i przesunął na drugą stronę stołu. Po czym wstał i podszedł do okna.

Campbell spojrział nań zdumiony. Podniósł świstek złożonego papieru i rozłożył go. Podczas czytania twarz jego okryła się trupią bladością, opadł na krzesło. Miał uczucie, że jest śmiertelnie chory. Zdawało mu się, że serce jego zatłucze się na śmierć w pustce.

Po dwóch czy trzech minutach okropnego milczenia Dorian się odwrócił, podszedł do Campbella i położył mu dłoń na ramieniu.



— Strasznie mi cię żal, Alanie — szepnął — ale nie pozostawiasz mi wyboru. List mam już napisany. Oto on. Widzisz adres. Jeśli mi nie pomożesz, muszę go wysłać. Jeśli mi nie pomożesz, wyślę go. Wiesz, jakie stąd wyniknęłyby następstwa. Ale ty mi pomożesz. Nie możesz się dłużej wzbraniać. Chciałem cię oszczędzić. Będziesz chyba na tyle sprawiedliwy, by mi to przyznać. Ty natomiast byłeś szorstki, twardy, obraźliwy. Postąpiłeś ze mną tak, jak nikt w życiu ze mną postępować się nie ważył, przynajmniej nikt z żyjących. Zniosłem wszystko. Teraz ja dyktuję warunki.

Campbell ukrył twarz w dłoniach. Dreszcz nim wstrząsnął.

— Tak, Alanie, teraz na mnie kolej dyktowania warunków. Znasz je. Rzecz jest całkiem prosta. No, nie denerwuj się tak okropnie. To musi być zrobione. Spójrz konieczności w oczy i spełń ją.

Jęk wyrwał się z piersi Alana. Drżał jak w febrze. Zdawało mu się, że tykanie zegara na gzymsie kominka dzieli czas na atomy męczarni, a każdy z nich jest zbyt ciężki do zniesienia. Miał wrażenie, że powoli zaciska się dokoła jego czoła żelazna obręcz, że hańba, którą mu grożą, już nań spadła. Ręka, spoczywająca na jego ramieniu, ciężka była jak ołów. Przygniatała go okropnie. Zdawała się go miażdżyć.

— No, Alanie, zdecyduj się.

— Nie mogę tego zrobić — rzekł mechanicznie, jak gdyby słowa zdolne były odwrócić straszną konieczność.

— Musisz. Nie masz wyboru. Nie zwlekaj dłużej.

Alan wahał się przez chwilę.

— Czy pali się na górze?

— Tak, jest tam piec gazowy.

— Muszę pojechać do domu po niezbędne rzeczy.

— Nie, Alanie. Nie przekroczysz tego progu. Napisz parę słów. Mój służący pojedzie i przywiezie wszystko, czego ci potrzeba.

Campbell nakreślił parę wierszy, osuszył pismo bibułą i zaadresował do swego asystenta. Dorian wziął papier i odczytał go uważnie. Następnie zadzwonił na służącego i wręczył mu list, polecając wrócić jak najspieszniej.

Gdy drzwi komnaty zamknęły się za służącym, Campbell zadrżał nerwowo. Powoli dźwignął się z krzesła i podszedł do kominka. Dygotał całym ciałem. Przez jakie dwadzieścia minut żaden z nich nie rzekł ani słowa. Mucha, brzęcząc, latała po pokoju, a tykanie zegara rozlegało się jak miarowe uderzenia młota.

Gdy wybiła pierwsza, Campbell się odwrócił i spojrzał na Doriana Graya, w którego oczach błyszczały łzy. Czystość i delikatność tej smutnej twarzy zdawała się doprowadzać go do wściekłości.

— Jesteś nikczemnikiem, podłym nikczemnikiem — szepnął.

— Alanie, cicho. Ty mi uratowałeś życie — rzekł Dorian.

— Twoje życie! Wielki Boże! Cóż to za życie! Staczałeś się coraz niżej i niżej, aż oto doszedłeś do morderstwa. Robiąc to, do czego mnie zmuszasz, nie o twoim życiu myślę!

— Ach, Alanie — szepnął Dorian z westchnieniem — chciałbym, byś ty miał dla mnie tysięczną część tego współczucia, jakie ja mam dla ciebie.

Mówiąc to, odwrócił się do Campbella i zapatrzył w ogród. Campbell nie odpowiadał.

Po chwili zapukano do drzwi. Wszedł służący wnosząc dużą mahoniową skrzynię z chemikaliami, gruby zwój drutu stalowego i platynowego, i dwie dziwne kształtu żelazne kłamry.

— Proszę jaśnie pana, czy tu zostawić te rzeczy? — zwrócił się do Campbella.

— Tak — odparł Dorian. — Przykro mi, Franciszku, ale mam dla ciebie jeszcze jedno zlecenie. Jak nazywa się ten człowiek w Richmond, który dostarcza orchidee do Selby?

— Harden.

— Tak... Harden. Otóż trzeba natychmiast jechać do Richmond i osobiście rozmówić się z Hardenem. Niech przyśle dwa razy więcej orchidei, niż zamówiłem, i możliwie najmniej białych. Najlepiej, aby wcale nie było białych. Dziś jest bardzo ładny dzień, a Richmond to śliczna miejscowość. Inaczej nie męczyłbym cię tym poleceniem, Franciszku.

— Nic nie szkodzi, proszę jaśnie pana. Kiedy mam być z powrotem?

Dorian spojrzął na Campbella.

— Alanie, jak długo potrwa twoje doświadczenie? — spytał głosem spokojnym, obojętnym. Obecność trzeciego człowieka zdawała się dodawać mu odwagi. Campbell zmarszczył czoło i zagryzł wargi.

— Około pięciu godzin — odparł.

— W takim razie wystarczy, jeśli wrócisz o pół do ósmej. Albo, Franciszku, zaczekaj. Przygotuj mi moje rzeczy do wyjścia. Możesz mieć wolny wieczór. Nie będę jadł w domu, więc jesteś mi niepotrzebny.

— Pięknie dziękuję, jaśnie panie — rzekł służący wychodząc.

— A teraz, Alanie, nie ma ani chwili do stracenia. Jaka ta skrzynia ciężka! Ja ci ją zaniosę. Ty weźmiesz resztę rzeczy. — Mówił szybko, rozkazująco. Campbell czuł się obezwładniony. Wyszli razem.

Gdy stanęli na najwyższym piętrze, Dorian wyjął klucz i przekręcił go w zamku. Następnie zatrzymał się, a w oczach jego odbiło się pomieszenie.

— Alanie, zdaje mi się, że nie potrafię tam wejść — szepnął.

— Wszystko mi jedno. Nie potrzebuję twojej pomocy — zimno odparł Campbell.

Dorian na wpół otworzył drzwi i w pełnym świetle słonecznym ujrzał zwrócone na siebie szydercze spojrzenie portretu. Zasłona leżała na ziemi. Przypomniawszy sobie, że ubiegłej nocy po raz pierwszy w życiu zapomniał był zakryć fatalny obraz. Chciał już rzucić się naprzód, by to uczynić, gdy nagle cofnął się przerażony.

Co to za wstrętna, czerwona rosa świeci na ręce, wilgotna i błyszcząca, jak gdyby płótno okryło się krwawym potem? Jakież to okropne! Wydało mu się to w danej chwili okropniejsze od tego milczącego, na wpół leżącego na stole przedmiotu, którego dziwaczny cień na zalanym krwią dywanie wskazywał, że nie drgnął ze swego miejsca, lecz siedzi tam, gdzie go pozostawiono.

Zaczerpnął głęboko powietrza, nieco szerzej otworzył drzwi i wszedł szybko z przymkniętymi oczami i odwróconą głową, zdecydowany nie rzucić nawet okiem na trupa. Schylił się, podjął z ziemi czerwonozłotą zasłonę i spiesznie zarzucił ją na portret.

Następnie stanął, bojąc się odwrócić, z oczami utkwionymi nieruchomo w deseń wiszącej przed nim zasłony. Słyszał, jak Campbell wniósł ciężką skrzynię i wszystkie przybory potrzebne do okropnego dzieła, jakiego miał dokonać. Zastanawiał się, czy Alan zetknął się kiedykolwiek z Bazylim Hallwardem, a jeśli tak, to co nawzajem o sobie myśleli.

— Wyjdź stąd — usłyszał za sobą zimny głos.

Odwrócił się i wybiegł. Dostrzegł tylko tyle, że trup został oparty o poręcz krzesła, a Campbell wpatrywał się w żółtą, świecąca twarz. Gdy był na schodach, usłyszał przekręcenie klucza w zamku.

Było dobrze po godzinie siódmej, gdy Campbell wrócił do biblioteki. Był blady, lecz całkiem spokojny.

— Zrobiłem, czego żądałeś. Żegnaj i obyśmy się nigdy więcej nie spotkali.

— Ocaliłeś mnie, Alanie. Tego nie zapomnę — rzekł Dorian z prostotą.

Po odejściu Campbella Dorian poszedł na górę. W pokoju czuć było mocno kwas azotowy. Ale trup siedzący wpierw przy stole znikł.

## XV

Tego samego wieczora o pół do dziewiątej Dorian Gray najwytworniej ubrany, z dużym pękiem fiołków parmeńskich w butonierce, wchodził wśród głębokich ukłonów służby do salonu lady Narborough. Krew uderzała mu do głowy i był strasznie zdenerwowany. Mimo to, pochylając się dla ucałowania ręki pani domu, miał ruchy tak samo lekkie i pełne wdzięku jak zwykle. Może nigdy człowiek nie wydaje się tak swobodny, jak właśnie wtedy gdy jest zmuszony do odegrania jakiejś roli. I nikt z obecnych, patrząc na niego, nie uwierzyłby, że Dorian Gray przeżył dopiero co tragedię, która w swej okropności nie ustępowała żadnym współczesnym tragediom. Te szlachetne, smukłe palce nie mogły nigdy schwycić za nóż w zbrodniczym celu, a te uśmiechnięte różowe usta nigdy zapewne nie przeklinały Boga ani cnoty. Sam się dziwił swemu spokojowi i przez chwilę odczuwał żywo strasliwą rozkosz podwójnego życia.

Towarzystwo było nieliczne, może nazbyt spiesźnie zebrane. Lady Narborough była bardzo inteligentną damą, która jak się wyrażał lord Henryk, obnosiła z godnością resztki niezwyklej brzydoty. Była doskonałą żoną jednego z najnudniejszych ambasadorów angielskich. Pochowawszy męża ze skrupulatną obowiązkowością w marmurowym mauzoleum, wykonanym podług jej własnych rysunków, powierzyła córki bogatym, nieco zbyt wiekowym mężom, sama zaś oddała się w zupełności francuskiej powieści i francuskiej kuchni.

Dorian należał do jej szczególnych ulubieńców, zawsze powtarzała, że za szczęście sobie poczytuje, iż go nie znała w swej młodości.

— Wiem — zapewniała go niejednokrotnie — że byłabym się w pana szalenie zakochała i wszystko byłabym poświęciła dla pana. Na szczęście nie było jeszcze wówczas mowy o panu. Tak więc nie pozwoliłam sobie nigdy z nikim nawet na lekki flirt. Ale to wina Narborougha. Był strasznym krótkowidzem, a nabierać męża, który nigdy nic nie widzi, wcale nie należy do przyjemności.

Tego wieczora towarzystwo było dość nudne. Głównie dlatego — jak przy sposobności wyjaśniła Dorianowi, kryjąc się za dość zniszczony wachlarz — że nagle jedna z zamężnych córek przyjechała ją odwiedzić, a co gorsza, przywiozła z sobą własnego męża.

— *Mon cher*, przyznasz, że to z jej strony najwyższa bezwzględność — szeptała. — Co prawda, to ja również odwiedzam ją każdego lata, wracając z Hamburga, ale taka stara kobieta jak ja potrzebuje od czasu do czasu świeżego powietrza, przy tym zawsze ich trochę rozruszam. Nie może pan sobie wyobrazić, jakie oni tam życie prowadzą. Najczystszy, niesfałszowany wiejski żywot. Wstają wcześnie, ponieważ mają tak wiele do roboty, a kładą się wcześnie, bo nie mają o czym myśleć. Od czasów królowej Elżbiety nie było w całym sąsiedztwie ani jednego skandalu, skutkiem czego po obiedzie zaraz wszyscy zasypiają. Nie posadziłam pana przy stole obok nich. Będzie pan siedział przy mnie i mnie zabawiał rozmową.

Dorian szepnął jakiś zgrabny komplement i rozejrzał się po salonie. Tak, towarzystwo było istotnie nudne. Oprócz dwóch osób, których nigdy dotąd nie spotykał, był tu Ernest Harrowden, człowiek miernej inteligencji i średnich lat, typ często spotykany w klubach londyńskich, jeden z tych, co nie mają wprawdzie wrogów, ale których właśnie przyjaciele serdecznie nie lubią; lady Ruxton, przesadnie ubrana dama czterdziestosiedmioletnia z haczykowatym nosem, pragnąca ciągle udawać skompromitowaną, ale tak okropnie brzydka, że ku jej niezmiernej przykrości nikt nie mógł wątpić o jej cnotcie; pani Erlynne, zupełne zero, o rudych włosach, sepleniąca w uroczy sposób; lady Alicja Chapman, córka pani domu, prosta, nudna kobieta, o jednej z tych

charakterystycznych angielskich twarzy, których absolutnie niepodobna zapamiętać; wreszcie mąż jej, jegomość o czerwonych policzkach i białych bokobrodach, żywiący, jak wielu ludzi tego rodzaju, głębokie przeświadczenie, że niezwykła jowialność zdolna jest zastąpić zupełny brak wszelkiej myśli.

Zaczął już żalować, że przyszedł, gdy nagle lady Narborough, rzuciwszy okiem na duży, wykwintnego kształtu zegar ze złoczonego brązu, stojący na udrapowanym w liliową materię gzysie kominka, krzyknęła:

— Ach, jak to szkaradnie ze strony Henryka Wottona, że się spóźnia! Posłałam mu rano zaproszenie i solennie zapewnił, że mi nie sprawi zawodu!

Jedyna pociecha, że Harry przyjdzie. Niebawem drzwi się otworzyły i Dorian usłyszał jego cichy, melodyjny głos, który kłamliwym usprawiedliwieniom dodawał tyle uroku. W jednej chwili przestał się nudzić.

Przy stole nie mógł jednak nic jeść. Jeden półmisek po drugim odsuwał nietknięty. Lady Narborough ustawicznie się irytowała, nazywając to „obelgą dla biednego Adolfa, który umyślnie dla niego skomponował był menu”. Lord Henryk od czasu do czasu rzucał nań okiem, dziwiąc się jego milczeniu i roztargnieniu. Służący raz po raz napełniał mu kieliszek szampanem. Pił gorączkowo, a pragnienie jego zdawało się wciąż wzmacniać.

— Dorianie — ozwał się wreszcie lord Henryk, gdy już podawano *chaud-froid*\* — co się z tobą dzieje? Jesteś jakiś nieswój.

— Z pewnością się zakochał! — zawołała lady Narborough. — A boi się przyznać, bym nie była zazdrosna. I ma słusność. Byłabym zazdrosna.

— Droga lady Narborough — rzekł Dorian z uśmiechem — od tygodnia już nie byłem ani razu zakochany, to znaczy od wyjazdu madame de Ferrol.

— Mężczyźni, na Boga, jak wy się możecie kochać w tej kobiecie! — krzyknęła stara dama. — Wprost nie pojmuję.

— Jedynie i wyłącznie dlatego, że znała panią dzieckiem, lady Narborough — rzekł lord Henryk. — Ona jest jedynym ogniwem łączącym nas z krótkimi sukniami pani.

— Lordzie Henryku, moich krótkich sukien ona nie pamięta. Natomiast ja doskonale ją sobie przypominam sprzed trzydziestu lat, była wówczas w Wiedniu i ogromnie *decolletee*\*.

— Dotąd jest bardzo *decolletee* — odparł, biorąc oliwkę długimi, smukłymi palcami. — Gdy nosi elegancką suknię, wygląda jak *edition de luxe*\* lichego francuskiego romansu. Jest rzeczywiście oryginalna i pełna niespodzianek. A zdolność do uczuć rodzinnych posiada w stopniu wprost niezwykłym. Po śmierci trzeciego męża włosy jej ze zgrzyoty stały się całkiem złote.

— Harry, jak możesz! — zawołał Dorian.

— Romantyczny komentarz — rzekła pani domu. — Ale trzeci mąż, lordzie Henryku? Wszak nie chce pan powiedzieć, że Ferrol jest czwartym z rzędu?

— Owszem, lady Narborough.

— Nie wierzę panu ani trochę.

— Więc proszę zapytać pana Graya. Należy do jej najbliższych przyjaciół.

— Czy to prawda, panie Gray?

— Tak ona przynajmniej zapewnia — odparł Dorian. — Pytałem ją, czy jak Małgorzata z Nawarry nosi przy pasku zabalsamowane serca swych mężów. Odparła: „Nie, ponieważ żaden z nich nie miał serca.”

\* dziczynę w galarecie (fr.)

\* Gra stów: *decolletee* znaczy dekoltowana, ale również zbyt swobodna, rozpasana (fr.)

\* luksusowe wydanie (fr.)

— Czterech mężów! Dalibóg... *trop de zèle*!

— *Trop d'audace*\*, powiedziałem jej — odparł Dorian.

— O, na odwadze nie zbywa jej nigdy. A cóż to za człowiek ten Ferrol? Nie znam go.

— Mężowie bardzo pięknych kobiet zawsze należą do klasy zbrodniarzy — rzekł lord Henryk, wysączając szampan.

Lady Narborough uderzyła go wachlarzem.

— Lordzie Henryku, wcale się nie dziwię, że świat uważa pana za bardzo niegodziwego.

— Ale który świat tak twierdzi? — spytał lord Henryk, ściągając brwi. — Chyba ten drugi świat, zaziemski. Bo ze światem doczesnym znosimy się doskonale.

— Wszyscy moi znajomi twierdzą, że pan jest bardzo niegodziwy — upierała się stara dama, potrząsając głową.

Lord Henryk przybrał poważną minę, a po chwili rzekł:

— To doprawdy szkaradne, że ludzie stale biegają i za moimi plecami mówią o mnie rzeczy najzupełniej prawdziwe.

— Czyż nie jest niepoprawny? — zawołał Dorian Gray, przechylając się do przodu.

— Spodziewam się, że nim pozostanie — ze śmiechem odparła pani domu. — Ale istotnie, skoro wszyscy tak niesłychanie uwielbiają panią de Ferrol, to ja również muszę wyjść za mąż po raz drugi, by się stać modną.

— Lady Narborough, pani nigdy już nie wyjdzie za mąż — wtrącił lord Henryk. — Zbyt pani była szczęśliwa. Kobieta wychodzi za mąż po raz drugi tylko wówczas, jeśli pierwszego swego męża nienawdziła. Zaś mężczyzna żeni się po raz drugi, jeśli pierwszą swą żonę ubóstwia. Kobiety próbują szczęścia, mężczyźni rzucają swoje na kartę.

— Narborough nie był wcale doskonałością — rzekła stara dama.

— Droga, łaskawa pani, gdyby był doskonały, nie byłaby go pani kochała — brzmiała odpowiedź. — Kobiety kochają nas za nasze wady. Jeżeli mamy je w dostatecznej ilości, wybaczą nam wszystko, nawet rozum. Obawiam się, lady Narborough, że nigdy już nie otrzymam zaproszenia na obiad, niemniej jednak jest to prawda.

— Oczywiście, lordzie Henryku. Bo gdybyśmy my, kobiety, nie kochały was za wasze błędy, to cóż by się z wami stało? Ani jeden nie dostałby żony. Utworzylibyście klub nieszczęśliwych starych kawalerów. Swoją drogą niewiele by się zmieniło. Wszak i bez tego żonaci żyją dziś jak kawalerowie, a kawalerowie jak żonaci.

— *Fin de siecle*\* — mruknął lord Henryk. — *Fin du globe*\* — odparła pani domu.

— Chciałbym, żeby to był *fin du globe* — z westchnieniem rzekł Dorian. — Życie jest jednym wielkim rozczarowaniem.

— O, *mon cher* — zawołała lady Narborough, naciągając rękawiczki — panu nie wolno mówić, żeś wyczerpał wszystkie możliwości życia. Jeśli mężczyzna to mówi, wiadomo, że to życie go wyczerpało. Lord Henryk jest bardzo niegodziwy, a ja czasem żałuję, że nie byłam, ale pan jest stworzony, aby być dobry — wygląda pan jak uosobienie dobra. Muszę panu wyszukać miłą żonę. Lordzie Henryku, czy pan nie sądzi także, że pan Gray powinien się ożenić?

— Co dnia mu to powtarzam, lady Narborough — z ukłonem odparł lord Henryk.

— Musimy się rozejrzeć za stosowną partią dla niego. Dziś wieczór uważnie przejrzę Debretta i zrobię listę wszystkich możliwych młodych dam.

— I ich wieku? — spytał Dorian.

\* zbytek gorliwości (fr.)

\* zbytek odwagi (fr.)

\* schyłek epoki (fr.)

\* schyłek świata (fr.)

— Naturalnie i ich wieku z pewnym retuszem. Ale nie należy się śpieszyć. Bardzo bym chciała przyczynić się do tego, co „Morning Post” nazywa odpowiednim związkiem, i chciałabym, abyście oboje byli szczęśliwi.

— Jakichże to głupstw nie mówi się na temat szczęśliwego małżeństwa! — zawołał lord Henryk. — Mężczyzna może być szczęśliwy z każdą kobietą, o ile jej nie kochaj

— A cóż z pana za cynik! — zawołała stara dama, odsuwając w tył swoje krzesło i kiwając na lady Ruxton. — Musi mnie pan niebawem znów odwiedzić. Doskonały z pana środek wzmacniający, znacznie lepszy od tego, jaki mi przepisał sir Andrew. Tylko musi mi pan powiedzieć, jakie pan towarzystwo lubi, a postaram się o najświetniejsze.

— Jakie towarzystwo? Ja lubię mężczyzn z przyszłością, a kobiety z przeszłością — odparł. — A może skończyłoby się wówczas na czysto kobiecym zebraniu?

— Obawiam się, że tak — odparła pani domu, śmiejąc się i wstając. — Ach, stokrotnie przepraszam, droga lady Ruxton, nie zauważyłam, że pani jeszcze pali.

— Nie szkodzi, lady Narborough. Palę za wiele. W przyszłości muszę się ograniczyć.

— Nigdy, lady Ruxton! — zaprotestował lord Henryk. — Każde ograniczenie jest fatalne. W miarę — to posiłek nieodzowny. Nadmiar — to uczta.

Lady Ruxton spojrzała nań z ciekawością.

— Musi mnie pan odwiedzić którego popołudnia i wytłumaczyć mi to, lordzie Henryku. Ta teoria brzmi bardzo interesująco — mówiła, przechodząc do salonu.

— Tylko nie zabawiajcie się zbyt długo polityką i plotkami! — zawołała jeszcze od drzwi lady Narborough. — W przeciwnym razie my się tu pokłócimy z nudów.

Ponownie odpowiedzieli śmiechem, a pan Chapman uroczyście wstał od końca stołu i przeszedł na pierwsze miejsce. Dorian Gray usiadł obok lorda Henryka. Pan Chapman potężnym głosem począł mówić o stosunkach w Izbie Gmin. Miotał gromy na swych przeciwników. Słowo: „doktryner” — słowo straszne dla każdej duszy brytyjskiej — stało się powtarzało między jednym a drugim wybuchem. Zmienianie przedrostków było

jedyną ozdobą jego krasomówstwa. Windował sztandar narodowy na najwyższy szczyt myśli. Przemowa jego dowodziła, że dziedziczna głupota Anglików jest najsilniejszą twierdzą obronną społeczeństwa. Dobrodusznie nazywał ją zdrowym rozsądkiem.

Uśmiech zaigrał na ustach lorda Henryka, odwrócił się i spojrzał na Doriana.

— Jakże, mój drogi, czy lepiej się czujesz? — spytał. — Przy stole wyglądałeś jakiś nieswój.

— Czuję się zupełnie dobrze, Harry. Tylko trochę znużony. Nic więcej.

— Wczoraj wieczór byłeś czarujący. Młoda księżna jest zachwycona. Wybiera się do Selby.

— Przynęcała, że przyjedzie dwudziestego.

— Czy Monmouth będzie także?

— Zapewne.

— On mnie strasznie nudzi, niemal w równym stopniu, co ją. Księżna jest bardzo mądra, prawie za mądra na kobietę. Brak jej nieokreślonego wdzięku słabości. Nóżki z gliny podnoszą jeszcze wartość złota posągu. Jej nóżki są bardzo piękne, ale nie z gliny. Powiedzmy, nóżki z białej porcelany. Przeszły przez ogień, a czego ogień nie zniszczy, to hartuje. Ma za sobą doświadczenie.

— Jak długo jest zamężna? — spytał Dorian.

— Ona powiada, że całą wieczność. Sądząc z księgi parów jakieś dziesięć lat, ale dziesięć lat z Monmouthem to istotnie wieczność pomnożona przez doczesność. Kto będzie jeszcze?

— Ach, państwo Willoughby, lord Rugby z żoną, pani tego domu, Geoffrey Clouston — zwykłe nasze kółko. Zaprosiłem także lorda Grotriana.

— Mnie on się podoba — rzekł lord Henryk — wielu ludziom jest antypatyczny. Aleja go lubię. Ubiera się czasem trochę przesadnie, ale można mu to wybaczyć, bo jest zawsze aż do przesady dobrze wychowany. Typ bardzo współczesny.

— Nie wiem tylko, czy będzie mógł przybyć. Ojciec chce go zabrać z sobą do Monte Carlo.

— Jakże nieznośną rzeczą jest rodzina! Postaraj się, by był u ciebie. Ale a propos, Dorianie. Uciekłeś wczoraj tak wcześnie, przed jedenastą. Gdzie byłeś później? Przecież nie wróciłeś wprost do domu?

Dorian spojrział nań przelotnie i zmarszczył brwi.

— Nie, Harry — odparł po chwilowej pauzie — dopiero koło trzeciej wróciłem do domu.

— Byłeś w klubie?

— Tak — odparł. Zagryzł usta. — Nie, nie uważałem, o co pytasz... Nie byłem w klubie. Wałęsałem się. Ale jakiś ty ciekawy, Harry. Zawsze chcesz wiedzieć, co kto robi. A ja zawsze chcę zapomnieć, co robiłem. Przyszedłem do domu o pół do trzeciej, jeśli ci zależy na dokładności. Zapomniałem zabrać klucz i służący musiał mi otworzyć. Jeśli chcesz potwierdzenia, to możesz go zapytać.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

— Ależ, mój drogi, co mnie to może obchodzić! Przejdźmy do salonu. Dziękuję bardzo, panie Chapman, nie mogę już więcej pić. Dorianie, tobie się zdarzyło coś nieprzyjemnego. Co to było? Nie poznaję cię dzisiaj.

— Nie troszcz się o mnie, Harry. Jestem trochę rozdrażniony i zły. Przyjdę do ciebie jutro lub pojutrze. Bądź tak dobry i usprawiedliw mnie przed lady Narborough. Nie pójdę na górę. Wracam do domu. Muszę wrócić...

— Pięknie. A zatem oczekuję cię jutro na herbacie. Będzie księżna.

— Postaram się przyjść — odparł, udając się do przedpokoju. Jadąc do domu, czuł wyraźnie, że trwoga, którą uważał był za przezwyciężoną, znów się zbudziła. Przypadkowe pytanie lorda Henryka pozbawiło go na chwilę przytomności umysłu, do tej pory jeszcze nie uspokoił się. Rzeczy niebezpieczne należy zniszczyć do cna. Drgnął cały. Nienawistną była mu myśl, że musi się ich dotknąć.

A jednak należało z tym skończyć. Dobrze o tym wiedział i zamknawszy na klucz drzwi biblioteki otworzył tajemną skrytkę w boazerii, gdzie rzucił był płaszcz i torbę Hallwarda. Na kominku płonął ogień. Szybko dorzucił jeszcze parę drew. Woń palącego się materiału i skóry była okropna. Minęły całe trzy kwadransy, zanim się wszystko spaliło. Czuł się znużony i chory. Zapalił w miedzianym dziurkowanym kociołku kilka algierskich pastylek, a ręce i twarz obmył zimnym piźmowym octem.

Nagle drgnął od stóp do głów. W oczach jego pojawił się dziwny błysk, a zęby wpiły się w dolną wargę. Pomiędzy oknami stała duża florencka szafa z hebanowego drzewa, wykładana kością słoniową i błękitnym lapisem. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby była czymś równocześnie pociągającym i wzbudzającym lęk, jakby zawierała coś w sobie, za czym tęsknił i czego zarazem prawie nienawidził. Oddech jego stał się szybszy. Ogarnęła go dzika tęsknota. Zapalił papierosa i odrzucił go. Zmrużył oczy tak, że długie rzęsy niemal dotykały policzków. Ale wciąż jeszcze wpatrywał się w szafę. Wreszcie zerwał się, podbiegł ku niej i otworzył. Dotknął ukrytej sprężyny: wysunęła się trójkątna szuflada. Palce jego wyciągnęły się instynktownie, poczęły szukać i ujęły jakiś przedmiot. Była to mała chińska szkatułka z czarnej laki, artystycznie wykonana. Po bokach szkatułki widniała inkrustacja przedstawiająca wzburzone fale, a jedwabne sznury ozdobione były krągłymi kryształami i przeplatane metalowymi nićmi. Otworzył szkatułkę. Zawierała zieloną pastę wodnistego koloru, o dziwnie ciężkiej, oszałamiającej woni.



Przez kilka chwil stał niezdecydowany z jakimś martwym uśmiechem na twarzy. Nagle zadrżał, choć w pokoju było bardzo gorąco, wyprostował się i spojrzął na zegar. Dwadzieścia minut brakowało do północy. Postawił szkatułkę na dawnym miejscu, zamknął szafę i poszedł do sypialni.

Gdy spiżowe dźwięki obwieszczały uśpionej dzielnicy północ, Dorian Gray w lichym ubraniu i grubym szalu dokoła szyi wymknął się ze swego domu. Na Bond Street znalazł dorożkę zaprzęzoną w dobrego konia, zawołał na dorożkarza i cichym głosem dodał mu adres.

Mężczyzna potrząsnął głową przecząco.

— To dla mnie za daleko — mruknął.

— Oto zapłata — szepnął Dorian, rzucając złotą monetę. — Jeśli szybko pojedziecie, dam jeszcze raz tyle.

— Zgoda, proszę pana. Za godzinę będzie pan na miejscu. Gdy dziwny pasażer wsiadł, dorożkarz zawrócił konia; pomknęli w stronę rzeki.

## XVI

Zaczął padać zimny deszcz, a uliczne latarnie wyglądały brudno i blado w wilgotnej mgle. Właśnie zamykano szynki, a ponure grupki mężczyzn i kobiet stały jeszcze przed drzwiami. Z jednego szynku dolatywał jakiś okropny śmiech. W innych lokalach pijani wrzeszczeli i kłócili się.

Wsparty o poduszki powozu, z kapeluszem tak naciśniętym, że zakrywał mu całe czoło, Dorian Gray obojętnie patrzył na brud i hańbę wielkiego miasta, od czasu do czasu powtarzając słowa, które lord Henryk wypowiedział kiedyś w dniu ich poznania: „Duszę leczyć zmysłami, a zmysły duszą.” Tak, na tym polegała tajemnica. Nieraz się do niej uciekał, a i teraz chce spróbować. Wszak istnieją nory dla palaczy opium, gdzie można kupić zapomnienie, nory potworne, gdzie szaleństwo nowych grzechów wymazuje pamięć starych.

Księżyc nisko zawisł nad ziemią niby żółta czaszka trupa. Od czasu do czasu ciężka, bezkształtna chmura wysuwała swe długie ramię i zasłaniała go. Lampy gazowe stawały się coraz rzadsze, a ulice z każdą chwilą węższe i ciemniejsze. Raz dorożkarz zmylił drogę i musiał pół mili jechać z powrotem. Z konia biła para, gdy rozbryzgując kałuże, pędził bez wytchnienia. Na szybach dorożki osiadła szara, zimna mgła.

„Duszę leczyć zmysłami, a zmysły duszą!” Jak te słowa bezustannie mu dzwonią w uszach. Dusza jego chora jest śmiertelnie. Czy zmysły istotnie zdołają ją uleczyć? Niewinna krew została przelana. Jakież mogło być odkupienie? Ach, nie było żadnego. Ale jeśli odkupienie jest niemożliwe, to możliwe jest jednak zapomnienie, a on postanowił zapomnieć, wygnać z pamięci, zdeptać wspomnienie, jak się depce żmiję jadowitą, co nam zadała ranę. Bo i jakież prawo miał Bazyl przemawiać doń w ten sposób? Kto go uczynił sędzią drugich? Wszak mówił mu rzeczy straszne, okropne, niemożliwe do zniesienia.

Dorożka z turkotem toczyła się wciąż naprzód i, jak mu się wydawało, coraz powolniej. Gwałtownie spuścił klapę i przynaglał do szybszej jazdy. Poczęło go trawić potworne pragnienie opium. Gardło mu zaschło, delikatne ręce zaciskały się konwulsyjnie. Jak szalony uderzył konia laską. Woźnica śmiejąc się również smagał konia batem.

Droga zdawała się biec w nieskończoność, a sieć ulic dokoła wyglądała niby czarna tkanina pełzającego powoli pająka. Ta monotonia stawała się nieznośna, a coraz gęstsza mgła przyprawiała o trwogę.

Po chwili znaleźli się na mniej zabudowanej przestrzeni i jechali wzdłuż pustych placów, na których sterczały cegielnie. Mgła nieco opadła; mógł się przypatrzeć dziwnym piecom w kształcie żółtoczerwonym wachlarzowatym językom płomieni. Pies zaszczekał na przejeżdżających, a w oddali w ciemnościach okrzyczyła zabłąkana mewa. Koń potknął się, skoczył w bok i popędził galopem.

Niebawem opuścili gliniastą drogę i znów pędzili po źle brukowanych ulicach. Przeważna część okien była ciemna, tylko gdzieniegdzie na tle oświetlonej firanki przesuwwały się fantastyczne cienie sylwetek ludzkich. Spoglądał na nie z ciekawością. Poruszały się niby potworne marionetki, gestykulując jak żywe istoty. Nienawidził ich wszystkich. Jakaś głucha złość kipiała mu w sercu. Na zakręcie jednej z ulic kobieta, stojąca w bramie, krzyczyła coś do nich, a dwaj mężczyźni gonili powóz jakieś kilkaset metrów. Woźnica opędzał się od nich batem.

Powiadają, że namiętność każe obracać się myślom w pewnym określonym kręgu. Toteż pokąsane do krwi wargi Doriana Graya dopóty mamrotały zdanie lorda Wottona o wzajemnym oddziaływaniu zmysłów i duszy, aż poczuł, że wyraża ono całkowicie jego usposobienie;

przyzwoleniem intelektu usprawiedliwiała namiętności, które i bez tego usprawiedliwienia byłyby zawładnęły jego umysłem. W mózgu jego jedna jedyna myśl pełzała z komórki do komórki; dzikie pragnienie życia, najstraszniejsze pragnienie człowieka, napinające każdy nerw, każdy najdrobniejszy fibr. Brzydota, której niegdyś nienawidził, ponieważ przydawała rzeczom realności, obecnie z tego samego „powodu stała mu się droga. Brzydota — to jedyna rzeczywistość. Ordynarna kłótnia, ohydna nora, brutalna siła szumowin życia, nikczemność złodzieja i wyrzutka społeczeństwa, wszystko to było żywsze w intensywnym swym realizmie od najwdzięczniejszych kształtów sztuki, od sennych zjaw pieśni. Tej rzeczywistości potrzebował właśnie do zapomnienia. W ciągu trzech dni będzie wyzwolony.

Nagle woźnica przystanął u wylotu ciemnej uliczki. Ponad niskimi dachami i spiczastymi kominami domów piętrzyły się czarne maszty okrętów. Zwoje białej mgły niby upiorne żagle unosiły się z ciemnych podwórzy.

— To pewnie gdzieś tu — powiedział woźnica ochryplym głosem przez spuszczoną klapę.

Dorian zerwał się i rozejrzał dokoła.

— Już sam trafię — zawołał i spiesznie zeskakując ze stopnia dorożki, wetknął woźnicy przyrzeczoną zapłatę i popędził w stronę wybrzeża. Tu i ówdzie płonęła latarnia na dużym statku handlowym. Światło drżało i migotało w kałużach. Czerwone promienie biły od ogromnego parowca, na który ładowano węgiel. Błotniste chodniki lśniły jak mokry płaszcz deszczowy.

Skierował się na lewo, oglądając się często, czy go nie gonią. Po siedmiu czy ośmiu minutach stanął przed nędznym domkiem, wtłoczonym między dwie ponure fabryki. W jednym z piętrowych okien płonęło światło. Zbliżył się i zapukał w swoisty sposób.

Po chwili ozwały się kroki w korytarzu i brzęk zdejmowanego łańcucha. Drzwi cicho się otwarły, a on wszedł, nie rzucając nawet okiem na drobną, skuloną postać, która się przed nim cofała pod ścianę. U końca korytarza wisiała podarta zielona zasłona fruująca na wietrze za każdorazowym uchyleniem drzwi. Odsunął ją i wszedł do podłużnego niskiego pokoju, który wyglądał, jak gdyby niegdyś służył jako trzeciorzędny lokal rozrywkowy. Jaskrawe, migotliwe lampki gazowe, odbijające się dziwacznie w upstrzonych przez muchy zwierciadłach, umieszczone były wzdłuż ścian. Za nimi przymocowano brudne wklęsłe reflektory z cyny, drgające tarcze światła. Podłoga była posypana trocinami z drzewa koloru ochry, tu i ówdzie tak zdeptanymi, że zrobiło się z nich błoto, i poplamiona rozlanymi trunkami. Koło węglowego piecyka przycupnęło kilku Malajczyków. Grali w kości, błyskając w rozmowie lśniącymi zębami. W jednym kącie, ukrywszy głowę w ramionach, marynarz jakiś zasnął wpół leżąc na stole, a przy jaskrawo pomalowanym szynkwasiu, biegnącym wzdłuż jednej ze ścian, stały dwie kobiety, drwiąc ze starca, który z wyrazem obrzydzenia czyścił rękawy swego pałta.

— Jemu się zdaje, że go obsiadły czerwone mrówki — zachichotała jedna, gdy Dorian przechodził.

Starzec popatrzał na nią przerażony i zaskamlał. W progu pokoju widniały schodki, wiodące do komórki, gdzie światło było przyćmione. Dorian wszedł pospiesznie na trzy chwiejne stopnie i w tejże chwili doleciała doń ciężka woń opium. Głęboko wciągnął powietrze, a nozdrza zadrżały mu w oczekiwaniu rozkoszy. Gdy wszedł, młody mężczyzna o gładkich, jasnych włosach, pochylony nad lampą i zapalający długą, cienką fajkę, popatrzał na niego i skłonił się po pewnym wahaniu.

— Ty tu, Adrianie? — szepnął Dorian.

— A gdzie miałbym być? — odparł obojętnie mężczyzna — przecież nikt ze znajomych nie chce ze mną mówić.

— Sądziłem, że wyjechałeś z Anglii.

— Darlington nie wystąpi przeciw mnie. Brat ostatecznie zapłacił weksel. Jerzy też ze mną nie rozmawia... wszystko mi jedno' — dodał z westchnieniem. — Dopóki się ma to, nie potrzeba przyjaciół. Sądzę, że miałem ich już za wielu.

Dorian drgnął i przeniósł spojrzenie na dziwaczne postacie, leżące w fantastycznych pozach na zniszczonych materacach. Przykuwały go ich powyginane kończyny, otwarte usta i szklane, nieruchome oczy. Wiedział, przez jakie nieba cierpień przechodzili i jak ponure piekła uczyły ich tajemnicy nowych rozkoszy. Byli pod tym względem szczęśliwsi od niego, pozostającego w uwięzi myśli. Pamięć żarła mu duszę niby potworna choroba. Chwilami zdawało mu się, że czuje na sobie spojrzenie Bazylego Hallwarda. I czuł, że zostać tu nie może. Niepokoiła go obecność Adriana Singletona.

Chciał być sam tam, gdzie go nikt nie znał. Chciał uciec przed sobą samym.

— Idę do drugiego lokalu — rzekł po chwili.

— Ku nabrzeżu?

— Tak?

— Tam zapewne będzie ta wariatka. Tu jej już nie mogli ścierpieć.

Dorian wzruszył ramionami.

— Znużyły mnie już kobiety kochające. Bardziej mnie interesują te, co nienawidzą. Przy tym dają lepszy towar.

— Mniej więcej ten sam.

— Ja wolę tamten. Ale napijmy się czegoś. Czuję pragnienie.

— Nie mam ochoty — mruknął młody człowiek.

— No, chodźże ze mną.

Adrian Singleton podniósł się z wyrazem znużenia i poszedł za Dorianem do szynkwasu. Mieszaniec w podartym turbanie i wytartym surducie, szczerząc zęby, ustawił przed nimi flaszkę brandy i dwa kieliszki. Kobiety zbliżyły się i poczęły paplać. Dorian odwrócił się i szepnął coś Adrianowi.

Uśmiech krzywy jak malajski sztylet przemknął po twarzy jednej z kobiet.

— Cóżemy dziś tak strasznie dumni? — zadrwiła.

— Na Boga, nie odzywaj się do mnie — krzyknął Dorian, tupiąc nogą. — Czego chcesz? Pieniądzy? Oto masz! Tylko się nie odzywaj!

Dwie czerwone iskry zamigotały na chwilę w błędnych oczach kobiety, potem zgasły i oczy odzyskały poprzedni wyraz szklanej martwoty. Odrzuciła w rył głowę i chciwymi palcami zgarniała monety z szynkwasu. Druga przyglądała jej się z ukosa, pełna zawiści.

— Na nic się to nie zda — westchnął Adrian. — Nie zależy mi na tym, żeby wrócić! Zresztą po co? Jest mi tu całkiem dobrze.

— Jeśli będziesz czego potrzebował, to mi napiszesz, dobrze? — spytał Dorian po chwili milczenia.

— Być może.

— Zatem dobranoc.

— Dobranoc — odparł młody człowiek, znów wchodząc na schodki i chustką ocierając spalone usta.

Dorian, odprowadziwszy go bolesnym spojrzeniem, skierował się ku drzwiom. Gdy odchyłał zieloną zasłonę, z malowanych ust kobiety, której rzucił był pieniądze, wydobył się ohydny śmiech.

— Odchodzi diabli synek — zachichotała, czkając ochryple.

— Przekłeta! Nie nazywaj mnie tak! — krzyknął.

Uczyniła drwiący gest.

— Aha, księciem z bajki trzeba cię nazywać! — wrzasnęła za nim.

Na te słowa śpiący marynarz zerwał się nagle i dzikim spojrzeniem powiódł dokoła. Trzask zamykanych drzwi doleciał do jego uszu. Bez namysłu rzucił się w pościg.

Dorian Gray szedł spieszenie wzdłuż wybrzeża wśród bezustannego deszczu. Spotkanie z Adrianem Singletonem silnie nim wstrząsnęło i w duchu zapytywał się, czy odpowiedzialność za złamanie tego młodego życia istotnie spada na niego, jak to w sposób wyzywający i obelżywy rzucił mu był w twarz Bazyli Hallward. Zagryzł wargi i przez kilka sekund oczy jego wyrażały smutek. Ale w gruncie rzeczy, co go to obchodziło? Życie zbyt jest krótkie, by człowiek miał brać na siebie ciężar cudzych błędów. Każdy żyje swym życiem i płaci za to odpowiednią cenę. Szkoda tylko, że za błąd popełniony raz jeden wciąż się musi płacić. Płacić i płacić bez końca. W stosunkach z człowiekiem los nigdy nie zamyka swych rachunków.

Zdarzają się chwile, jak twierdzą psychologowie, kiedy żądza grzechu lub tego, co świat nazywa grzechem, do tego stopnia włada naturą ludzką, że każde włókno organizmu, każda komórka mózgu brzemiennie są strasznymi popędami. Mężczyzna i kobieta tracą w owych chwilach wolną wolę. Jak automaty biegną ku swemu straszniemu celowi. Odjęta im została wolność wyboru, a sumienie ich jest martwe, o ile zaś żyje, to tylko po to, by buntowi i nieposłuszeństwu nadać specjalny urok. Bo wszelkie grzechy — teolodzy powtarzają to w nieskończoność — są grzechami nieposłuszeństwa. Kiedy ów możny duch, gwiazda zaranna zła spadła z niebios — spadła w postaci buntownika.

Zobojętniały, zaprzędany złu, ze splugawioną wyobraźnią i duszą łaknącą buntu, pędził Dorian Gray przed siebie. Zwolnił kroku i skręcił w sklepione przejście, którym tylokrotnie skracał sobie drogę do osławionego lokalu, dokąd właśnie zdążył, w tejże jednak chwili uczuł, że ktoś go chwyta z tyłu i zanim miał czas pomyśleć o obronie, rzucono go o mur, a brutalna pięść chwyciła go za gardło.

Z szaloną energią walczył o życie i po strasznym wysiłku udało mu się oderwać od szyi dławiące go palce. Równocześnie usłyszał trzask kurka rewolwerowego i ujrzał błyszczącą lufę skierowaną prosto w jego głowę, a przed sobą ciemną sylwetkę niskiego, przysadkowego mężczyzny.

— Czego chcesz? — wykrztusił.

— Cicho! — szepnął mężczyzna. — Jeden ruch, a strzelę ci w łeb.

— Szalony człowieku, cóż ci zrobiłem?

— Złamałeś życie Sybili Vane — brzmiała odpowiedź. — Sybila Vane była moją siostrą. Odebrała sobie życie. Wiem o tym. Za jej śmierć ty odpowiadasz. Przysięgam cię zamordować. Szukałem cię całe lata. Nie miałem żadnej wskazówki ani śladu. Te dwie osoby, które by cię mogły były opisać, umarły. Nie wiedziałem o tobie nic prócz imienia, którym ona cię nazywała. Dziś w nocy usłyszałem je przypadkowo. Załatw swe rachunki z Bogiem, bo za chwilę staniesz przed Nim. Dorian Gray drżał ze strachu.

— Ja jej nigdy nie znałem — wyjąkał. — Nigdy o niej nie słyszałem. Oszalałeś chyba.

— Lepiej zrobiłbyś, wyznając swój grzech, bo przysięgam, jakem James Vane, że umrzesz za chwilę. — Nastąpiła straszna pauza. Dorian nie wiedział, co ma mówić czy zrobić. — Na kolana! — warknął mężczyzna. — Pozostawiam ci minutę na pojednanie się z Bogiem. Jeszcze dziś wyjeżdżam do Indii, więc muszę się wpieryw załatwić z tobą. Daję ci jedną minutę czasu. Nie więcej.

Dorian bezwładnie zwiesił ramiona. Sparaliżowany trwogą, nie wiedział, co począć. Nagle błysnęła mu dzika nadzieja.

— Czeka! — krzyknął. — Jak dawno siostra twoja umarła? Mów prędzej!

— Osiemnaście lat temu — mruknął mężczyzna. — Ale czemu pytasz? Co ci na tym zależy?

— Osiemnaście lat — triumfująco zaśmiał się Dorian Gray. — Osiemnaście lat! Ustaw mnie pod latarnią i przyjrzyj się mej twarzy.

James Vane wahał się przez chwilę, nie rozumiejąc, o co chodzi. Następnie chwycił Doriana Graya i wywlócił go ze sklepionego przejścia.

Pomimo słabego, na wietrze migocącego światła, spostrzegł swą straszną pomyłkę: twarz człowieka, którego miał zamordować, wykazywała całą świeżość chłopięcego uroku, nieskalany czar pierwszej młodości. Ten chłopak mógł sobie liczyć zaledwie dwadzieścia wiosen, tyle mniej więcej, ile miała siostra, kiedy się przed tyloma laty rozstali. Rzecz jasna, nie mógł być tym, który spowodował jej śmierć.

Uwolnił go ze strasznego uścisku i zatoczył się w tył przerażony.

— Mój Boże! Mój Boże! — szepnął. — Mało brakowało, a byłbym cię zamordował.

Dorian Gray odetchnął głęboko.

— Człowieku, mało brakowało, a byłbyś popełnił straszną zbrodnię — rzekł, mierząc go surowym spojrzeniem. — Niech ci to służy za przestrożę, że nie należy brać zemsty w swoje ręce.

— Wybaczcie, panie — mamrotał James Vane. — Pomyliłem się. Przypadkowe słowa usłyszane w tej przeklętej norze zawiodły mnie na fałszywy ślad.

— Wracaj lepiej do domu i odłóż ten rewolwer. Inaczej mogłoby ci się przydarzyć coś złego — rzekł Dorian, odwracając się i powoli idąc ulicą.

James Vane skamieniały z przerażenia wciąż jeszcze stał nieruchomo. Drżał od stóp do głów. Po chwili mroczny cień, chyłkiem przesuwany się wzdłuż wilgotnego muru, wyłonił się z ciemności i podszedł ku niemu ukradkiem. Uczuł rękę na swym ramieniu i obejrzał się przerażony. Była to jedna z kobiet pijących przy szynkwasiu.

— Czemu go nie zamordowałaś? — syknęła, zbliżając swą chudą twarz do jego twarzy. — Wiedziałam, że o niego ci szło, gdy wyleciałaś od Daly'ego. Głupcze, trzeba go było zabić! Ma moc pieniędzy, a gorszy od najgorszego.

— On nie jest tym, za kogo go brałam, a pieniędzy nie potrzebuję od nikogo. Chcę czyjegoś życia. Ten, na którego życie godzę, musi mieć jakie czterdzieści lat, a ten, co odszedł, to młody chłopiec. Bogu dzięki, że nie splamiłem się jego krwią.

Kobieta gorzko się zaśmiała.

— Młody chłopiec — wybuchnęła szyderczo. — Człowieku, toż osiemnaście lat dobiega, jak ten książę z bajki zrobił mnie tym, czym jestem.

— Kłamiesz! — krzyknął James Vane.

Wzniosła rękę ku niebu.

— Zaklinam się na Boga, że mówię prawdę.

— Zaklinasz się na Boga?

— Niech mnie ziemia pochłonie, jeśli mówię nieprawdę. Najgorszy jest ze wszystkich, co tu przychodzą. Powiadają, że diabłu duszę sprzedał za ładną twarz. Osiemnaście lat będzie, jak go poznałam. Mało się zmienił. Ale za to ja? — dodała, obrzucając go pytającym spojrzeniem.

— Przysięgasz na to?

— Przysięgam — wybiegło ochryple echo ze zwiędłych ust.

— Tylko mnie nie zdradź przed nim — zajęczała. — Ja się go boję. Daj mi trochę pieniędzy na nocleg.

Z przekleństwem skoczył na róg ulicy, ale Dorian Gray już zniknął. Obejrzał się za kobietą, lecz i jej już nie było.

## XVII

W tydzień później Dorian Gray siedział w oranżerii w Selby Royal i rozmawiał z piękną księżną Monmouth, bawiącą tu wraz z mężem, sześćdziesięcioletnim przeżyтым dżentelmenem, w gronie innych gości. Była właśnie pora na herbatę. Duża lampa stołowa, przesłonięta koronkowym abazurem, rzucała łagodne światło na delikatny serwis z chińskiej porcelany i matowego srebra, koło którego krzątała się księżna, nalewając herbatę. Białe jej ręce poruszały się zgrabnie między filiżankami, a pełne purpurowe usta uśmiechały się do czegoś, co jej szepciem powiedział Dorian. Lord Henryk siedział rozparty w fotelu z trzciny, przykrytym jedwabiem i przyglądał się im. Na kanapie brzoskwiowego koloru zajęła miejsce lady Narborough udając, że słucha opowiadania księcia, opisującego jej ostatniego chrapaszczka z Brazylii, którym udało mu się wzbogacić swe zbiory. Trzech młodych panów w świetnie skrojonych smokingach podawało damom ciastka. Towarzystwo składało się z dwunastu osób, a następnego dnia mieli przybyć nowi goście.

— O czym rozmawiacie? — spytał lord Henryk, przystępując do stołu i stawiając swą filiżankę. — Gladys, czy mówił ci może Dorian o moim planie nadania wszystkiemu innych nazw? To doskonała myśl.

— Ależ, Harry! Kiedy ja wcale nie chcę zmienić swego imienia — odparła księżna, podnosząc nań swe cudowne oczy. — Jestem zupełnie zadowolona z dotychczasowego, a sądzę, że pan Gray powinien być również zadowolony ze swego.

— Moja droga Gladys, ja też nie zamierzam zmieniać żadnego z nich. Obydwa są doskonałe. Myślałem tylko o kwiatach. Wczoraj zerwałem orchideę do butonierki. Była precudnie nakrapiana, czarowna jak siedem grzechów śmiertelnych. W chwili bezmyślności zapytałem ogrodnika o jej nazwę. Powiedział mi, że jest to piękna odmiana Robinsoniany, czy coś równie okropnego. Smutna to prawda, ale zatraciliśmy zdolność nadawania rzeczom pięknych nazw. A nazwy są wszystkim. Nigdy nie walczę o czyny — Chodzi mi jedynie i wyłącznie o słowa. Dlatego nienawidzę brutalnego realizmu w literaturze. Kto łopatę nazywa łopatą, powinien zostać skazany na kopanie. To jedyne odpowiednie dlań zajęcie.

— Ale jak w takim razie nazywać ciebie, Harry? — spytała księżna.

— On się zowie książę Paradoks — odparł Dorian. — Akceptuję natychmiast! — zawołała księżna.

— Nie chcę o tym słyszeć — zaśmiał się lord Harry, padając na fotel. — Od etykiety uwolnić się niepodobna. Zrzekam się tytułu.

— Królewskiej wysokości nie wolno abdykować — padła przestroga z pięknych ust.

— Mam więc bronić swego tronu?

— Tak!

— Rozdaję prawdy jutrzejsze.

— Ja wolę błędy dzisiejsze — odparła.

— Gladys, rozbroiłaś mnie — zawołał, wpadając w ton jej swawolnego humoru.

— Tylko tarczę ci wytrąciłam, nie kopię.

— Nigdy nie walczę przeciw piękności — rzekł z gestem pełnym wdzięku.

— W tym właśnie twój błąd, Harry. Wierzaj mi, przeceniasz piękność.

— Jak możesz mówić coś podobnego? Uważam i przyznaję się do tego, że lepiej jest być pięknym niż dobrym. Ale nikt z równą gotowością nie przyzna, że lepiej być dobrym niż brzydkim.

— Więc brzydota jest jednym z siedmiu grzechów śmiertelnych? — zawołała księżna. — Cóż będzie z twoim porównaniem o orchidei?

— Brzydota jest jedną z siedmiu cnót śmiertelnych, Gladys. Jako wierna adeptka partii torysów, nie powinnaś jej lekceważyć. Piwo, Biblia i siedem cnót śmiertelnych uczyniły Anglię tym, czym jest.

— A więc ty nie kochasz swej ojczyzny? — zapytała. — Żyję w niej.

— Żeby lepiej mocją krytykować.

— Czy mam przyswoić sobie zdanie Europy o niej? — zapytał.

— A co o nas mówią?

— Że Tartuffe wyemigrował do Anglii i otworzył sklep.

— Czy to też twoje powiedzonko, Harry?

— Odstępuję ci je.

— Mnie ono niepotrzebne. Zbyt jest prawdziwe.

— Nie potrzebujesz się obawiać. Żaden Anglik nie pozna się na prawdziwości opisu.

— Bo praktyczny.

— Raczej chytry. Przy robieniu bilansu pieniądze równoważą ograniczoność, a obłuda występki.

— A jednak dokonaliśmy rzeczy wielkich.

— Los je nam narzucił.

— Ale unieśliśmy ciężar.

— Tylko aż do giełdy.

Potrząsnęła głową.

— Wierzę w nasz naród — rzekła.

— Wykazuje żywotność ludzi przedsiębiorczych.

— Rozwija się.

— Mnie więcej pociąga upadek.

— A sztuka? — spytała.

— Jest chorobą.

— Miłość?

— Złudzeniem.

— Religia?

— Wytwornym surogatem wiary.

— Jesteś sceptykiem.

— Nie. Sceptycyzm jest początkiem wiary.

— Więc czymże jesteś?

— Określać znaczy ograniczać.

— Chciałabym złapać wątek twoich myśli.

— Nić się zrywa. Gladys, zabłąkałabyś się w labiryncie.

— Zdumiewasz mnie. Mówmy o kim innym.

— Nasz gospodarz jest pięknym tematem. Przed laty nazywano go księciem z bajki.

— O, nie przypominaj mi tego! — zawołał Dorian Gray.

— Nasz gospodarz jest dziś nieco szorstki — rzekła księżna rumieniąc się. — Zdaje się sądzić, że Monmouth ożenił się ze mną z motywów czysto naukowych, jako z najlepszym okazem współczesnego motyla.

— Ach, mam nadzieję, że nie wbija w panią szpilek — zaśmiał się Dorian.

— O to stara się już moja garderobiana, gdy się na mnie zirytuje.

— Ależ z jakiego powodu, księżno, może się na panią irtować”?



— Z powodów najbliższych, zapewniam pana. Gdy na przykład wracam do domu dziesięć minut przed dziewiątą i powiadam jej, że o wpół do dziewiątej powinnam była być ubrana.

— Jakże to nierozsądnie z jej strony. Powinna ją pani oddalić.

— Nie śmiem, panie Gray. Ona modeluje moje kapelusze. Przypomina pan sobie, jaki kapelusz miałam na *garden party* u lady Hilstone? Pan nie pamięta, ale ładnie, że pan przynajmniej udaje, jakoby pamiętał. Otóż kapelusz ten zrobiła z niczego. Każdy dobry kapelusz powstaje z niczego.

— Jak wszelka reputacja, Gladys — wtrącił lord Henryk. — Każde dobre wrażenie, jakie się wywołuje w świecie, stwarza nam nieprzyjaciela. Aby być lubianym przez ludzi, trzeba być miernotą.

— Tylko przez kobiety — rzekła księżna, wykonując głową przeczący ruch — a kobiety rządzą światem. Zaręczam panu, że nie znosimy miernot. Ktoś powiedział, że my, kobiety, kochamy uszami jak wy, mężczyźni, oczyma, jeśli w ogóle kochacie.

— Zdaje mi się, że nigdy nie czynimy nic innego — szepnął Dorian.

— O, w takim razie nigdy pan nie będzie kochał prawdziwie — odparła księżna z udanym żalem w głosie.

— Moja droga Gladys — zawołał lord Henryk. — Jak możesz twierdzić coś podobnego? Romantyczne uczucia żyją tym, że się powtarzają, a powtarzanie przekształca żądę w sztukę. Przy tym każdorazowa miłość wydaje nam się zawsze jedyna. Rozmaitość przedmiotu wcale nie zmienia poczucia, że namiętność jest jedyna. Potęguje je tylko. W życiu możemy mieć co najwyżej jedno wielkie doświadczenie, a tajemnica życia polega na tym, by doświadczenie powtarzało się jak najczęściej.

— Nawet gdy nam zadaje rany, Harry? — po chwili milczenia spytała księżna.

— Wówczas tym bardziej — odparł lord Henryk.

Księżna odwróciła się i spojrzała na Doriana Graya; oczy jej miały dziwny wyraz.

— A co pan na to, panie Gray? — spytała.

— Ja, księżno, zawsze się zgadzam z Harrym.

— Nawet wtedy, gdy nie ma słuszności?

— Harry zawsze ma słuszność, księżno.

— I filozofia jego daje panu szczęście?

— Nigdy nie szukałem szczęścia. Kto pragnie szczęścia? Szukałem rozkoszy.

— I znajdował ją pan, panie Gray?

— Często. Nazbyt często. Księżna westchnęła.

— Ja szukam spokoju — rzekła — a nie będę go miała dzisiejszego wieczoru, jeśli natychmiast nie pójdę się przebrać.

— Przyniosę pani kilka orchidei — rzekł Dorian i poszedł w głąb oranżerii.

— Flirtujesz z nim w sposób nieodpowiedzialny — rzekł lord do swojej kuzynki. — A powinnaś się mieć na ostrożności. To człowiek fascynujący.

— Gdyby nim nie był, nie byłoby walki.

— Zatem Grecy przeciw Grekom?

— Ja trzymam z Trojańczykami. Walczyli o kobietę.

— I zostali pokonani.

— Istnieje coś gorszego od popadnięcia w niewolę — odparła.

— Galopujesz i popuszczasz sobie cugli.

— Tempo nadaje smak życiu — brzmiała odpowiedź.

— Zapiszę to sobie dziś wieczór.

— Co?

- Że dziecko, co się sparzyło, kocha ogień.
- Mnie ogień nawet nie owionął. Mam skrzydła nietknięte.
- Do wszystkiego ich używasz, tylko nie do ucieczki.
- Odwaga przeszła z mężczyzn na kobiety. To coś nowego dla nas.
- Masz rywalkę.
- Kogo? Zaśmiał się.
- Lady Narborough — szepnął. — Ubóstwia go.
- To mnie zatrważa. Zamiłowanie do starożytności jest dla nas, romantyków, niebezpieczne.
- Romantyków? Posługujesz się metodą naukową.
- Wykształcili nas mężczyźni.
- Ale was nie zdefiniowali.
- Określ ród niewieści — padło wyzwanie.
- Sfinksy bez tajemnic. Uśmiechnęła się doń.
- Jakże długo nie wraca pan Gray — zawołała. — Chodź, pomożemy mu w wyborze. Nie podałam mu nawet koloru mej sukni.
- O, Gladys, kolor sukien musisz stosować do jego kwiatów.
- Byłoby to przedwczesną kapitulacją.
- Sztuka romantyczna zaczyna się punktem kulminacyjnym.
- Muszę sobie zapewnić odwrót.
- Podług taktyki Partów?
- Oni znaleźli bezpieczeństwo na pustyni. Ja bym się na to nie zdobyła.
- Nie zawsze pozostawia się kobietom wolność wyboru — odparł.

Ale zaledwie wypowiedział te słowa, gdy z głębi oranżerii doleciał ich zdławiony jęk, a niemal równocześnie głuchy łoskot, jakby coś ciężkiego upadło na ziemię. Wszyscy się zerwali. Księżna znieruchomiała ze strachu. Lord Henryk z przerażeniem w oczach biegł wśród szeleszczących palm i ujrzał Doriana Graya w śmiertelnym omdleniu, leżącego twarzą w dół na kamiennej podłodze.

Przeniesiono go natychmiast do błękitnego salonu i złożono na sofie. Niebawem przyszedł do siebie i rozglądał się wokół zmieszany.

— Co się stało? — spytał. — O tak, już sobie przypominam. Harry, czy jestem tu bezpieczny? Drżał całym ciałem.

— Mój drogi Dorianie — uspokajał go lord Henryk. — Zemdlałeś tylko. Nic więcej. Jesteś widocznie trochę przemęczony. Lepiej zrobisz, nie przychodząc na obiad. Ja cię zastąpię.

— Owszem, wolę przyjść — odparł, z trudem wstając z sofy. — Wolę przyjść. Nie chcę być sam.

Poszedł do swego pokoju i przebrał się. Przy stole okazywał dziką, niepohamowaną wesołość, ale od czasu do czasu przebiegał go śmiertelny lęk na wspomnienie białej jak chusta twarzy Jamesa Vane'a, który przyciśnięty do szyby oranżerii baczenie mu się przyglądał.

## XVIII

Następnego dnia wcale nie wychodził z domu i prawie cały czas spędził w swym pokoju. Chory był od tej trwogi przed śmiercią, równocześnie jednak zobojętniały na życie. Świadomość, że jest ścigany, śledzony, że zastawiono na niego sidła, całkowicie nim owładnęła. Firanki, poruszone wiatrem, wprawiały go w drżenie. Martwe liście, miotane o szyby oprawne w ołów, wydawały mu się niby jego własne zmarnowane postanowienia i straszliwe żale. Gdy zamykał oczy, widział znów za mokrą od deszczu szybą przyczajoną twarz marynarza i jeszcze raz okropna trwoga ścisnęła mu serce.

A może to tylko jego przywidzenie wywlokło zemstę z mroku i stawiło mu przed oczy straszną postać kary. Życie było chaosem, ale wyobraźnia miała swoją straszną logikę. Wyobraźnia wysyłała w trop za grzechem wyrzuty sumienia. Wyobraźnia otaczała każdą zbrodnię potwornym płodem. W zwykłym świecie rzeczywistości złych ludzi nie spotyka kara ani dobrych — nagroda. Powodzenie towarzyszy silnemu, słaby musi się usuwać z drogi. Oto wszystko. Przy tym, gdyby jakiś obcy człowiek wałęsał się koło domu, musiałyby go spostrzec służba lub stróż. A gdyby na grzędach odkryto ślady stóp, ogrodnicy byłiby natychmiast o tym zameldowali. Tak, to tylko mara wyobraźni! Brat Sybili Vane nie wrócił, by go zamordować. Wyjechał na swym okręcie, by gdzieś zatonać w morzu zimową porą. Od niego w każdym razie nie groziło mu niebezpieczeństwo. Wszak człowiek ten nie wiedział nawet, kim on jest. Ocaliła go maska młodości.

A jednak... Jeśli to nawet było złudzenie, jakie to straszne, że sumienie zdolne jest wywoływać takie okropne mary, nadawać im kształty widzialne, kazać im się poruszać. Jakież będzie jego życie, jeśli dniem i nocą cienie zbrodni zaczną z milczących kątów podpatrywać go i ze skrytek tajemnych szydzić z niego, szeptać mu do uszu podczas uczyty i ze snu go budzić lodowatymi palcami. Gdy myśl ta wpęzła mu do mózgu, twarz jego zbladła ze strachu i zdało mu się, jak gdyby powietrze nagle się oziębiło. O, w jakże dziwnej godzinie szale zamordował swego przyjaciela! Jak straszną była sama pamięć owej sceny. Widział ją przed sobą. Każdy wstrętny szczegół ożył, spotęgowany strachem.

Z czarnej otchłani czasu wyłonił się potworny, szkarłatem okryty obraz jego grzechu. Gdy o szóstej godzinie przyszedł do niego lord Henryk, zastał go we łzach. Płakał jak człowiek, któremu serce pęka.

Dopiero trzeciego dnia odważył się wyjść z domu. W czystej, wonią sosen przesyconej atmosferze zimowego poranka było coś napawającego go ponownie radością i zapałem życiowym. Ale nie tylko zewnętrzne warunki otoczenia wywołały tę zmianę. Własna jego natura podniosła bunt przeciw nadmiernej udreće, pragnącej skazić i zniweczyć doskonały spokój atmosfery. Leży to w naturze ludzi subtelnych i wrażliwych. Ich silne namiętności muszą albo miazdżyć, albo załamać się. Zabijają człowieka lub same giną. Płytki żal i płytka miłość żyją długo. Wielka miłość i wielki ból giną od własnego nadmiaru. Poza tym przekonał siebie, że był ofiarą smaganej trwogą wyobraźni i na lęk swój spoglądał teraz z odcieniem litości i sporą dozą wzgardy.

Po śniadaniu przechadzał się z księżną godzinę po ogrodzie, następnie wyjechał przez park, by się przyłączyć do myśliwych. Szron jak grudki soli świecił na trawie. Niebo wyglądało jak odwrócona filiżanka z błękitnego metalu. Cienka warstwa lodu okrywała brzegi płytkiego, trzciną porośłego jeziora.

Na skraju sosnowego lasu spotkał sir Geoffreya Cloustonea, brata księżnej, który właśnie wyrzucał ze strzelby dwa wystrzelone naboje. Zeskoczył z powoziku, kazał furmanowi zawrócić i szedł pieszo po zwiędłych i poplątanych zaroślach naprzeciw swego gościa.

— I jakże, Geoffreyu, powiodło się polowanie? — spytał.

— Niezbyt. Zdaje się, że większość ptaków odleciała w pole. Sądzę jednak, że po lunchu powiedzie się lepiej, gdy przejdziemy na nowy teren.

Dorian w milczeniu szedł obok niego. Ostre, wonne powietrze; brązowe i czerwone smugi świetlne, migocące wśród lasu, ochryple krzyki naganiaczy, rozlegające się co chwila, i następujące po nich wystrzały — wszystko to upajało go, przejmując uczuciem rozkosznej swobody. Opanowała go beztroska szczęścia, przemożna obojętność radości.

Nagle, o jakie dziesięć metrów od nich, z gęstej kępy zeschłej trawy wybiegł zając o nastawionych, czarno zakończonych słuchach. Sadząc na tylnych skokach, zmierzał wprost ku gęstwie olch. Sir Geoffrey chwycił strzelbę, ale w zwinnych susach zwierzęcia było tyle wdzięku, że Dorian zachwycony zawołał:

— Geoffreyu, nie strzelaj, daruj mu życie!

— Cóż za kaprys, Dorianie — zaśmiał się towarzysz i w chwili kiedy zając wpadł w gęstwinię, strzelił.

Odpowiedziały mu dwa głosy: straszny przedśmiertny pisk zająca i straszniejszy od niego przedśmiertny jęk człowieka.

— Na Boga, trafiłem naganiacza! — krzyknął sir Geoffrey. — Cóż za dureń. Stawać naprzeciw lufy. Nie strzelać! — wołał na całe gardło. — Człowiek zraniony.

Nadlesny nadbiegł z drągiem w rękę.

— Gdzie, jaśnie panie, gdzie on jest? Równocześnie umilkły strzały na całej linii.

— Tu! — z wściekłością odparł sir Geoffrey, biegnąc ku gęstwinie. — Czemu, u diabła, nie trzymacie ludzi z daleka? Zepsuliście mi całe polowanie.

Dorian przystanąwszy na uboczu patrzył, jak wśród gęstwy olch odchylali długie, giętkie, ku ziemi zwisające gałęzie. Po kilku minutach wyszli wlokąc trupa. Odwrócił się przerażony. Zdawało mu się, że gdziekolwiek stąpi, wszędzie mu towarzyszy nieszczęście. Słyszał, jak sir Geoffrey pytał, czy ranny już nie żyje, a nadlesny odpowiedział twierdząco. Wydało mu się, że las nagle wypełnił się mnóstwem twarzy. Tysiąc nóg stapało, niezliczone głosy szumiały wokół. Duży bażant o miedzianoceglastych piórach zatrzepotał wśród gałęzi.

Po kilku minutach, które w jego stanie nerwów wydały mu się godzinami bezbrzeżnego bólu, uczył czyjaś dłoń na ramieniu. Drgnął i odwrócił się.

— Dorianie — ozwał się lord Henryk — lepiej może będzie, gdy na dziś zarządę koniec polowania. Inaczej zrobi to złe wrażenie.

— Chciałbym, aby się już skończyło na zawsze, Harry — odparł gorzko. — Polowanie jest tak szkaradne i okrutne. Czy ten człowiek...

Nie mógł dokończyć zdania.

— Niestety — odparł lord Henryk. — Cały ładunek utkwiał mu w piersi. Umarł prawdopodobnie natychmiast. Chodź, wracajmy do domu.

Uszli jakie pięćdziesiąt metrów, nie mówiąc do siebie. Wreszcie Dorian spojrzał na lorda Henryka i rzekł z ciężkim westchnieniem:

— To zły omen, Harry, bardzo zły omen.

— Co? — spytał lord Henryk. — Ach, myślisz o tym wypadku? Mój drogi chłopcze, na to nie ma już rady. Sam zresztą zawinił. Czemuż stawał naprzeciw lufy? Nas to wreszcie nic nie obchodzi. Nieprzyjemna historia dla Geoffreya. Nie należy strzelać do naganiaczy. Zaraz

rozchodzą się plotki, że się strzela na oślepa. A w tym wypadku niesłusznie, Geoffrey strzela dobrze. Ale cóż zda się o tym mówić.

Dorian potrząsnął głową.

— To zły omen, Harry. Mam wrażenie, że jednemu z nas zdarzy się coś strasznego. Może mnie — dodał z wyrazem cierpienia, przesuując dłonią po czole.

Starszy mężczyzna się zaśmiał.

— Jedyna straszna rzecz na świecie to nuda. To jedyny grzech, którego nie można przebaczyć. My jednak nie będziemy cierpieć z jego powodu, jeśli tylko przy obiedzie nie zacznie się paplać o tej historii. Muszę im powiedzieć, że tego tematu nie wolno poruszać. A omen! Nie ma żadnych omenów. Los nie wysyła heroldów. Zbyt jest na to mądry lub zbyt okrutny. Zresztą, Dodanie, cóż mogłoby ci się zdarzyć? Posiadasz wszystko, czego tylko człowiek może zapragnąć. Nie znam nikogo, kto by się z przyjemnością z tobą nie zamienił.

— Nie znam nikogo, Harry, z kim ja bym się nie zamienił. Nie śmieję się tak, mówię prawdę. Temu nędznemu chłopu, co skonał przed chwilą, lepiej niż mnie. Ja się śmierci nie boję. Ale trwogą mnie przejmuje to zbliżanie się śmierci. Jej olbrzymie skrzydła szumią dokoła mnie w ołowianym powietrzu. Na Boga, czy nie widzisz tam za drzewem człowieka, który na mnie czyha?

Lord Henry spojrział w kierunku wskazanym drżącą ręką Doriana.

— Tak — odparł z uśmiechem — widzę ogrodnika, który cię oczekuje. Prawdopodobnie chce zapytać, jakie kwiaty pragniesz mieć dziś przy stole. Ależ, drogi chłopcze, po co to niedorzeczne zdenerwowanie? Musisz pójść do mego lekarza, gdy wrócimy do Londynu.

Dorian odetchnął swobodniej, widząc zbliżającego się ogrodnika. Ten dotknął kapelusza, przez chwilę niezdecydowanym wzrokiem mierzył lorda Henryka, po czym wyjął list i wręczył go swemu panu.

— Księżna pani kazała mi czekać na odpowiedź.

Dorian wetknął list do kieszeni.

— Proszę powiedzieć księżnej, że wracam do domu — zimno odparł Dorian.

Ogrodnik odwrócił się i poszedł szybko w kierunku domu.

— Jak chętnie kobiety popełniają rzeczy niebezpieczne! — zaśmiał się lord Henryk. — To jedna z właściwości, którą najbardziej u nich podziwiam. Kobieta będzie flirtowała z każdym mężczyzną, dopóki się inni temu przyglądają.

— Jak chętnie mówisz niebezpieczne rzeczy, Harry! W tym wypadku się mylisz. Księżna jest mi bardzo sympatyczna, ale jej nie kocham.

— A księżna ciebie bardzo kocha, ale jesteś jej mniej sympatyczny. Doskonała więc z was para.

— Harry, rozpowiadasz plotki, a plotki nigdy nie mają podstawy.

— Podstawą każdej plotki jest niemoralna pewność — rzekł lord Henryk, zapalając papierosa.

— Ty, Harry, poświęciłbyś cały świat dla epigramu.

— Świat dobrowolnie garnie się do ołtarza ofiarnego — brzmiała odpowiedź.

— Chciałbym móc kochać — zawołał Dorian z głębokim żalem w głosie. — Zdaje mi się jednak, że opuściła mnie namiętność i zapomniałem, czym jest pragnienie. Zbyt się koncentruję w sobie samym. Własna moja osobowość stała mi się ciężarem. Chcę uciec, odejść, zapomnieć. Głupio było z mej strony, że w ogóle tu przybyłem. Mam zamiar zatelefonować do Harveya, by jacht mój był w pogotowiu. Na jachcie człowiek czuje się bezpieczny.

— Bezpieczny? Przed czym, Dodanie? Coś cię niepokoi. Czemu mi nie powiesz, co to jest? Wiesz, że mógłbym ci pomóc.

— Tego ci powiedzieć nie mogę — odparł Dorian smutnie. — Sam zresztą sędzę, że to tylko wytwór mej wyobraźni. Ten nieszczęsny wypadek zupełnie mnie wyprowadził z równowagi. Mam straszne przecucie, że i mnie spotka coś podobnego.

— Co za niedorzeczność!

— Może być, ale nie mogę zmienić mojego nastroju. Ach, oto i księżna. Wygląda pani jak Artemis w stroju myśliwskim. Wróciliśmy już z polowania.

— Wiem o wszystkim, panie Gray — odparła. — Biedny Geoffrey nie może się uspokoić. A pan go podobno prosił, żeby nie strzelał do zająca. Jakie to dziwne.

— Tak, to było dziwne istotnie. Nie wiem, czemu to powiedziałem. Kaprys chwilowy, widocznie. Tak ślicznie wyglądało to stworzonko. Przykro mi tylko, że pani opowiedziano o tym człowieku. Brzydki temat.

— Przede wszystkim nudny temat — wtrącił lord Henryk. — Pozbawiony jakiegokolwiek psychologicznej wartości. Gdyby Geoffrey był czyn ten spełnił rozmyślnie, jakże byłby zajmujący. Bardzo bym pragnął znać człowieka, który popełnił prawdziwe morderstwo.

— Harry, jakie ty straszne rzeczy wygadujesz — krzyknęła księżna. — Nieprawdaż, Gray? Harry, panu Grayowi znów się robi niedobrze. Mdleje!

Dorian z trudem opanował słabość i uśmiechnął się.

— To nic, księżno — mamrotał — tylko moje nerwy strasznie się rozstroiły. Nic więcej. Za długo chodziłem dziś rano. Nie dosłyszałem, co Harry powiedział. Czy znów coś bardzo złego? Powtórz mi pani przy sposobności, dobrze? Teraz muszę się na chwilę położyć. Zechce mi pani wybaczyć.

Stanęli przed wspaniałymi szerokimi stopniami, wiodącymi z oranżerii na taras. Gdy szklane drzwi zamknęły się za Dorianem, lord Henryk odwrócił się i zamglonymi oczyma spojrzał na księżnę.

— Bardzo go kochasz? — spytał.

Długo nie dawała odpowiedzi, zapatrzona w krajobraz.

— Sama chciałabym to wiedzieć — rzekła wreszcie. Potrząsnął głową.

— Pewność jest fatalna. Niepewność czaruje. Mgła nadaje rzeczom urok.

— Można w niej zatracić drogę.

— Wszystkie drogi wiodą do jednego punktu, moja droga Gladys.

— A tym jest?

— Rozczarowanie.

— Taki był mój debiut życiowy — westchnęła.

— Przyszło ono do ciebie w koronie.

— Znużyły mnie już pałki książęcej korony.

— Bardzo ci z nimi do twarzy.

— Tylko w życiu publicznym.

— Boleśnie odczułabyś ich brak.

— Nie chcę też uronić ani jednej.

— Monmouth ma uszy — Starość jest głucha

— Nigdy nie był zazdrosny?

— Zabiję, że nim nie był.

Rozglądał się, jakby czegoś szukał.

— Czego szukasz? — spytała.

— Rękojeści twego rapieru — odparł powoli — Straciłaś ją. Zaśmiała się.

— Pozostała mi jeszcze maska.

— Potęguję czar twych oczu — brzmiała odpowiedź.

Znów się zaśmiała. Zęby jej wyglądały jak białe ziarna w szkarłatnym owocu.

Na piętze w swym pokoju leżał na sofie Dorian Gray, każdym rozedrganym włóknem jego ciała wstrząsała trwoga. Życie stało się dlań nagle wstrętnym ciężarem. Okropna śmierć nieszczęsnego naganiacza, jak dzikie zwierzę zastrzelonego w gęstwinie, wydała mu się zwiastunem jego własnej śmierci. Omal nie zemdłał, gdy lord Henryk powiedział przypadkowo swój cyniczny żart.

O godzinie piątej zadzwonił na służącego i kazał spakować swoje rzeczy — chciał wyjechać nocnym ekspresem do Londynu — a także przygotować powóz na pół do dziewiątej. Ani jednej nocy nie chciał już spędzić w Selby Royal. Ta miejscowość była złowroga. Tu śmierć broczyła w blasku słońca. Trawa w lesie obryzgana była krwią.

Później napisał kartkę do lorda Henryka, zawiadamiając go, że jedzie do Londynu poradzić się swego lekarza. Prosi więc, by pod jego nieobecność zajął się gośćmi. Gdy wkładał bilet do koperty, zapukał służący, meldując, że nadleśniczy prosi o chwilę rozmowy. Zmarszczył czoło i przygryzł dolną wargę.

— Niech wejdzie — rzekł po chwili wahania. Wyjął z szuflady książeczkę czekową i otworzył ją.

— Przychodzicie zapewne z powodu tego nieszczęśliwego wypadku? — zwrócił się do nadleśniczego, ujmując pióro.

— Tak, jaśnie panie.

— Czy ten biedak był żonaty? Utrzymywał kogoś z rodziny? — wypytywał znudzonym tonem. — Jeśli tak, to nie zaznają biedy, pošlę im taką sumę, jaką uznacie za stosowną.

— Jaśnie panie, my nie wiemy, kto jest ten zastrzelony. Dlatego też ośmieliłem się przyjść do jaśnie pana.

— Nie wiecie, kto on jest? — obojętnie mówił Dorian. — Co to ma znaczyć? Więc nikt ze służby?

— Nie, jaśnie panie. Nigdy go na oczy nie widziałem. Wygląda na marynarza.

Pióro wypadło z palców Dorigana. Miał uczucie, że serce przestało mu bić.

— Marynarz? — krzyknął. — Marynarz, powiadacie?

— Tak, jaśnie panie. Wygląda na marynarza, ma obydwie ręce tatuowane.

— Czy znaleziono coś przy nim? — pytał Dorian, przechylając się ku nadleśniczemu i wlepiając w niego rozszerzone źrenice. — Coś, z czego można by wywnioskować o jego nazwisku?

— Znaleziono tylko trochę pieniędzy, jaśnie panie, i rewolwer. Nigdzie śladu nazwiska. Wygląda zupełnie przyzwoicie, choć jakby gburowato. Najpewniej marynarz.

Dorian się zerwał. Błysnęła mu straszna nadzieja. Uczepił się jej rozpaczliwie.

— Gdzie zwłoki? — zawołał. — Szybko, chcę je zaraz zobaczyć.

— Złożyliśmy je w pustej stajni w Home Farm, jaśnie panie. Ludzie nie chcą trzymać trupa w domu. Mówią, że to przynosi nieszczęście.

— W Home Farm! Proszę zaraz zejść i kazać mi podać konia. Nie, wszystko jedno, sam idę do stajni, będzie prędzej.

W kwadrans później Dorian pędził galopem długą aleją. Drzewa upiornym korowodem sunęły obok niego, a czarne cienie zdawały się raz po raz wyłaniać z mroku i znikać. Przy białej bramie koń skoczył w bok i omal nie zrzucił jeźdźca. Trzcinką smagnął go po szyi. Koń jak strzała pomknął w ciemną dal. Kamienie pryskały spod podków.

Wreszcie dojechał do Home Farm. W podwórzu stało dwóch ludzi. Zeskoczył z siodła i jednemu z nich rzucił lejce wierzchowca. W stajni położonej w głębi podwórza migotało światło. Coś zdawało mu się mówić, że tam leży trup.. Pobiegnął ku drzwiom i ujął za klamkę.

Zawahał się chwilę, czując, że stoi przed odkryciem, od którego zależy spokój lub ruina jego życia. Po czym pchnął drzwi i wszedł.

Na stosie worów, w najdalszym kącie stajni, leżały zwłoki mężczyzny. Ubrany był w grubą koszulę i granatowe spodnie. Pstrokata chustka zakrywała mu twarz. Obok migotała brudna świeca wetknięta w butelkę.

Dorian się wzdrygnął. Czuł, że sam nie zdołałby ściągnąć tej chustki, i przywołał jednego z fornali.

— Ściągnij mu to z głowy — rzekł. — Chcę zobaczyć twarz — dodał, opierając się o odrzwia.

Gdy fornał spełnił rozkaz, Dorian postąpił krok naprzód. Okrzyk radości wyrwał się z jego piersi. Człowiekiem zastrzelonym w gęstwinie był James Vane.

Dorian stał jeszcze parę minut, wpatrzony w trupa. Wracając do domu, miał w oczach łzy. Wiedział, że już jest bezpieczny.



## XIX

— Na nic się nie zda twoje zapewnienie, że staniesz się dobry — zawołał lord Henryk, zanurzając białe palce w czerwonej miedzianej czarze, napełnionej różaną wodą. — Ty już jesteś doskonały. Proszę, nie zmieniaj się.

Dorian potrząsnął głową.

— Nie, Harry, zbyt wiele okropności popełniłem w życiu. Ale to się już nie powtórzy. Wczoraj rozpocząłem moje dobre uczynki.

— Gdzie byłeś wczoraj?

— Na wsi, Harry. Byłem sam jeden w małej oberży.

— Mój drogi chłopcze — z uśmiechem rzekł lord Henryk — na wsi każdy może być dobry. Tam nie ma żadnych pokus do zwalczania. Dlatego też ludzie nie mieszkający w mieście są tak niecywilizowani. Cywilizacji nie osiąga się tak łatwo. Wiodą do niej tylko dwie drogi: kultura i zepsucie. Ludność wiejska nie ma okazji do żadnej z tych rzeczy, dlatego ulega stagnacji.

Kultura i zepsucie! — wykrzyknął Dorian. — Skosztowałem jednego i drugiego. Trwogą mnie przejmuje teraz myśl, że mogą one czasem iść z sobą w parze. Bo znalazłem dla siebie nowy ideał, Harry. Chcę się zmienić. Zdaje mi się nawet, że już się zmieniłem.

— Nie powiedziałeś mi jeszcze, na czym polega twój dobry uczynek. Czy może spełniłeś ich już kilka? — pytał lord Henryk, nakładając na swój talerzyk małą, czerwoną piramidkę ogrodowych poziomek i posypując je cukrem łyżeczką w kształcie muszli, dziurkowaną jak sitko.

— Zaraz ci opowiem, Harry. Jest to historia, o której prócz ciebie nie mógłbym mówić z nikim. Wiesz, oszczędziłem kogoś. To brzmi jak przechwałka, ale ty mnie zrozumiesz. Była cudownie piękna i dziwnie podobna do Sybili Vane. Sądzę, że to mnie do niej pociągnęło z początku. Wszak przypominasz sobie Sybilę? Jakie to dawne czasy! Hetty nie należy oczywiście do naszej sfery. Jest po prostu wiejską dziewczyną. Ale kochałem ją naprawdę. Jestem pewny, że ją kochałem. W ciągu tegorocznego czarownego maja dwa lub trzy razy na tydzień wyjeżdżałem tam, by się z nią widzieć. Wczoraj spotkałem ją w małym sadzie. Kwiecie jabłoni osypywało jej włosy, a ona się śmiała. Dziś rano, świtem, mieliśmy razem zniknąć. Nagle postanowiłem zostawić ją taką śnieżnoliliową, jaką ją poznałem...

— Sądzę, Dorianie, że nowość tego rodzaju wzruszeń musiała ci dostarczyć prawdziwej rozkoszy — przerwał lord Henryk. — Ale mogę już sam dośpiewać sobie koniec twjej idylli. Udzieliłeś jej dobrej rady, łamiąc przy tym jej serce. To był początek twego nawrócenia się.

— Harry, ty jesteś straszny. Nie wolno ci mówić tak brzydkich rzeczy. Serce Hetty nie jest złamane. Naturalnie, że płakała i tak dalej, ale nie ma na niej piętna hańby. Może żyć jak Perdyta w swym ogródku, pełnym mięty i nagietek.

— I opłakiwać niewiernego Floryzela — zaśmiał się lord Henryk, wygodnie opierając się o poręcz fotela. — Mój drogi Dorianie, miewasz kaprysy wprost dziecinne. Czy sądzisz, że tę dziewczynę zadowoli już kiedykolwiek człowiek z jej sfery? Najprawdopodobniej wyjdzie kiedyś za ordynarnego furmana lub chłopca, szczerzącego do niej zęby, ale fakt, że ciebie znała i kochała, nauczy ją gardzić swym mężem i uczyni nieszczęśliwą. Ze stanowiska moralności nie mogę też oceniać zbyt wysoko twego wyrzeczenia. Nawet jako początek nie jest ono imponujące. Poza tym skąd wiesz, czy Hetty już w tej chwili nie tonie w jakimś stawie, oblana światłem księżycy, wśród wodnych lilii jak Ofelia.

— Harry, ja nie mogę tego słuchać. Naprzód szydzisz ze wszystkiego, a później sugerujesz najokropniejsze tragedie. Żałuję, że ci w ogóle o tym mówiłem. Jest mi zgoła obojętne, jak się do tego odnosisz. Wiem, że postąpiłem dobrze. Biedna Hetty! Gdy dziś przejeżdżałem koło dworku, biała jej twarzyczka zajaśniała za szybą niby wiązanka śnieżnego jaśminu. Ale nie mówmy o tym dłużej i nie staraj się mnie przekonać, że pierwszy dobry czyn, jaki spełniłem od lat, pierwsza drobna ofiara, jaką złożyłem, w rzeczywistości jest rodzajem grzechu. Ja się poprawię. Opowiadaj mi o sobie. Co się dzieje w mieście? Dawno już nie byłem w klubie.

— Ciągłe jeszcze mówią o zniknięciu Bazylego.

— Sądziłem, że się już znudzono tym tematem — rzekł Dorian, dolewając sobie wina i lekko marszcząc czoło.

— Mój drogi chłopcze, wszak mówi się o tym dopiero od sześciu tygodni, a nasza angielska publiczność nie zdobyłaby się na taki wysiłek mózgu, jakiego wymaga wyczerpanie więcej niż jednego tematu w ciągu trzech miesięcy. Ale w ostatnim czasie szczególnie się im poszczęściło. Mieli moją sprawę rozwodową i samobójstwo Alana Campbella. Teraz znów tajemnicze zniknięcie artysty. Scotland Yard obstaje przy twierdzeniu, że mężczyzna w szarym samodzielnym płaszczu, który dziewiątego listopada wyjechał pociągiem do Paryża, to Bazyli, natomiast policja francuska twierdzi, że Bazyli wcale do Paryża nie przybył. Najprawdopodobniej usłyszymy, za kilka tygodni, że widziano go w San Francisco. Dziwna to rzecz, o każdym, kto znika, mówi się, że go widziano w San Francisco. Musi to być jakieś cudowne miasto. Posiada całą atrakcyjną siłę zaświatów.

— Co też, sądzisz, mogło się stać z Bazylim? — spytał Dorian. Podniósł pod światło swój kieliszek burgunda i dziwił się, że może o tym mówić tak spokojnie.

— Nie mam pojęcia. Jeśli Bazyli Hallward chce się ukrywać, cóż to mnie obchodzi? Jeśli umarł, nie chcę o nim myśleć. Śmierć jest jedyną rzeczą, której się boję. Nienawidzę jej.

— Czemu? — znużonym tonem spytał młodszy mężczyzna.

Lord Henryk przesunął sobie pod nozdrzami złotą kratkę otwartego pudełka trzeźwiących soli i powiedział:

— Ponieważ wszystko można dziś negować prócz niej jednej. Śmierć i pospolitość, oto dwa fakty dziewiętnastego wieku, nie dające się zbyć słowami. Dorianie, każ podać kawę do sali koncertowej. Musisz mi zagrać Chopina. Ten człowiek, z którym żona moja uciekła, grał precudnie Chopina. Biedna Wiktorja. Bardzo ją lubiłem. Dom teraz wydaje się dość pusty bez niej. Naturalnie, że małżeństwo jest tylko przyzwyczajeniem, złym przyzwyczajeniem. Ale żałujemy utraty choćby najgorszych przyzwyczajzeń. Tych może najwięcej. Tworzą one tak nieodłączną część naszej istoty.

Dorian nic nie odrzekł, lecz przeszedł do sąsiedniego pokoju, siadł do fortepianu i zaczął przebiegać palcami białą — czarną klawiaturę. Gdy wniesiono kawę, przestał grać i patrząc na lorda Henryka, rzekł:

— Harry, nigdy ci nie przyszło na myśl, że Bazyli Hallward został być może zamordowany?

Lord Henryk ziewnął.

— Bazyli był ogólnie lubiany i nosił zegarek wartości trzydziestu marek. Z jakiego więc powodu mógłby być zamordowany? Był za mało inteligentny na to, aby mieć wrogów. Bez wątplenia jako malarz był geniuszem. Ale można przecie malować jak Velasquez, a być przy tym zupełnie ograniczonym. Bazyli był nieco ograniczony. Tylko jeden jedyny raz był dla mnie zajmujący, mianowicie wtedy przed laty, kiedy mi wyznał, że cię ubóstwia do szaleństwa i że ty jesteś dominującą pobudką jego twórczości.

— Bardzo lubiłem Bazylego — rzekł Dorian z akcentem smutku w głosie. — Ale czy nie mówią, że został zamordowany?

— Owszem, tak twierdzą niektóre pisma. Mnie się to jednak wydaje nieprawdopodobne. Wiem, że w Paryżu istnieją okropne nory, ale Bazyli nie należał do tych, co tam chodzą. Nie był wcale ciekawy. To było jego kardynalną wadą.

— Harry, co byś powiedział, gdybym ci wyznał, że to ja zamordowałem Bazylego? — spytał Dorian, bystro obserwując, jakie wrażenie wywrą jego słowa.

— Powiedziałbym ci, drogi chłopcze, że pozujesz na charakter całkiem dla ciebie nieodpowiedni. Każdy występek jest pospolity, tak samo jak każda pospolicieść jest występkiem. Ty, Dorianie nie masz w sobie nic ze zbrodniarza. Przykro mi, jeśli obrażam twą próżność, ale zapewniam cię, że to prawda. Zbrodnia należy wyłącznie do klas niższych. Wcale ich z tego powodu nie potępiam. Można sobie wyobrazić, że zbrodnia jest dla nich tym, czym dla nas sztuka, mianowicie po prostu środkiem dostarczającym niezwykłych emocji.

— Środkiem dostarczającym emocji? Sądzisz zatem, że człowiek, który raz popełnił zbrodnię, mógłby ewentualnie dokonać jej po raz wtóry? Nie mów mi tego.

— O, każda rzecz staje się rozkoszą, gdy zbyt często ją powtarzamy — ze śmiechem powiedział lord Henryk. — Oto jedna z najważniejszych tajemnic życia. Sądzę jednak, że zbrodnia jest zawsze krokiem fałszywym. Nie powinno się nigdy robić nic takiego, o czym nie można swobodnie mówić po obiedzie. Ale pozostawmy biednego Bazylego w spokoju. Chciałbym uwierzyć, że skończył tak romantycznie, jak napomknąłeś, jednak nie mogę... Przymiarkuję raczej, że spadł z omnibusu do Sekwany, a konduktor zatuszował cały skandal. Sądzę, że taki był jego koniec. Niemal go widzę, leżącego na wznak w brudnej zielonej wodzie, ciężkie łodzie suną ponad nim, a długie rośliny czepiają się jego włosów. Wiesz, nie wierzę, aby mógł on stworzyć jeszcze coś dobrego. W ostatnich latach twórczość jego raptownie się obniżyła.

Dorian westchnął, a lord Henryk przeszedłszy się po pokoju gładził głowę dziwacznej papugi z wyspy Jawy, dużego ptaka o szarym upierzeniu, różowym czubie i ogonie, kołyszącego się na drążku bambusowym. Za dotknięciem delikatnych palców ptak zsunął zmarszczone białe powieki na czarne, szkliste oczy i począł się rytmicznie kołysać.

— Tak — mówił dalej lord Henryk, odwracając się i wyjmując chusteczkę z kieszeni — twórczość jego całkiem się obniżyła. Jakby z niej coś uronił. Doskonałość. Odkąd przestałeś być jego wielkim przyjacielem, on przestał być wielkim artystą. Co was rozłączyło? Nudził cię zapewne. Jeśli tak, to nie wybaczył ci tego nigdy. Tak zawsze bywa z ludźmi nudnymi. A propos, co się stało z tym cudnym portretem, do którego pozowałeś? Zdaje mi się, że go nie widziałem od chwili wykończenia. O, pamiętam go dokładnie. Przed laty opowiadałeś, że go wysłałeś do Selby i po drodze go zagubiono czy skradziono. Więc nigdy go nie odzyskałeś? Jaka szkoda! To było arcydzieło. Przypominam sobie, że koniecznie chciałem obraz ten kupić u Bazylego. Szkoda, że mi się nie udało. Pochodził z jego najlepszego okresu. Od tego czasu prace jego wykazywały dziwną mieszaninę lichego wykonania i dobrego zamiaru, co najzupełniej uprawnia artystę do noszenia tytułu reprezentacyjnego angielskiego malarza. Czy ogłosiłeś wówczas w prasie o zaginięciu tego obrazu? Powinieneś być to uczynić.

— Nie pamiętam już — odparł Dorian. — Prawdopodobnie to zrobiłem. Jakkolwiek nigdy nie lubiłem tego obrazu. Żałuję, że do niego pozowałem. Nienawidzę nawet tego wspomnienia. Czemu o tym mówisz? Portret zawsze mi przypominał owe dziwne wiersze — z *Hamleta* zdaje mi się:

...albo jesteżes tylko  
Pokrowcem żalu, postacią bez serca?

Tak, taki był ten portret. Lord Henryk się zaśmiał.

— Dla człowieka biorącego życie z punktu widzenia artystycznego umysł jest sercem — odparł, osuwając się na fotel.

Dorian Gray potrząsnął głową i wziął kilka cichych akordów.

— „Albo jesteżes tylko pokrowcem żalu, postacią bez serca?” — powtórzył.

Starszy mężczyzna, wygodnie rozparty w fotelu, patrzył na niego spod na wpół zmrużonych powiek.

— Nawiasem mówiąc, Dorianie — rzekł po chwili — „co za pożytek, człowiekowi, choćby cały świat pozyskał...”, jakże to brzmi ów cytat? „a na duszy swej poniósł szkodę?”

Muzyka nagle zgrzytnęła, Dorian Gray” zerwał się i bystro spojrzał na przyjaciela.

— Harry, czemu o to pytasz?

— Mój drogi chłopcze — odparł lord Henryk, z wyrazem zdumienia podnosząc brwi do góry — pytałem, ponieważ sądziłem, że zdołasz mi na to odpowiedzieć. Oto wszystko. Zeszłej niedzieli szedłem przez park i tuż koło Marble Arch natknąłem się na małą gromadkę ludzi, słuchającą takiego ulicznego kaznodziei. Przechodząc słyszałem, jak ów człowiek wrzaskliwym głosem rzucił swym słuchaczom właśnie to pytanie. Wydało mi się to bardzo dramatyczne. Londyn jest widownią wielu podobnych scen. Słotna niedziela, nieokrzesany kaznodzieja w czarnym surducie, garść bladych, chorych twarzy pod dziurawym daszkiem ociekających wodą parasoli i cudowny frazes rzucony głosem histerycznym, przenikliwym — w swoim rodzaju było to coś ładnego, prawie rewelacja. Miałem wielką ochotę powiedzieć temu prorokowi, że sztuka ma duszę, ale człowiek jej nie ma. Wątpię jednak, czy byłby mnie zrozumiał.

— Daj pokój, Harry. Dusza jest straszną rzeczywistością. Można ją kupić i sprzedać, i zamienić. Można ją zatruć i udoskonalić. Każdy z nas ma duszę. Wiem o tym.

— Dorianie, czy jesteś tego całkiem pewny?

— Całkiem.

— O, w takim razie jest to złudzenie. To, co się odczuwa jako pewność bezwzględna, nigdy nie jest prawdą. To właśnie stanowi fatalizm wiary i zasadę romantyzmu. Ale jaki ty jesteś poważny! Nie bądź taki poważny! Cóż mnie lub ciebie obchodzić mogą przesady naszej epoki? Niej my zrezygnowaliśmy z wiary w duszę. Zagraj coś. Zagraj mi nokturn, a grając opowiadaj cichym głosem, jakim sposobem zachowałeś swą młodość. Musisz znać jakąś tajemnicę. Ja mam tylko o dziesięć lat więcej od ciebie, a jestem zniszczony, żółty, okryty zmarszczkami. A ty jesteś ciągle czarujący. Nigdy może nie wyglądałeś tak zachwycająco jak dzisiaj wieczora. Przypominasz mi ów dzień, kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy. Byłeś wówczas nieco kanciasty i nieśmiały, ale nadzwyczajny. Zmieniłeś się oczywiście, lecz nie pod względem powierzchowności. Chciałbym, abyś mi zdradził swą tajemnicę. Dla odzyskania młodości uczyniłbym wszystko, o ile by tylko nie wymagano ode mnie ćwiczeń gimnastycznych, rannego wstawania i cnoty. Młodość! Nie ma nic, co by się z nią mogło równać. To idiotyzm mówić o niedoświadczeniu młodości. Słucham z szacunkiem wyłącznie sądów ludzi znacznie młodszych ode mnie. Oni mnie wyprzedzają. Życie odsłoniło im ostatnią swą tajemnicę. A starsi? Starszym stale się sprzeciwiam. Czynię to z zasady. Spytasz ich, co sądzą o tym, co się wczoraj stało, a oni z namaszczeniem powtórzą ci opinie, jakie panowały w 1820 roku, kiedy noszono wysokie halsztuki, wszystkiemu wierzono, a nic nie wiedziano. Jakie to ładne, co grasz teraz! Ciekaw jestem, czy Chopin skomponował to na Majorce, gdy morze jęczało dokoła willi, a słona piana obryzgiwała szyby. To czarująco romantyczne. Jakie to szczęście, że pozostała nam ta jego sztuka, nie będąca naśladownictwem. Nie przerywaj. Potrzeba mi dziś muzyki. Wydaje mi się, że ty jesteś wiecznie młodym Apollinem, a ja Marsjaszem, wsłuchującym się w twe melodie. Niejedną w sobie noszę troskę, Dorianie, o której nawet ty nic nie wiesz. Tragedią starości nie jest to, że człowiek się starzeje, lecz to, że pozostaje młodym. Chwilami dziwię się własnej

szczerości. O, Dorianie, jakże jesteś szczęśliwy! Jakie cudowne miałeś życie! Wysączyłeś wszystko do dna. Winne grona zmiądzły na podniebieniu. Nic przed tobą nie pozostało ukryte. I wszystko było dla ciebie jakby melodią muzyczną. Niczym więcej. Nic cię nie zniszczyło: pozostałeś taki sam.

— Nie pozostałem taki sam, Harry.

— A jednak pozostałeś. Chciałbym wiedzieć, jak upłynie ci reszta życia. Nie psuj go wyrzeczeniem. Teraz jesteś typem doskonałym. Nie pomniejszaj siebie. Jesteś bez błędu. Nie potrząsaj głową, sam o tym wiesz. I nie łudź się, Dorianie, życiem nie rządzą ani wola, ani zamiary. Życie jest kwestią nerwów i włókien, komórek powstających z wolna, w których kryje się myśl i drzemią namiętności. Możesz się uważać za bezpiecznego, silnego, lecz przypadkowy odcień jakiejś barwy w pokoju lub na porannym niebie, specjalna jakaś woń, niegdyś przez ciebie lubiana i przynosząca z sobą subtelne wspomnienia, wiersz zapomnianego utworu, który kiedyś czytałeś, urywek melodii, której już dawno nie grałeś — Dorianie, wierzaj mi, że od tych szczegółów zależy nasze życie. Browning raz o tym wspomina... Są chwile, kiedy nagle zaleci mnie zapach białego bzu, a wtedy przeżywam najdziwniejszy miesiąc mego życia. Dorianie, pragnąłbym się z tobą zamienić. Świat pomstuje na nas obu, ale ciebie równocześnie ubóstwia. I zawsze cię będzie ubóstwiał. Ty jesteś typem, którego epoka nasza pragnie, a jednocześnie boi się, że go już znalazła. Tak jestem rad, że nigdy nic nie stworzyłeś. Nie wyrzeźbiłeś posągu, nie namalowałeś obrazu, nigdy Ufanie wynalazłeś poza sobą samym. Sztuką twą było życie. Wryłeś je jak słowa do muzyki. Sonetami są dni, które przeżyłeś.

Dorian wstał od fortepianu i palce zanurzył we włosach.

— Tak Harry, życie było cudowne — szepnął. — Ale nie chcę już takiego życia. A ty nie powinieneś mi mówić takich przesadnych rzeczy. Ty nie wiesz o mnie wszystkiego. Sądzę, że gdybyś wiedział wszystko, nawet ty odwróciłbyś się ode mnie. Śmiejesz się. O, nie śmieję się, proszę.

— Dorianie, czemu przestałeś grać? Idź i zagraj jeszcze ten nokturn. Patrz na ten duży księżyc barwy miodu, zawieszony w mrocznej atmosferze. Czeką na ciebie, masz nań rzucić czar, a gdy zaczniesz grać, on się zbliży do ziemi. Nie chcesz? Więc chodźmy do klubu. Wieczór był czarujący i w czarujący sposób go zakończymy. Jest ktoś u White'a, kto pragnie cię poznać — młody lord Poole, najstarszy syn Bournemouthe'a. Kopiuje już twe krawaty i prosił mnie, bym ci go przedstawił. Zachwycający chłopiec. Przypomina mi ciebie.

— Mam nadzieję, że tak nie jest — ze smutnym spojrzeniem odparł Dorian. — Ale jestem znużony, Harry. Nie pójdę już do klubu. Dochodzi jedenasta, chcę się wcześniej położyć.

— Więc nie chodź. Nigdy nie grałeś tak pięknie jak dzisiaj. W twoim uderzeniu było coś wspaniałego. Miało ono w sobie więcej wyrazu niż to, co kiedykolwiek słyszałem w twoim wykonaniu.

— To dlatego, że chcę się stać dobry — odparł ze śmiechem Dorian. — Już się nawet trochę zmieniłem.

— Względem mnie nie potrafisz się zmienić — mówił lord Henryk. — My obaj na zawsze pozostaniemy przyjaciółmi.

— A jednak zatrąłeś mnie kiedyś książką. Nie powinienem ci tego wybaczyć. Harty, przyrzeknij mi, że książki tej nigdy nie pożyczysz nikomu. Ona jest szkodliwa.

— Mój drogi chłopcze, ty już istotnie zaczynasz prawić morały. Niebawem zaczniesz wędrować po kraju jak nawróceni i reformatorzy i ostrzegać ludzi przed wszystkimi grzechami, którymi się już znużyłeś. Zbyt jesteś czarujący do tej misji. Poza tym na nic się to zda. Ty i ja jesteśmy tym, czym jesteśmy, i będziemy tym, czym będziemy. Powiadasz, że zostałeś zatruty przez książkę. To jest wręcz niemożliwe. Sztuka nie wywiera żadnego wpływu na czyny. Ona

właśnie niszczy pragnienie czynu. Jest wzniosie bezpłodna. Książki, które świat nazywa niemoralnymi, to są właśnie te, które światu wykazują jego własną hańbę. Nic więcej. Nie mówmy jednak o literaturze. Przyjdź do mnie jutro.

O jedenastej mam zamiar wyjechać konno. Moglibyśmy pojechać razem, a potem zabrałbym cię na lunch do lady Branksome. Uroczą kobietą i pragnie zasięgnąć twej rady w kwestii kupna gobelinów. Nie zapomnij o tym. Czy może pójdziemy na śniadanie do naszej małej księżnej Gladys? Powiada, że wcale cię teraz nie widuje. A może cię już znużyła? Domyślałem się, że tak będzie. Jej ostry języczek działa na nerwy. W każdym razie bądź u mnie o jedenastej.

— Harry, czy istotnie muszę przyjść?

— Oczywiście. Park jest teraz cudny. Zdaje mi się, że takiego bzu nie było od owego roku, kiedy cię poznałem.

— Dobrze. Będę więc o jedenastej — rzekł Dorian. — Dobranoc, Harry.

W drzwiach przystanął na chwilę, jakby jeszcze chciał coś powiedzieć, lecz westchnął tylko i odszedł.

## XX

Noc była piękna i tak ciepła, że płaszcz niósł na rękę i nawet jedwabnego szalika nie owinał koło szyi. Pałac papierosa, zmierzał powoli ku swemu mieszkaniu. Minęło go dwóch młodych ludzi w stroju wieczorowym. Dostłyszał, jak jeden z nich szepnął towarzyszowi:

— To Dorian Gray.

Przyszło mu na myśl, jak mu bywało przyjemnie, gdy zwracano na niego uwagę, gdy go obserwowano lub o nim mówiono. Teraz nużył go dźwięk własnego nazwiska. Połowa uroku małej wioski, gdzie ostatnimi czasy przebywał tak często, polegała na tym, że nikt nie wiedział, kim jest. Dziewczynie, w której rozpałił miłość ku sobie, mówił, że jest biedny, a ona mu wierzyła. Raz jej powiedział, że jest złym człowiekiem, a ona zaśmiała się w odpowiedzi, twierdząc, że źli ludzie są zawsze bardzo starzy i bardzo brzydzy. Jak ona się umiała śmiać. Przypominała śmiechem swym śpiew kosa. A jaka była śliczna w tych bawełnianych sukienkach i dużych kapeluszach. Nic nie wiedziała, ale posiadała wszystko, co on utracił.

Kiedy wrócił do domu, zastał służącego, który jeszcze czuwał, czekając na niego. Kazał mu się położyć, a sam rzucił się na sofę i począł rozmyślać nad rozmaitymi zdaniem, wygłoszonymi w ciągu wieczora przez lorda Henryka.

Czy to istotnie prawda, że się nie można nigdy zmienić? Czuł dzikie pragnienie odzyskania nieskalanej czystości swych lat chłopięcych — swej białoróżowej młodości, jak to kiedyś określił był lord Henryk. Wiedział, że się zbrukał, że duszę swą skaził zepsuciem, a wyobraźnię zapełnił potwornościami, że wywierał niszczycielski wpływ na swoje otoczenie i odczuwał przy tym straszną radość, że wśród tych, z którymi się stykał, właśnie ludzi najpiękniejszych i najwięcej obiecujących doprowadził do hańby. Ale czy to było nie do odrobienia? Czy żadnej już nie ma dla niego nadziei?

O, w jakże przekłętej chwili dumy i zaślepienia modlił się, by portret nosił brzemień jego dni, on zaś zachował nieskażony wdzięk wiecznej młodości. Wszystkie jego błędy stąd pochodziły. Lepiej byłoby, gdyby każdy grzech jego życia sprowadził był szybką, pewną karę. W karze było oczyszczenie. Modlitwa człowieka do Boga sprawiedliwego nie powinna brzmieć: „I odpuść nam nasze winy”, lecz: „Karz nas za nasze przewinienia.”

Na stole stało zwierciadło z oryginalnie rzeźbioną ramą, dar lorda Henryka sprzed lat; białe amorki otaczające je uśmiechały się do Doriana jak ongiś. Wziął lustro do ręki jak owej straszej nocy, kiedy po raz pierwszy zauważył zmianę na fatalnym obrazie, i nieprzytomnymi, łzami przyćmionymi oczyma wpatrywał się w jego błyszczącą tarczę. Ktoś kochający go szalenie napisał mu kiedyś płomienny list, kończący się bałwochwalczymi słowami: „Świat się cały zmienił, ponieważ ty jesteś stworzony ze złota i kości słoniowej. Linie twych ust piszą od nowa dzieje świata.” Słowa te przyszły mu teraz na myśl i powtarzał je wielokrotnie. W przystępie nienawiści do własnej piękności rzucił zwierciadło o ziemię i zdeptał nogami na błyszczącą srebrną miazgę. Piękność jego pchnęła go do zguby, piękność jego i młodość, o którą się modlił kiedyś... Gdyby nie one, życie jego mogłoby pozostać nieskalane. Piękność jego była dlań tylko maską, młodość — tylko szarlatanerią. Bo czymże jest młodość w najlepszym razie? Okresem cierpkości, niedojrzałości, okresem płytkich kaprysów i mętnych myśli. Czemuż nosił jej szatę? Wszak to młodość go zgubiła.

Lepiej nie myśleć o rzeczach minionych. Odstać się już nie mogą. Musi teraz myśleć o sobie, o swej przyszłości. James Vane leży pogrzebany w bezimiennym grobie na cmentarzu w Selby. Alan Campbell zastrzelił się pewnej nocy w swym laboratorium, nie zdradziwszy jednak

tajemnicy, gwałtem mu narzuconej. Sensacja, jaką wywołało zniknięcie Bazylego Hallwarda, rychło przeminie. Jest całkiem bezpieczny. Przy tym nie śmierć Bazylego Hallwarda tak bardzo mu ciąży na sumieniu. To śmierć za życia własnej duszy gnębi go bezlitośnie. Bazyli namalował obraz, który mu zniszczył życie; tego mu wybaczyć nie mógł. Wszystko było winą portretu. Bazyli mówił doń rzeczy niedopuszczalne, a on je znosił cierpliwie. Morderstwo było chwilowym szaleństwem. A Alan Campbell? Popenił samobójstwo z własnej woli, bo tak mu się podobało. Cóż to jego obchodzi?

Nowe życie! Tak, tego mu potrzeba. Czekaj na niego. Już je nawet rozpoczął. Raz przynajmniej oszczędził niewinność. I nigdy już nie będzie kusił niewinności. Stanie się dobry.

Gdy tak myślał o Hetty Merton, ogarnęła go ciekawość, czy też zaszła jakaś zmiana na portrecie w zamkniętym pokoju. Chyba już nie będzie taki straszny jak przedtem? A może — gdy życie jego stanie się czyste — może zdoła też zatrzeć na obrazie wszelki ślad złych namietności. Może już teraz zniknęły ślady zła... Musi się przekonać.

Wziął lampę ze stołu i cicho wszedł na schody. Gdy odmykał drzwi, uśmiech radości przemknął po jego dziwnie młodocianej twarzy i na chwilę osiadł na ustach. Tak, stanie się dobrym, a ten straszny obraz, przechowywany w ukryciu, nie będzie już dlań przedmiotem strachu. Miał uczucie, jakby mu już odjęto ten ciężar.

Spokojnie wszedł do pokoju i jak zwykle zamknął za sobą drzwi. Po czym odsunął purpurową zasłonę. Krzyk bólu i oburzenia wyrwał mu się z piersi. Żadnej nie dojrzał zmiany, tylko w oczach portretu płonął błysk chytrych, a koło ust zarysowała się linia obłudy. Był tak samo wstrętny — może jeszcze wstrętniejszy niż poprzednio — a szkarłatna rosa na ręce wydawała się jeszcze bardziej błyszcząca, jakby świeżo rozlana krew. Zadrżał. Czy istotnie tylko próżność podyktowała mu jego jedyny dobry uczynek? Czy też pragnienie nowych sensacji, jak to ironicznie określił lord Henryk? Lub może owa żądza odegrania jakiejś roli skłaniająca nas do spełnienia czynów bardziej szlachetnych od nas samych? A może wszystkie te czynniki razem? Czemu jednak krwawa plama większa jest niż poprzednio? Niczym rana potworna wżarła się w grube, obrzękłe palce. Krew widnieje na nogach portretu, jakby ściekła z ręki — krew także na tej ręce, która nie trzymała noża. Przyznać się? Wyznać? Oddać się w ręce władzy, dać się skazać na śmierć? Zaśmiał się. Myśl ta była idiotyczna. Czuł to dobrze. A jeśliby nawet się przyznał — któż mu uwierzy? Nigdzie śladu zamordowanego. Wszystko, co doń należało, zniszczył, sam własnoręcznie spalił jego rzeczy. Powiedziano by po prostu, że zwariował. Zamknięto by go w domu obłąkanych, gdyby obstawał przy swym zeznaniu. Ale jego obowiązkiem jest wyznać, publicznie znieść hańbę, publicznie odbyć pokutę. Istnieje Bóg nakazujący wyznawać grzechy swe zarówno ziemi, jak niebu. Nie! Cokolwiek uczyni, nic nie zdoła go o — czyścić, jeśli wprawdzie nie wyzna swego grzechu. Grzechu? Wzruszył ramionami. Niewiele go obchodzi śmierć Bazylego Hallwarda. Myślał o Hetty Merton. Gdyż to zwierciadło jego duszy, w które oto spogląda — to zwierciadło zniekształca obraz. Próżność? Ciekawość? Obłuda? Czy w jego wyrzeczeniu nie tkwiło nic więcej? Było w nim jeszcze coś innego. Tak przynajmniej mniemał. Ale kto może wiedzieć?... Nie, nie było nic więcej. Oszczędził ją przez próżność. Z obłudy nosił maskę cnoty. Z ciekawości próbował wyrzeczenia. Stwierdza to teraz.

Ale to morderstwo! Czyż pamięć o nim będzie go prześladowała przez całe życie? Czyż wiecznie ma dźwigać ciężar swej przeszłości? Więc przyznać się naprawdę? Nigdy! Jedno tylko istnieje przeciw niemu świadectwo — zniszczy je. Czemu oszczędzał je tak długo? Dawniej sprawiało mu przyjemność obserwowanie zmian na portrecie, śledzenie postępu jego starzenia się. Ostatnio nie doznawał już tej przyjemności. Nieraz całe noce spędzał bezsennością z powodu tego obrazu. Gdy wyjeżdżał, doznawał szalonej trwogi, by ktoś nie zobaczył portretu. Portret



rzucał cień melancholii na wszystkie jego namiętności. Samo wspomnienie o nim zatruwało mu chwile radości. Był dla niego sumieniem. Tak, był jego sumieniem. Teraz go zniszczy.

Odwrócił głowę i ujrzał nóż, którym zamordował był Bazylego Hallwarda. Nieraz go czyścił, dopóki żadna na nim nie pozostała plama. Świecił się i błyszczał. Nim zabił malarza, więc nim zabije też dzieło malarza i wszystko, co ono oznacza. Tak, zabije przeszłość, a skoro ją zabije, stanie się wolny. Zabije to straszne życie duszy, a bez jej potwornych oskarżeń będzie miał spokój. Chwycił nóż i przebił obraz.

Rozległ się krzyk i łoskot. Krzyk przedśmiertnej męki był tak okropny, że przerażona służba przebudziła się i wybiegła ze swych pokoi. Dwaj panowie idący ulicą przystanęli, skierowując spojrzenia na duży dom. Po chwili odeszli i wrócili z policjantem. Ten zadzwonił kilkakrotnie, lecz nikt nie otwierał. Z wyjątkiem słabego światła w jednym pokoju na najwyższym piętrze, cały dom był pogrążony w ciemności. Policjant się oddalił i stanął pod sąsiednim portalem, bacznie obserwując dom.

— Do kogo należy ten dom? — spytał starszy z mężczyzn.

— Do Doriana Graya — objaśnił policjant. Zamienili z sobą spojrzenia i zaśmiali się ironicznie, odchodząc. Jeden z nich był wujem sir Henryka Ashtona.

Tymczasem służba na wpół ubrana, zgromadziwszy się w swojej części domu, rozmawiała szeptem. Stara pani Leaf płakała, łamiąc ręce. Franciszek błady był jak śmierć.

Może w kwadrans później, przywoławszy furmana i drugiego służącego, wszedł z nimi na piętro. Zapukali raz i drugi — żadnej odpowiedzi. Wokół cisza. Po daremnych usiłowaniach wyłamania drzwi wdarli się na dach, a stamtąd spuścili się na balkon. Okna nie stawiały oporu — zasuwę były stare.

Gdy weszli, zobaczyli na ścianie cudowny portret swego pana, jakim go znali do ostatniej chwili, w całej krasie młodości i wdzięku. Na podłodze leżał trup w stroju wieczorowym z nożem wbitym w pierś. Twarz miał zwiędłą, pomarszczoną, wstrętną. Poznali go dopiero po pierścieniach.